

61.247

WYPISY POLSKIE.

UŁOŻYŁ

JAN ŁUKOMSKI.

CZĘŚĆ I, ŚREDNIA.

Wydanie trzecie, zmienione.

WARSZAWA.

NAKŁADEM WŁASNYM.

Skład główny w mieszkaniu nakładcy przy ulicy Elektoralnej № 781.

1868.



II 61211

Дозволено Цензурою.

Варшава дня 12 Января 1868 года.

W drukarni Alexandra Ginsa.

SPIS RZECZY.

NB. Artykułów, poprzedzonych gwiazdką, nie ma w wydaniu I-ém i II-ém.

PROZA.

	Stron.		Stron.
Opowiadania z Pisma Świętego.		2. Miłość synowska	15
1. Narodzenie Jezusa Chry-	1	3. Dobry kmiotek	17
stusa		4. Rodzina włościańska . .	18
2. Młodzieniec z Nain . .	2		
3. Pięniądz wdowy	3	Powiastrki i opowiadania moralne. .	
4. Przypowieść o różném na-	—	1. Pleban i kmiotek	21
sieniu		2. Dobroczynność i oszczęd-	
5. Przypowieść o dwóch dłuż-	5	ność	22
nikach		3. Wdzięczność niebu . . .	23
6. Przypowieść o synu mar-	6	4. Cześć dla rodziców . .	25
notrawnym		5. Ul	28
7. Wieczera Pańska . . .	7	6. Miłość prawdy	32
8. Wniebowstąpienie Pańskie	9	7. Kąpiel	33
		8. Bóg wszystko widzi . .	35
Nauki moralne.		9. Skutki nieporządku . .	37
1. Śmiech zbyteczny	10	10. *Jedynak	40
2. Nudy	—	11. *Praca wszystko zwycięża	42
3. Oszczędność	—	12. *Niedola i pociecha . .	45
4. Praca	11		
5. *Zdrowie	—	Przypowieści.	
6. *O używaniu pokarmów		1. Dwaj podróżni	47
i napojów	12	2. Praca odkładana . . .	48
		3. Ojciec i syn	49
Obrazy moralne.		4. Bławatki	50
1. Kościół wiejski	13	5. Trzój przyjaciele . . .	—

	Stron.		Stron.
Życiorysy znakomitych ludzi.		8. Zatrudnienia i zabawy do-	
1. Jan Kochanowski	51	mowe za Augusta III . . .	102
2. Ignacy Krasicki	54	9. Żaki	104
3. Stanisław Jachowicz . . .	57		
4. *Jakub Kuk	59	Opisania miejsc.	
5. *Antoni Kanowa	66	1. *Płock	106
		2. *Grota narodzenia Zbawi-	
		ciela w Betlejem	108
Obrazy i opowiadania historyczne.		3. Kopenhaga	111
1. Święta Jadwiga	68	4. Janowiec	114
2. Kazimierz Wielki	71	5. Brama Krakowska w Lu-	
3. Czechy za Karola IV . . .	72	blinie	116
4. Bitwa pod Obertynem . . .	73	6. Gibraltar	118
5. Barbara Radziwiłłówna . .	74	7. Dom Jana Kochanowskie-	
6. Wjazd Jerzego Ossoliń-		go w Czarnym lesie . . .	121
skiego do Rzymu	78	8. Serbskie Łużyce	124
7. Dzieciństwo i młodość		9. Dawne otoczenia zamku	
Napoleona	82	królewskiego w Warszawie	128
8. Napoleon w Brienne . . .	83	10. *Ziemia dyjamentowa	
		w Brazylii	130
Legendy historyczne.		11. Przeprawa z Tryjestu do	
1. Krakus	85	Wenecyi	132
2. Piast	86		
		Opisy naukowe z historii	
		 naturalnej.	
Obrazy z domowego życia		1. Słowik	134
 narodów.		2. Mól	135
1. Zabawy studenckie wXVIII		3. Lipa	137
wieku	88	4. Użyteczność łasicy . . .	138
2. Kogutek i gaik	90	5. Święrszcz	139
3 *Hiszpanie	91	6. Żubr	140
4. *Samojedzi nadmezeńscy .	93	7. Światło	144
5. Podhalanie	96	8. Tęcza	146
6. Wielkanoc	99	9. Jastrząb'	148
7. Wyprawy na nieprzyja-		10. Sen roślin	151
ciela w XII i XIII wie-		11. Ptaki łączące	153
kach	101	12. Dąb	155
		13. Owady	156

	Stron.		Stron.
Anekdoty z historii naturalnej.		2. Trzpiot	171
1. Pojętna małpa	159	3. Napoleon i żydki ze Swa- rzędza	172
2. Wydra króla Jana III .	160	4. Kwestarz na popasie . .	174
3. Kuna	168	5. Ognia!	177
		6. Gimnastycy	178
Obrazy i powiastki z życia społecznego.		7. *Bitwa morska	182
		8. *Bięda	188
1. Goście u pana Podstole- go	169	9. Pokora synowska . . .	193
		10. Armata pod Nieświeżem .	194
		11. Kominiarczyk królewski .	—

P O E Z Y J E

Poezyje liryczne.		6. Przed Wielkanocą . . .	214
1. Modlitwa dzieci	197	7. Wielki Piątek na wsi . .	215
2. Modlitwa za rodziców . .	—	8. Chatka w Nazaret . . .	216
3. Do mojego domku	198	9. Jezus między rówieśnika- mi	—
4. Muszę śpiewać	199	10. Jak to na Góralach . . .	217
5. Wiochna	—	11. Jak to na Mazurach . .	218
		12. Wioska	219
Obrazy i opisanie.		13. Sięrota	220
1. Mały świat	202		
2. Obrazy z poematu Mickie- wicza p. t. »Pan Tadeusz«.		Opowiadania.	
a) Śniadanie u Pana Sę- dziego	208	1. Legenda wstępna . . .	221
b) Przygotowania do obia- du	209	2. Powrót taty	222
c) Bigos	210	3. Szkoła	224
d) Polowanie na zające . .	—	4. Kradzione	226
e) Zachód słońca	212	5. Ziemomysł	228
3. Kościół wiejski	212	6. Brzydale	—
4. Gościnność	213	7. Radziwiłł Sierotka . . .	232
5. Skowronek	214	8. Pacholę	233
		9. Grosz wdowi	234
		10. Święty Izydor	235
		11. Święty Jan Kanty . . .	237

	Stron.		Stron.
12. Brzoza Grzyżyńska	239	22. Wytrysk i strumień	249
13. Baszyna	242	23. Zdarzenie z nosem	250
14. Dziad i baba	243	24. Wilk pokutujący	251
15. Boże łaski	244		
16. Osieł i słowik	245		
17. Osieł i Jacek	246		
18. Kulawy i ślepy	247		
19. Bryła lodu i kryształ	—		
20. Człowiek i zdrowie	—		
21. Gęś i osieł	248		

Przysłowia.

1. Jadłby kot ryby, ale mu się nie chce nóg zamoczyć	251
2. Wejdiesz między wrony, krakaj, jak i ony	252

I. PISMO ŚWIĘTE.

OPOWIADANIA.

1. Narodzenie Jezusa Chrystusa.

Podczas świętej nocy, którą my, chrześcijanie, nazywamy Bożem Narodzeniem, z gwiazdzistego niebios sklepienia zstąpił posłaniec Boga do skromnych i pobożnych pasterzy, którzy w bliskości miasta Betleem na polu pilnowali trzód swoich. Jasność pańska otaczała Anioła, który się do nich zbliżył; strach ich przejął, a blask niebieski olśnił ich oczy, atoli miły głos posłańca bożego wkrótce rozproszył ich bojaźń. Rzekł on do nich łagodnym głosem: „Nie lękajcie się; donoszę wam o wielkiej radości, jaka dziś spotkała lud cały, dziś bowiem narodził się Zbawiciel; pójdźcie i przypatrzcie się.“ Gdy tak mówił, towarzysze niebiescy zbliżyli się do Anioła i wszyscy wspólnie chwalili Pana, wołając: „Chwała Bogu na wysokości, pokój ziemi, a ludom pociecha“. Wśród tego pienia wzniesli się nad poziom i powrócili do świętej swojej dziedziny.

Pasterze zaś, z rozkazu aniołów, udali się do Betleem. Tu, w podróży do stołecznego miasta Jerozolimy, przybyła Maryja z Józefem i tu się narodziło święte dziecko Jezus. Pasterze znaleźli je uwinęte w pieluszki i złożone w żłobie stajenki, mieszkańcy chaty bowiem mile ich przyjęli, lecz nie mogli im dać innego miejsca na nocleg. Jednakże miluchne niewinne dziecko spało słodko i spokojnie na ubożym posłaniu, a boże jego pochodzenie wyrzyło na twarzy jego wdziek niebiański i jaśniało w całej jego postaci.

Przy niém siedziała matka jego, Maryja, zupełnie zatopiona w przypatrywaniu się swemu synowi. Zdawało się, iż w pokorze mocno uczuła swe szczęście być obroną matką tego dziecięcia. Sam nawet poważny Józef cieszył się widokiem rozkosznego chłopięcia. Pasterze także patrzyli na nie z podziwieniem i uszanowaniem, opowiadali, co im się zdarzyło i wszędzie głosili tę wiadomość, tak, iż wiele ludzi przybywało oglądać cudownego nowonarodzonego.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

2. Młodzieniec z Nain.

W mieście galilejskiém Nain mieszkała uboga wdowa, której pociechą i wsparciem był jedyny dobry syn.

Gwałtowna choroba dotknęła tego syna. Daremnie błagała nieszczęsna matka o pomoc, daremnie wznosiła łzawe oko ku niebu, wzywając jego ratunku; w kwiecie młodości śmierć zabrała jęj dziecię, jak sierp żniwiarza z innemi kwiatami na niwie podcina także nierozwinięte jeszcze pąki.

Już miano pogrzebać ciało; już niesiono trumnę, w której ono leżało, całunem obsłonię, a za marami szła niepokieszona matka, chcąc jak najdłużej pozostać w bliskości zwłok ukochanego syna i towarzyszyć im do grobu. Mnóstwo mieszkańców miasta, którzy żal jęj podzielali, czując prawdziwe jęj nieszczęście, znajdowało się w orszaku pogrzebowym.

Gdy już opuścili bramę miasta, nadszedł Jezus z uczniami swemi i wielką rzeszą ludu. Rozrzewniający widok wzruszył czule serce litościwego Zbawiciela; pocieszając zmartwioną matkę, rzekł do nięj: „Nie płacz“.

Następnie rozkazał niosącym trumnę, aby stanęli, a obróciwszy się do zmarłego, rzekł: „Młodzieńcze, powiadam ci, wstań“.

Natychmiast wstał młodzieniec i w miłej mowie głos swój dał słyszeć. A Pan zaprowadził go do zdziwionej matki i cieszył się jej radością.

Lud zaś, przejęty uszanowaniem i przekonany, że Jezus, taką przynoszący pomoc, jest wielkim prorokiem, pie-niem zaczął sła-wić Przedwiecznego.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

3. Pięniądź wdowy.

Jezus siedział pewnego razu w kościele naprzeciwko skarbnicy, do której wszyscy przybywający składali ofiary piéniężne.

Było to najwłaściwsze miejsce do rozpoznania uczuć ludzkich, tak różnych względem tego datku. Wielu skła-nia się do niego przez pobożność i ludzkość, wielu zaś — z próżności i chełpliwości, inni znowu — ze zwyczaju, lub obojętności; słowem, trudno wyliczyć wszystkie sprężyny, które ludzi wiodą do dobrych uczynków.

Znał je Jezus, przed którym serca utaić się nie mogły, i bacznie zważał na dających ofiary, w czasie przybycia ich do świątyni. Przychodzili bogacze, sypiący sute dary, — inni, którzy mniej dawali, a Jezus milczał. Gdy zaś zbli-żyła się wdowa, która wrzuciła dwa piéniążki (około grosz polski czyniące) do skrzyni, zawołał Jezus uczniów swoich i rzekł im: „Zaprawdę! powiadam wam, uboga ta wdowa dała więcej, niż wszyscy inni: ci bowiem dali Bogu ofiarę ze zbytku swego, ta zaś z dobrą chęcią złożyła całe swo-je mienie“.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

4. Przypowieść o różném nasieniu.

Pan lubił do uczniów swoich i do otaczającego go ludu mówić w przypowieściach. Tym sposobem prawda,

której nauczał, była łatwiejszą do pojęcia, a przyjemne obrazy, pod którymi ją wystawiał, znalazły prędzej przystęp do serca ludzkiego. Mądry nauczyciel, który, prawie zawsze pośród wielkiego wolnego przyrodzenia, wykładał swoje nauki, częstokroć brał za przykład przedmioty, podpadające oku.

Razu pewnego siedział w łódce na jeziorze Genezaret, a lud, słuchający jego mowy, otoczył brzegi wody. Postrzegł rolnika, obsiewającego swe pole, i następującą z tego powodu opowiedział przypowieść.

„Rolnik udał się w pole dla obsiania swój niwy. Nasienie jedno padło przy drodze i to ptaki pozbięrały. Niektóre ziarna padły na miejsce skaliste, gdzie nie było wiele ziemi, i te weszły, ale, gdy słońce dopiekało, nie mając wilgoci, poschły w zarodzie. Inne znowu ziarna padły pomiędzy chwasty, które, razem rosnąc, przytłumiły zboże, nim mogło wydać plony. To zaś, które padło na ziemię dobrą, weszło i stokrotny przyniosło owoc“.

Uczniowie prosili Pana o objaśnienie tego podobieństwa. Czyniąc zadosyć ich prośbie, rzekł.

„Nasienie, rzucone na drogę, są to znaki, są to nauki, przez lekkomyślność i uwodzenie wyrugowane z serc ludzkich. Rolą kamienistą są umysły, które z radością przyjmują słowo Boże, lecz nie przejmują się szczerze niém, na czas tylko wierzą i działają według woli Boga, lecz, gdy nadejdzie chwila doświadczenia, stają się odszczepieńcami. Chwasty są to uciechy życia; często one tłumią zaród dobrego i stają się przeszkodą, że nie może wydać owoców. Dobrą rolą zaś są serca, które nietylko słuchają słowa, lecz przestrzegają go, i w których cnota wydaje obfite owoce“.

5. Przypowieść o dwóch dłużnikach.

Piotr, uczeń Jezusa, zapytał się razu pewnego: „Mistrzu, ileż razy powinienem przebaczać bliźniemu, wykra-
czającemu względem mnie? Czyliż 7 razy nie byłoby do-
syc?” Jezus zaś rzekł na to: „Nie, Piotrze, powiadam ci,
iż, choćby ci bliźni 7 kroć 70 razy ubliżył, powinienes mu
zawsze przebaczać; słuchaj, co ci powiem.

Król pewien zwołał swoich urzędników, chcąc się z nie-
mi obliczyć; między niemi był jeden, który królowi był
winien 10,000 funtów srebra, a nie miał, czémby dług ten
zaspokoił. Rozkazał więc król, aby przedano żonę i dzieci
jego, jak niewolników, i zabrano mu całe jego mienie, lecz
on, upadłszy do nóg królewskich, błagał: „Panie! chciéj
mieć cierpliwość; ja ci się z wszystkiego uiszczę.“ Smu-
tek i łzy jego wzruszyły króla, darował więc słudze całą
ogromną tę sumę. Z uczuciem wdzięczności opuścił
uszczęśliwiony łaskawego swego monarchę.

Oddalając się ze dworu, spotkał innego niższego urzę-
dnika, który mu był dłużny sto groszy. Fukał na niego
i żądał, aby mu się natychmiast uścił. Przestraszony dłu-
żnik padł na twarz, mówiąc: „Stanie się tak; chciéj tylko
być cierpliwym, aż będę w stanie.“ Wierzyciel nie miał
względu, lecz kazał go więzić, dopóki nie oddał wszystkiego.

Niesłuszność ta mocno zasmuciła innych urzędników;
udali się więc ze skargą do króla. Monarcha wezwał przed
siebie nielitościwego urzędnika i rzekł z uniesieniem: „Nik-
czemny! ja darowałem ci dług cały, ponieważ wzywałeś
mego miłosierdzia; czyliż nie powinienes być równie lito-
ściwym względem bliźniego swojego“. W sprawiedliwym
gniewie kazał go wtrącić do więzienia, dopóki by całego
długu nie zapłacił. Uważaj, Piotrze, rzekł Jezus; podobnie
Ojciec mój niebieski postąpi z wami, jeżeli nie przebaczy-
cie szczerze błędów bliźnim waszym“.

6. Przypowieść o synu marnotrawnym.

Wpółród tłumów, otaczających zwykle Chrystusa i przysłuchujących się jego naukom, znajdowali się częstokroć celnicy i inni ludzie, nie najlepszego używający imienia. Faryzeusze i uczeni żydowscy, dumni swém pochodzeniem i znaczeniem, zarzucali głównie Chrystusowi, iż z ludźmi tak nikczemnymi przestaje i niemi się otacza, lecz Jezus, który nie gardził ani grzesznikami, ani ubogiem, piérwszym bowiem niósł poprawę, a drugim pociechę, opowiedział raz u jednego przypowieść następującą.

Człowiek pewien miał dwóch synów: jeden był posłuszny, skromny, łagodny; drugi—zły, krnąbrny, rozpustny i marnotrawny. Otóż ten drugi, zniechęcony ciągłemi naukami i uwagami ojcowskimi, skoro doszedł do pełnoletności, uprosił ojca o oddanie sobie części majątku, jaką mógł kiedyś odziedziczyć. Ojciec zgodził się na to; syn wziął pieniądze i puścił się w świat, lecz wkrótce stracił całą fortunę. Zdala od rodziny, od kraju, do ostatniej doprowadzony nędzy, za jedyny środek ratunku uważał pójście do służby, nic bowiem nie umiał, gdyż niczego uczyć się nie chciał. Z trudem znalazł pomieszczenie, jako pastuch trzody chlewniej.

Wynędziały, zgłodniały, okryty łachmanami, syn marnotrawny z goryczą i łzami zastanawiał się nad swém smutném położeniem. „Ostatni parobek, w usługach ojca mego będący, szczęśliwszego doznaje bytu: należycie odziany, nakarmiony, pracowite wprawdzie, lecz spokojne pędzi życie; tymczasem ja, syn jego, umieram z głodu i nędzy. Wróć do ojca, padnę mu do nóg, będę zebrał przebaczenia za moje występki, prosząc tylko o przyjęcie mię w poczet sług jego.“ Jak mówił, tak téż uczynił.

Ojciec, wzruszony szczerym żalem, przyjął go z otwartemi rękoma, przycisnął do serca i przebaczył wszystko;

nie dość na tém, wyprawił świetną ucztę, na którą zaważał wszystkich sąsiadów i krewnych.

W czasie przygotowań do uczy, nadszedł, właśnie wracający z pola, drugi brat marnotrawnika, który był skromny, pracowity i posłuszny. Ten, chociaż kochał brata, uczył jednak pewien żal, widząc przygotowania i wesołość, spowodowaną powrotem niegodziwca; zaczął więc ojcu czynić wymówki, lecz ojciec mu powiedział: „Mój synu, tyś ciągle był ze mną, na niczém ci nie zbywało, żyłeś w spokoju i obfitości; cały mój majątek twoją będzie własnością; czyż więc nie powinienes się cieszyć, że brat twój, którego mieliśmy za umarłego, zmartwychwstał; że on, stracony, znalazł się wpośród nas.“

Pojęłyście zapewne, kochane dzieci, znaczenie téj przypowieści; przywodząc ją, Chrystus dał do zrozumienia, że Bóg zawsze chętnie przyjmuje najzatatwardzialszych nawet grzeszników, byleby żałowali za swe występki i szczerą okazali poprawę.

Michał Szymanowski. 1863.

7. Wieczerza Pańska.

Uniesienie i radość powszechna, wywołane przybyciem Chrystusa do Jerozolimy, wzmogły tym bardziej gniew i oburzenie Faryzeuszów przeciw Zbawicielowi. Z zazdrością widzieli, jak tłumy uczni i słuchaczy, otaczające Chrystusa, zwiększały się z każdą chwilą; jak nawet pomiędzy niemi samemi widać już było pewne wahanie się na stronę nowego mistrza, głoszącego wszystkim równość, braterstwo, upadek ciemności i błędów, wskazującego ludom cel wyższy i święty, oparty na miłości, nadziei i wierze.

Postanowili zgubić go koniecznie. Zebrani więc na naradę u arcy-kapłana, nazwiskiem Kaifasza, zamierzili schwycić Zbawiciela i śmierć mu zadać, obawiali się jednak

wzburzenia ludu, które, w razie gwałtownego i jawnego uwięzienia Chrystusa, koniecznie by nastąpiło. *

Zafrasowanym i przemysławającym nad środkami dopięcia swego zamiaru przysłała w pomoc zdrada.

Jeden z uczniów Chrystusa, Judasz Iskaryjota, człowiek chciwy i skąpy, dał się uwięść namowom Faryzeuszów i przyrzekł im, że wówczas, gdy Chrystus znajdować się będzie w miejscu bezpiecznym i odosobnionym, zaprowadzi tam siepaczy, wskaże im Zbawiciela i wyda go w ich ręce. W nagrodę za tak nieczny i haniebnny postępek, za zdradę ukochanego mistrza i Pana, wybawcy ludów, otrzymał Judasz trzydzieści sztuk srebrnych pieniędzy.

Nadszedł wreszcie pierwszy dzień świąt Paschy. Uczniowie Chrystusa poczynili wszystkie przygotowania do należącego obchodu tej uroczystości; Syn Boży zasiadł do wieczerzy w gronie Apostołów, a występny Judasz poważył się zająć miejsce w towarzystwie Chrystusa. Zbawiciel rzekł do zebranych, iż gorąco pragnął pożywać z nimi tę ucztę, zanim nadejdzie czas męki jego, a zarazem oznajmił im, iż jeden z nich go zdradzi.

Wszyscy z przerażeniem spojrzeli po sobie; każdy zapytywał, czy nie na niego pada podejrzenie tej niesłychanej zbrodni, a Chrystus, pochyliwszy się do siedzącego obok Jana, powiedział, że ten właśnie jest zdrajcą, kto jednocześnie z Chrystusem bierze z misy pokarm. Był to Judasz. Chwilowo zmieszany wyrazami Zbawiciela, przyszedł jednak do siebie i zapytał, podobnie, jak inni uczniowie: „Mistrzu, czy to ja?” Chrystus odpowiedział: „Ty sam.”

Myślicie może, że słodycz i łagodność, z jaką Chrystus to wyrzekł, rozbroją zbrodniarza, skłonią go do porzucenia swego podłego zamiaru; że uczuje żal, padnie do nóg Zbawiciela, wyjawi mu całą prawdę i prosić będzie o przebaczenie, które niezawodnieby otrzymał? Bynajmniej. Zatwardziały zbrodniarz nie okazał najmniejszego wzruszenia.

Pod koniec wieczery, Chrystus wziął chleb, błogosławił go, łamał i dawał uczniom, mówiąc: „Bierzcie iżywajcie, to jest ciało moje, które za was i wielu innych będzie wydane.“ Potém wziął kielich, napełniony winem, pobłogosławił je i obdzielił niém uczniów, mówiąc: „Pijcie; jest to krew moja, która za was i za wielu innych przelaną będzie,“ i dodał: „To czyńcie na pamiątkę moję.“

Taż sama wielka, święta tajemnica religii naszej odąd powtarzaną jest codziennie w kościele katolickim i zwie się sakramentem Eucharystyi, sakramentem ciała i krwi Pańskiej.

Michał Szymanowski. 1863.

8. Wniebowstąpienie Pańskie.

Czterdzieści dni po zmartwychwstaniu jeszcze Pan przepędził na ziemi; często objawiał się uczniom swoim, uzbrajał ich, jako posłanników nauki swojej, mocą i rozmaitemi przymiotami i zatwierdził ich, jako świadków swych dzieł i swojej śmierci.

Gdy już wszystkiego dokonał, kazał zgromadzić się przyjaciółom swoim na górze koło Betanii, raz jeszcze pożegnał ich uroczyście, błogosławił ich wzniesionemi rękami i w oczach ich w jasnym obłoku wznosił się ku niebu.

W niemém rozczuleniu patrzyli za nim, upadli potém na twarz i z bogobojném sercem modlili się do swego Pana i Mistrza. Powrócili do Jerozolimy, a ztamtąd udali się w świat cały, z świętą gorliwością głosząc Ewangelią, to jest pocieszającą wiadomość o Jezusie i jego nauce, o jego śmierci pojednawczej, zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu.

Często jednakże zwracali oko swoje ku niemu do nieba, zasilając się tém spojrzeniem do wielkiego swego wołania.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

II. MORALNOŚĆ.

A). NAUKE MORALNE.

1. Śmiech zbyteczny.

Śmiech zbyteczny jest wadą, szczególnie młodemu wiekowi właściwą; trzeba się go więc wystrzegać. Niepodobna jest nie roześmiać się, gdy się coś wesołego, lub dowcipnego słyszy; śmiech umiarkowany nie jest naganny, ale zanosić się od śmiechu, pękać ze śmiechu i nie znać w nim umiarkowania, dowodzi to nierozsądku, braku stateczności i prostactwa.

2. N u d y.

Lenistwo jest najistotniejszą téj choroby przyczyną. Nudzić się jestto czuć jakowąś czczość umysłu, nie wiedzącego, co czynić, szukającego zabawy, a nie mogącego jęj znaleźć. Czytanie i smak w nauce najdzielniejszym jest sposobem do przewyciężenia nudności. Książka — nierozdzielny towarzysz, przyjaciel bez interesu, domownik bez naprzykrzenia; do nięj się w każdej porze udać można. W zasępieniu rozweseli, w tęsknocie zabawi, w każdej okoliczności nauczy i wesprze, byle się do takich udawać, które tchną nauką i cnotą.

Ignacy Krasicki.

3. Oszczędność.

Skąpstwo jest niegodziwe i podłe, oszczędność — chwalebna i pożyteczna. „Idź, ospalcze, do mrówki,” mówi pismo święte; uczą nas te zwierzątka przezorności na potém, jak

zawczasu potrzebie należy zapobiegać. Nie dość na tém, co mamy dziś; trzeba myśleć, co będzie jutro, a nędza nie dokuczy.

Ignacy Krasicki.

4. P r a c a.

Dzieci, wprawiajcie się do pracy, miłujcie ją. Dopełniajcie z upodobaniem obowiązków, jakie na was rodzice i nauczyciele wkładają; przewyciężajcie lenistwo, unikajcie próżniactwa. Niech każde z was wstaje rano; niech się stara, ażeby żadna chwila w dniu całym marnie mu nie zesła; odbywszy zatrudnienia swoje, niech szuka wytechnienia i spoczynku w przyzwoitej zabawie, nie zaś w gnuśnej beczynności. Załujcie dziecka, które z przymusem do nauki idzie, a odbywszy jakąkolwiek zadaną sobie pracę, siedzi w kącie z założonemi rękami, lub wśród dnia drzymie i nudzi się; nigdy ono prawdziwie człowiekiem nie będzie!

Klem. z Tań. Hofmanowa.

5. Z d r o w i e.

Nic nie ma szacowniejszego nad zdrowie; strzeż się więc, córko moja, wszystkiego, co ciału szkodliwem być może, a zachowaj ściśle to, co je w czerstwości utrzymuje. Pewien porządek i prostota w życiu są główną zasadą zdrowia. W pracy, zabawie, w poruszeniu ciała, w jedzeniu, picciu, spaniu, we wszystkiem trzeba być umiarkowaną i pilnie jednych ustaw się trzymać. Jednakowość dni naszych, zamiast stania się przykrą, zbawienny ma wpływ na ciało i duszę człowieka. Na prostocie życia wiele także zawisło; wyszukana wykwinność — każdemu szkodliwa. Bądź zawsze w tej mierze dzieckiem przyrodzenia, a zdrową i swobodną będziesz.

Przyzwyczajaj się do znoszenia niewygód. Kto za nadto się pielęgnuje, ten nie wytrzyma najmniejszej przykrości; lekki powiew wiatru zaszkodzić mu może. Nie odrzucaj cokolwiek przycięszych robót, bo one wzmacniają siły; strzeż się zbytniego ciepła, nie bój się zimna i niepogody. Jednakże nie jest mojem zdaniem, żeby się zanadto hartować; zbytek — we wszystkiem szkodliwy.

Świeże powietrze i umiarkowany ruch także utrzymują nas w zdrowiu. Powszechnie bywa więcej chorób w zimie, niż w lecie, a to dla braku świeżego powietrza i mniej częstego ruchu ciała. W dni piękne parę godzin, w nie-pogodne choć chwil kilka oddychaj świeżem powietrzem; niech codzien okno w twojem pokoju przynajmniej przez pół godziny otwartem będzie. Strzeż się gnuśnej opieszałości, nieczynności, trudnij się, chódź, biegaj, ile możesz. Jest jednak jeden ruch, którego z umiarkowaniem używaj, bo najszkodliwsze może mieć skutki. Domyślisz się łatwo, że mówię o tańcu.

Co jeszcze koniecznem jest do zdrowia, to jak największe ochędstwo. Częste używanie kąpeli i mycie się letnią wodą zalecam tobie, Amelijo; nic lepiej zdrowia i piękności nie utrzymuje.

Jedną jeszcze uwagę zakończę moje rady. Kiedy doświadczysz słabości jakiej, nie bądź niespokojna i, póki tylko możesz, obchódź się bez lekarstw i doktora, ale kiedy słabość zagraża niebezpieczeństwem, lub długiem cierpieniem, nie używaj żadnych domowych leków; poradź się lepiej człowieka biegłego w swęj sztuce, miej w nim zupełną ufność i słuchaj jego rady.

Klem. z Tań. Hofmanowa. 1819.

6. O używaniu pokarmów i napojów.

Przy używaniu pokarmów uważać należy, aby się wystrzegać wszelkich potraw, mających bardzo wiele przypraw,

zwłaszcza tłuszczu, a, przeciwnie, przestawać na małej liczbie potraw, jak najprościej sporządzonych, i aby jeść w miarę, a nigdy do zbytku. Używanie pokarmów nad miarę nazywa się obżarstwem. Skutki jego są: nadzwyczajne napięcie i osłabienie sił, do trawienia potrzebnych, ociężałość, a z niej niechęć i niezdolność do pracy, zbytek krwi i humorów, a ztąd rozmaitego rodzaju słabości, roztrwonienie majątku, niedostatek, ubóstwo i t. d.

Co do napojów, tych o tyle tylko używać należy, o ile ugaszenie pragnienia wymaga, do tego zaś najlepsza jest czysta woda. Mocne trunki dla młodzieży w każdym względzie są szkodliwe; w dalszym zaś wieku, użyte bez miary, pociągają za sobą nałóg pijaństwa, które niszczy zdrowie, skraca życie, przytłumia czucie moralne i fizyczne, osłabia władzę umysłu, zniża człowieka do rzędu zwierząt bezrozumnych, a zatém sprzeciwia się jego godności moralnej, sprowadza pełną hańby nędzę, jest źródłem wszelkiego rodzaju występków. Przeciwnie, zachowanie miary w jedzeniu i piciu sprawia czystość myśli i bystrość pojęcia, czyni człowieka miłym i użytecznym w towarzystwie, przyczynia się do długiego życia, jest jednym z najgodniejszych człowieka środków do zachowywania, a nawet i powiększania majątku, daje sposobność czynienia dobrze drugim, jest źródłem wielu cnót towarzyskich.

Ludwik Koncewicz. 1830.

B). OBRAZY.

1. Kościół wiejski.

Kościół powierzchownie był okazały, wewnątrz porządny. Znać, że parafia była obszerna, ponieważ nacisk ludu był wielki. Porządek w umieszczeniu był bardzo dobry:



osobno bowiem mężczyźni i niewiasty, młodzieńcy i panny, dzieci nakoniec obojęj płci miały swoje miejsca; żeby jednak między młodszymi był porządek, mieli na nich oko starsi i dlatego tak między dziećmi, jako i młodzieżą obojęj płci, sędziwe niekiedy znajdowały się osoby. Ławki w kościele tak były sporządzone, iż ci, którzy stali, lub klęczeli, mogli się na nich niekiedy wesprzeć, ale nie mieli sposobności siedzieć i rozpościierać się mniej przystojnie; że zaś prawe nabożeństwo z roztropnością się zgadza i umie niedołężności dogadzać, były osobne miejsca dla osób sędziwych i słabych tak sporządzone, iż z wszelką wygodą nabożeństwa używać i słowa bożego słuchać mogły. Przede mszą parafijalną wstąpił na ambonę sam ksiądz pleban i zdało mi się słyszeć jednego z dawnych Ojców kościelnych: tak nauki jego były doskonałe, sposób mówienia słodki, postać ułożona, dźwięk głosu wdzięczny, akcja ¹⁾ żywa i poważna. Przeświadczony gruntownie, iż boskie wyroki opowiada, głównie tylko teksty Pisma świętego przywodził na poparcie tego, co mówił. Zdania doktorów kościelnych, użyte skromnie, dodawały gruntowności jego naukom. Jeżeli kiedy przytoczył historję, nie łudził pobożnej ciekawości takowemi powieściami, które częstokroć mniej bacznęj żarliwości przemysł stwarza, nie pomnąc na to, iż słowo boże rzeczywiste podobieństwa nawet fałszu nie cierpi. Trzymając się powszechnych reguł, nie wchodził w szczególne do osób aplikacje ²⁾. Tłumaczył wierne słowa ewangelii i z nich brał pohop do zachęcania słuchaczy do zadosyćczynienia obowiązkom uszanowania dla Stwórcy i miłości bliźniego. Przyznać muszę, iż byłem wzruszony gruntownie i nie mogłem wstrzymać łez słodkich przy takiem opowiadaniu słowa bożego. Skromność mężczyzn i niewiast, układność dzieci, milczenie ludu, dodawały temu

1) Ruchy. 2) Zastosowania.

świętemu miejscu okazałości i przerażały serca zbawiennym postrachem. Po kazaniu nastąpiła msza; tę lud wyuczony śpiewał; łączyłem z nim głos swój i zdawało mi się, iż, uwolniony z więzów ciała, byłem w towarzystwie duchów niebieskich.

Ignacy Krasicki.

2. Miłość synowska

(wyjątek z własnych wspomnień).

Matki mojej wcale nie pamiętam; miałem lat pięć, gdy mię odumarała. Jedyna scena, którą z dziecinnych lat moich pamiętam, jest pogrzeb mojej matki. W późniejszych czasach służące i kobiety wiejskie wiele mi o dobroci jój opowiadały, co najwięcej słuchać lubilem, i im jedynie winienem to przywiązanie do niej, z którym, zdaje mi się dotąd, że żyję. W najsmutniejszych wypadkach późniejszej młodości mojej, zawsze się do niej, jak do patronki, modliłem. Jój postać umarła, którą jedynie pamiętam, zawsze mi smutne i pełne uszanowania czyni wrażenie. Miałem jeden sen o niej, który na długo żywem uczuciem mię przejął. Byłem w wielkim kościele, gdzie ona na chórze, w ubiorze, w jakim złożona była w trumnie, wśród tłumu podobnych jój bladych niewiast, ręką mię do siebie przyzywała. Wnet znalazłem się na chórze, a uściski jój dziwną mię upoiły rozkoszą, gdy nagle ogromny głos od ołtarza *requiescat in pace*, który długo brzmiał mi w uszach, sen mój zakończył. W dziecinnym bardzo wieku napisałem elegiją do cieni mojej matki, lecz jój wcale nie pamiętam; wiem, że ją, płacząc, pisałem, i w nocy, na oknie, tylko przy świetle księżyca.

Nie wiem, czy ten, kto choćby najtkliwszej miłości macierzyńskiej doznawał, mocniej czuł nade mnie, co to jest matka. Imię matki od lat najmłodszych było dla mnie

świętém nazwiskiem. Widok moich spółuczniów i później młodzieńców, przy matkach, napełniał mię rzewném uczuciem. Nie mogłem się utulić ze smutku, który się cisnął w me serce, gdym widział, lub słyszał wyrazy troskliwości i przywiązania macierzyńskiego. Nie tylko dla matek, ale i dla spółuczniów moich, których obok matek widziałem, miałem jakowys dziwny rodzaj uszanowania. Uważałem synów, mających matki, choćby daleko uboższych ode mnie, za jakoweś wyższe, do szczęścia od natury przeznaczone istoty. Kochałem ich więcéj dla tego, że ich matki kochały. Wiele samotnych, nikomu nieznaných łez mię kosztowało, gdym widział dziecię, od matki pocałowane. Może to było dziecinne przesadzone uczucie, ale je pojmie ten, kto, lat dojrzałych doszedłszy, nie znał, co to jest uścisk rodzicielski. Pragnąłem zawsze i mniemałem w sercu, że zasługuję na miłość u kogoś, ale do późnych lat żadnej nie doświadczyłem. Brak matki, która jedynie wychowanie serca dać może; brak istoty, przed którą możnaby się szczerze ze wszystkiemi dziecinnemi fraszkami, z owemi pierwszemi uczuciami wywnętrzyć, rodzi w nas owo uczucie, w sobie samém się trawiące, owę nieśmiałość do ludzi, a najbardziej niebacznóść na swoje postępowanie. Dodziśdnia czuję to w sobie i gdybym dziś jeszcze znalazł taką istotę, ręczę, że powierzałbym jéj wszystko, jak dziecię; we wszystkiém byłbym jéj posłuszny. Każda kobiéta, tytułem matki ozdobna, ma ode mnie jakąś część miłości synowskiej. Zdaje mi się, że potrzebą jest człowieka, aby kochał swą matkę; że, kto jéj niéma, upatruje jéj wszędzie i we wszystkiém chce ją sobie nagradzać. Do znanéj matki tęsknimy w całym życiu, jak do ziemi, na której się nasze życie rozwijać zaczęło; o nieznanéj — marzymy, jak o raju, lub o świecie obiecanym, i nagradzamy ją sobie, tworząc o niéj jak najdoskonalsze wyobrażenia.

3. Dobry kmiotek.

(Wyjatek z mowy pogrzebowej).

W Bogu zeszedł był kmiotkiem tak, jak rodzice i przodki jego. Grzebiemy go w tej ziemi, w której od wieków pracowite dziady i pradziady jego, w Bogu spocząwszy, leżyły.

Rozdał Pan Bóg rozmaite stany między ludzi, rozporządził, co każdy stan działać ma, i każdego z nas w jednym z nich osadza, wedle woli swojej świętej. Zmarły był rolnikiem i czuł powołanie i przeznaczenie boże, a przeto ściśle i ochotnie stanu swego obowiązki wypełniał.

Pracą i uczciwym przemysłem pomnaża się majątek, a chociaż początki bywają małe i przykre, kto się jednak tém nie zraża, a, zaufany w opatrności bożej, szczerze się roboty ima, ten w czasie dojdzie nagrody swojego wytrwania w pracy i przykrości. Tak on czynił: żywił z pracy rąk swoich uczciwie żonę, dziatki, czeladź, i zostawało mu jeszcze tak dalece na nieprzewidziane przygody; iż, lubo się rozmaite zdarzały nieszczęścia, nigdy przecież do tego nie przyszło, aby natenczas do pana udawał się o zapomożenie.

Z małżonką w zgodzie przykładnej strawił wiek; uznawał, iż dana mu była od Pana Boga za nierozdzielną do śmierci towarzyszkę; nie inaczej się więc z nią obchodził, tylko jak z równą sobie. Ztąd w miłości, pokoju, zgodzie i spólném uszanowaniu długie lata przepędzili, a gdy mu ją przed kilku laty Pan Bóg zabrał, lubo, jako prawy chrześcijanin, zgadzał się z wolą Jego, znać przecież było, iż bolał niezmiernie.

Pobłogosławił mu Pan Bóg liczném potomstwem; wychował je w bojaźni jego świętej i doczekał się owęj patrijarchów pociechy, iż oglądał syny i wnuki synów swoich. Jako gałązki oliwne, wznosiły się w okręgu stołu jego, a on się odżywiał, patrząc na bujne latorośle, któremi Pan Bóg sędziwość jego ukrzepiał i cieszył.

Doczekał się starości wielkiej, bo osiemdziesiąt lat wieku swojego przeszedł, ale starość jego była rzeźwa i czerstwa, a téj szczęśliwój, rzadko widzianej pory on sam poniekąd był przyczyną, wiodąc życie pracowite i wstrzemięzliwe. Pędził lata pełne dzieł dobrych, a zbliżając się do kresu, nie trwożył się śmiercią, w której, nauczony wiarą, upatrzył spoczynek po pracy i nagrodę cnotliwego życia swojego.

Ignacy Krasicki.

4. Rodzina włościańska.

W Bogusławicach, wiosce, położonej niedaleko miasteczka C., był włościanin, imieniem Grzegórz, nie tylko tam, ale w całej okolicy, znany z poczciwości, bogobojności, trzeźwości i pracy. Kumem on był wszystkich sąsiadów, sędzią wszystkich sporów, pojednawcą zwaśnionych, doradcą młodych, wsparciem starszych. Nie odbyły się chrzciny, albo wesele, na których by Grzegórz nie dzielił uciechy; nie było pogrzebu, na którym by łez szczerých nie mieszał; słowem, wypełniał to, co nam Paweł święty zalecił: „Ze śmiejącemi się śmiejecie, z płaczącemi płaczcie“, i był, jakto mówią, do Boga i do ludzi. Nie tylko téż go równi kochali, ale i u wyższych miał łaskę i, co większa, szacunek. Bo nie koniecznie, dla zjednania szacunku, potrzeba mieć bogactwa, tytuły, dobre wychowanie: gdyż, jak w znaczeniu i ubóstwie może człowiek odziedziczyć niebo, byle tylko był cnotliwy i pełnił przykazania boskie, tak również zyskać sobie może powszechne poważanie, jeżeli jest rzeczywiście poczciwym. Nieraz Grzegorza rady przyjęte były z wdzięcznością od dziedzica i podobno nie po co innego chodził on do dworu, jak po to, aby swych rolniczych wiadomości udzielał, z którymi jednak nigdy się sam nie narzucał, tylko, zagadniony, objawiał je nieśmiało, wątpliwie, dodając zawsze, iż mu się tak zdaje. Nigdy

także na przednówku nie widziano Grzegorza, aby stał w progu dziedzińca, prosząc o korczyk żyta na chléb, lub ćwiartkę gryki na krupki. A przecież inni sąsiedzi mieli tyleż, co i on, a stali u drzwi pańskich, prosząc raz wraz o wsparcie. Również nie widziano go nigdy płaczącym na jesieni, że mu się wół zapracował; że mu konia ukradziono, gdy jechał z pszenicą do Warszawy, chociaż robił wołmi i jeździł końmi, jak drudzy. Dla czego? Dla tego, że się bał Boga, a za bojaźnią bożą idzie pracowitość, gospodarność i trzeźwość. Tak więc, kiedy u innych bydłęta zgłodzone, spracowane, upadały pod ciężką chłostą, u niego wółki, jak to mówią, okragłe, żeby się na nich woda nie zatrzymała, szły żwawe do pługa i może dla tego lżej, ochotniej ciągnęły, że właściciel, poganiając je zlekka, nucił pobożnie: „Kiedy ranne wstają zorze“, albo: „Boże! z Twoich rąk żyjemy“. Jeżeli jechał kiedy do Warszawy ze zbożem, to nigdzie go hulanka karczemna nie zatrzymała; popasł konika, wstąpił niekiedy na mszę, jeżeli to była wieś kościelna, uprosiwszy wprzód, aby mu kto popilnował wozu, a, po skończonej mszy, w imię Boga ruszał dalej. W Warszawie, jak to zwykle w dużém mieście, zawsze mu co pięknego wpadło w oczy: to modre paciorki, ładniej rznięte, niż w małym miasteczku na jarmarkach, albo odpustach, to ognista wstęga, to jaskrawy kwiatek. Nigdy też Grzegórz nie wracał z prózną ręką do domu; zawsze coś przywiózł swojej żonie.

A żonę miał pocziwą, pocziwą na całą wieś: schludna, gospodarna, zwinna, zręczna; u niej najwcześniejsze kurczęta, najlepsze séry, największe głowy kapusty, najdłuższy len, najbielsze płótno. Ona wstawiała najráníj do pielenia, najdłużej w wieczór siedziała przy kądzieli; zawsze czysto wybieliła izbę, podlepiła komin, zasadziła ogródek kwiatami, aż miło było spojrzeć na wszystko. Naczynia do mléka miała czyste, półki — uszorowane, denka do

nakrycia,—białe, łyżki blaszane—świejące. To też nieraz panicze, albo panienki ze dworu, chętnie zjedli u niej śmietany i wypili maślanki. Kiedy Grzegorzowa stała na podwórku, a krówki wracały z pola, to każda biegła do gospośi, a ta im dała to chleba z solą kawałek, to przygarście trawy; to pogłaskała, bo i bydlatko lubi, kiedy kto je popieści. A ładną owiec trzódkę miała Grzegorzowa; zawsze je w lato czysto pomyła, gładko postrzygła; na jesieni strzeżła je od dészczu, w zimie chroniła od mrozu w dobrze poszytej owczarence; były żwawe, białe, wesołe, bo wszystko żwawsze, weselsze, kiedy mu dobrze na świecie. Pies nawet Burek, stróż owiec, przyjaciół chaty, wcale nie źle wyglądał; nie chodził po cudzych izbach, garnków nie przewracał, kur nie gonił, kurcząt nie dusił, bo jego pani pamiętała o nim; bo, gdzie dobry zarząd, tam nie biędy nie dozna, a jedna szkoda nie pociąga drugiej za sobą. To też każdy parobczak, jeżeli miał się żenić, zaraz powiadał: „Oj! żeby choć taką dostać kobiécinę, jak ta Grzegorzowa“. Bo i prawda, że mieli sobie co życzyć: „dobra żona—męża korona“, mówi przysłowie, a dodać można: „nie ma większej zalety, jak pobożność u kobiety“. Nad Grzegorzową zaś nie było podobno pobożniejszej w całej wiosce: co dzień rano i wieczór klęczący odmawiała pacierza, w każdą niedzielę i święto chodziła do kościoła na sumę; słowa bożego, które kapłan ogłaszał dla zbudowania wiernych, słuchała uważnie. A nie tylko słuchała, ale i wykonywała przykazania boskie, tak właśnie, jak jój pastérz zalecał: była litościwą dla biędnych, uczynną dla równych, cichą, spokojną, nie swarliwą. To też błogosławieństwo boże widoczne było nad nią: przy pracy i miernym dostatku zdrowie sprzyjało jój, mężowi i dziatkom, które Bóg dla prawdziwej zesłał im pociechy.

Marysia i Agatka były już spore dziewczynki: jedna miała lat 11, druga 10 może. Więcój rodzeństwa nie było,

ale, właśnie dla tego, że ich więcej nie było, te dwie kochały się bardzo. Zawsze razem chodziły, razem się bawiły; co rano i wieczór, klęcząc, wspólnie odmawiały paciérze, co tydzień zbierały kwiaty na wieńce do obrazu Matki Boskiej, co niedziela ubierały się jednakowo. W dniu powszednie pomagały matce w rozmaitych zatrudnieniach; zawsze wypełniały z chęcią każde polecenie swoich rodziców i były od wszystkich lubione.

Józefa Prusiecka.

G. POWIASTKI I OPOWIADANIA.

1. Pleban i kmiotek.

Pobożny jednej wioski pleban, przechadzając się po polu, napotkał młodego kmiotka. Kmiotek był zadumany, patrzył ze smutkiem na zagony. „Cóż ci to, moje dziecię?” zapytał się go dobry pleban. „Trapię się i kłopotę“, odpowiedział chłopak; „mój jęczmień wschodzić nie chce“. „Próżne i niepotrzebne te troski“, zawołał pleban. „Po cóż się martwić rzeczą, której zaradzić nie zdołasz? Żebyś tu cały dzień stał i dumał, czy dla tego jedno ziarnko kiel wypuści? I mój jęczmień jeszcze nie zeszedł, ale ja się tém nie trapię. Uprawilem dobrze rolę, wyczyściłem ją z zieliska, wrzuciłem w nią czyste ziarno; resztę zostawiam Bogu, bo zaorać i zasiać nędzny człowiek może, ale wzrost i plon w rękę jest nieba. My ludzie dopełniamy tylko tego, co do nas należy; wszystkie dalsze troski i owoce pracy naszej polecamy Bogu. On o nas pieczę mieć będzie, on nieudolność naszą zastąpi“.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

2. Dobroczynność i oszczędność.

Gwałtowny ogień wielkie zrządził szkody w pewnej wiosce. Chatka ubogiej, obarczonej rodziną wdowy, stała się pastwą płomieni. Nieszczęśliwa matka ujrzała się na raz żebraczką.

Zmuszona potrzebą, wzięła dzieci za ręce i, zalévając się łzami, poszła szukać wsparcia. Przedewszystkiém udała się do mieszkającego w sąsiedztwie zamożnego dzierżawcy. Zbliżając się do dworu, zastała go na dziedzińcu surowo gromiącym jakiegoś parobka za to, że przez noc całą zostawił na dészczu kilka starych postronków.

„Ach! mamó“, rzekł starszy synek, „odejdźmy ztąd; my tu nic nie dostaniemy; to jakiś skąpiec; czy nie słyszysz, jak się gniéwa na fornała za taką drobnostkę“?

„Moje dziecko, nie trzeba sądzić z pozorów; ten człó-wiek jest bardzo oszczędny, może też jest bardzo dobroczynny“.

Nie myliła się biedna kobiéta. Dzierżawca, spostrzegłszy ją, przystąpił natychmiast, a skoro się dowiedział, że była jedną z ofiar nieszczęścia, wydarzonego w sąsiedztwie, rzekł do niéj ze wzruszeniem:

„Chodźcie do dworu, chodźcie i posilcie się przede-wszystkiém; żona moja wynajdzie potém coś z odzieży dla was i dla waszych dzieciaczków, a nareszcie naradzimy się nad środkami przyjścia wam w pomoc. Jakoż, zaraz po śniadaniu, wręczył wdowie znaczną kwotę piéniedzy i przyrzekł nadesłać co prędzéj zboża na siéw i drzewa na budowę nowéj chaty i obory, dodając, że, jak wszystko będzie gotowe, to znajdzie się i krówka i prosiátko i gąska“.

Trudno opisać wdzięczność wdowy, a nadewszystko zdziwienie dzieci, na widok téj niespodziewanéj całkiem wspaniałomyślności. Spoglądały to na matkę, to na dzierżawcę, z nieopisaném podziwieniem.

Gdy się już oddalili, matka zrobiła im następującą uwagę:

„A widzicie, że nigdy nie trzeba sądzić z pozoru. Człowiek ten jest oszczędny; oszczędnością i porządkiem dorobił się znacznego majątku, którego tak szlachetnie używa. Gdyby był mniej dbałym o swoje mienie, nie byłby się znalazł w możności przyjscia dziś w pomoc zubożałej wdowie i sierotom“.

3. Wdzięczność niebu.

Młody August w dzieciństwie stracił rodziców. Spędziwszy długi czas nie napróżno w szkołach, przyszedł nareszcie do pełnoletności i znaczny objął majątek. Wkrótce potem ciężko zachorował. Długo ciągnęła się choroba, długo o życiu jego wątpiono, ale przecież niespodzianie odzyskał zdrowie. Było to w czasie wiosny. Kiedy pierwszy raz wyszedł do ogrodu i spojrzał na nowe życie przyrodzenia; kiedy, po tak długim zamknięciu w pokoju, ujrzał się pod pięknym niebem, sam, bez cierpienia, i myślał, że nowe rozpoczyna życie, w radości swojej, oczy podnosząc ku dawcy wszelkiego dobra, zawołał: „O! wielki Boże! czemuż Ci twych dobrodziejstw zapłacić nie mogę? jakżebym chętnie cały majątek poświęcił na wywdziękowanie się Tobie“. August, lubo już pełnoletni, miał jeszcze przy sobie dawnego nauczyciela: był to człowiek pełen lat i cnoty; ktokolwiek patrzył na przywiązanie i troskliwość jego względem Augusta, na uszanowanie i uległość młodzieńca, mógł się łatwo pomylić: jednego wziąć za ojca, drugiego — za syna. Nawet w czasie téj pierwszój wychowańca przechadzki, czuwał nad nim troskliwy opiekun i usłyszał te słowa, które w uniesieniu głośno był wyrzekł. Zbliżył się ku niemu; August, zobaczywszy go, toż samo powtórzył.

„O! jak mię cieszy“, powiedział nauczyciel, „że w tym zapale złożyłeś życzenia, które spełnić możesz; jutro, jeśli siły pozwolą, podam ci sposób pewny zadosyć uczynienia twym chęciom“. „Czy być może“? zawołał August, „ach! jakżem tego jutra ciekawy“!

Nadeszło jutro, a młodzieniec, coraz silniejszy, naglił sędziwego przyjaciela, żeby obietnicy dopełnił. Wzięli się pod ręce i wyszli z pałacu, już nie do ogrodu, jak wczoraj, ale na wieś. Długo bez pana zostająca wioska nie bardzo kwitła; waliły się domostwa wieśniaków, ogrodzenia były popsute, nie zieleniło się ani jedno drzewko; dzieci w podartych koszulach uciekały, jakby dzikie. Ten widok smutkiem okrył bladą jeszcze twarz Augusta. „Gdzież mię zaprowadziłeś, przyjacielu“?, wyrzekł z lekką wymówką. „Chciałem ci wskazać ołtarz na składanie ofiar twoich“, odpowiedział mąż sędziwy. „Wczoraj, unosząc się wdzięcznością ku temu, który ci zdrowie przywrócił, całym majątkiem dobrodziejstwo to odpłacić pragnąłeś; poświęć część tylko, odbuduj te domostwa, wysadź drzewami drogi, wspomóż włościan swoich, załóż szkółkę dla tych dzieci, doglądaj sam, aby te zbawienne nakłady nie zmarniały, a sówicie wypłacisz się niebu“. Podobaly się te słowa skłonnemu do czynienia dobrze Augustowi; usłuchał téj przyjaciela rady.

W rok potém o téjże porze August przechadzał się znowu po wiosce swojej; widok jój nie smutkiem, ale radością okrył już świeżą twarz jego: stały rzędem porządne domostwa z murowanemi kominami, żywemi płoty ogrodzone; w tyle każdego założony był sad mały, topolki na drodze już się zieleniły; kilkoro dzieci, porządnie ubranych, szło do szkoły, skłoniły się wszystkie młodemu panu. Szczęśliwy August ścisnął rękę przyjaciela, a on mu powiedział: „Podobnie postępuj zawsze; niech za każdym dobrodziejstwem nieba wdzięczne oko twoje ku niebu się wzniesie,

ale potem spuść je na braci twoich, mniej od ciebie szczęśliwych, bo, czyniąc dobrze dzieciom, najlepiej wywdzięczysz się ich Ojcu“.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

4. Cześć dla rodziców.

Jedną z najpiękniejszych cnót jest prawdziwa cześć dla rodziców, zwłaszcza, gdy w stosunkach wzajemnych między dziećmi a rodzicami wyjątkowe zachodzą okoliczności, np. kiedy dziecko zdolnościami swemi, lub trafem losu, dobije się świetniejszego położenia. Potrzeba bowiem szczególnie cnoty i wzniosłości umysłu, aby, stojąc na wyniesieniu, przyznać się głośno, bez rumieńca fałszywego wstydu, że ten oto kmieć, lub rzemieślnik, jest moim rodzicem; ażeby tę zgrubiałą od pracy rękę ucałować z pokorą i rozrzwinięciem, lub zniżyć się do nóg, obutych w ciężkie chodaki.

Jednym z podobnych ludzi jest bez zaprzeczenia Jakub Pantaleon, znany w historyi pod imieniem Urbana IV, papieża.

Urodził on się we Francyi w miasteczku Troa (Troyes), na początku XIII wieku. Ojciec jego, człowiek prosty, uczciwy, z profesyi szewc, tak zamiłował swoje powołanie, że, w marzeniach swoich rodzicielskich, nie znajdował nic świetniejszego dla swego jedynaka Jakubka, jak ujrzyć go kiedyś zdolnym majstrem rzeczzonego kunsztu. Nie badając więc synowskich skłonności i usposobień, starał się wzbudzić w nim podobne swemu zamięłowanie do profesyi, dziedzicznej w ich rodzie, a, jeśli słowa nie wystarczały, uciekał się wtedy do środków wymowniejszych, ale zarazem boleśniejszych.

Nasz Jakubek, jako dobry syn, znosił postępowanie ojca z poddaniem i spełniał jego rozkazy, jak mógł najlepiej, chociaż do stanu tego żadnego nie czuł powołania; kręcił dratwy, smarował je pakiem, lub klepał młotkiem.

na kamieniu podeszwy, a starał się robić to wszystko dobrze i żwawo: dobrze dlatego, że był sumiennym, żwawo zaś dlatego, ażeby, po skończeniu wyznaczonéj roboty, mieć kilka chwil wolnych dla siebie.

Ciekawi zapewne będziecie, jak nasz Jakubek chwil tych używał. Otóż, jak tylko skończył robotę, zaraz wydobywał ukrytą pod obrzynkami skór pargaminową książeczkę, darowaną mu przez zakonników sąsiedniego klasztoru, siadał w kącie na ziemi i własne swoje wykonywał rzemiosło, to jest uczył się czytać, a ile razy trafił na trudność, której własnym rozumem pokonać nie zdołał, wymyślał się wtedy z izby i biegł do klasztoru, gdzie mu znajomi zakonnicy żądanych objaśnień chętnie udzielali.

Z przykrością widział majster Pantaleon te syna do klasztoru wycieczki i nieraz go za nie surowo strofował. Jakubek przyjmował z pokorą strofowania ojca, ale chęć do nauki tak w nim silnie rozgorzała, że wołał się narażać na karę, lub połajanie, aniżeli odmówić sobie rozkoszy, jaką w nauce znajdował.

Zakonnicy, oceniając zdolności chłopca, starali się skłonić wielokrotnie ojca, aby im swego jedynaka powierzył na wychowanie, ale niełatwe było to zadanie: majster Pantaleon uparty był, jak kozieł. Przekonawszy się jednak z upływem czasu, że Jakubek nie ma najmniejszej ochoty, ani zdolności do profesyi, martwił się biędny ojciec przyszłością syna. Takie bowiem miał uprzedzenie, że, po za rodzinnym warsztatem, nie było dla Jakubka szczęścia, ani nawet sposobu do życia.

Aż dnia jednego, po głębokim namyśle, stroskany i smutny, rzekł sobie w duszy:

„Nie udał mi się chłopiec, lecz sam Bóg widzi, że w tém nie moja wina. Jeśli tedy nie mogę mieć téj pociechy, żeby po mojej śmierci prowadził dalej uczciwe ojcowskie rzemiosło, niechaj przynajmniej mam tę pewność,

że nie umrze z głodu. On tak lubi zakonników i oni go nie mniej widać lubią, kiedy się o niego tak napiérają; niechże więc sobie idzie wreszcie do nich z Bogiem, kiedy nie może być inaczej“.

Powziąwszy to postanowienie, pòwiódł zaraz Jakubka do klasztoru i, polecając go przełożonemu do klasztornych posług, zalecił mu pod błogosławieństwem niezłomne dla starszych posłuszeństwo, poczém ucałował go w głowę przy rozstaniu, otarł łzę płynącą z oka i, powróciwszy do domu, już się o niego nie troskał.

Zakonnicy, którzy w małym jeszcze chłopięciu dostrzegali niezwykłą pojętność oraz chęć do nauki i wiele innych pięknych przymiotów, jakie baczności ojca uchodziły, ucieszyli się niezmiernie z nabycia młodziana, pełnego pięknych na przyszłość nadziei, i nie użyli go do posług, do jakich go ojciec zalecał, ale pomieścili bezzwłocznie w seminaryjum.

Sposobiony tam młodzian do stanu duchownego przodkował wszystkim towarzyszom; w końcu, przygotowany do kapłaństwa, odebrał święcenia i został wysłany do innego klasztoru, gdzie go wkrótce niepospolite zdolności wyniosły na godność przełożonego.

Ksiądz Jakub Pantaleon, dawszy się poznać stolicy Apostolskiej, pozyskawszy jój szacunek i względy, nie czekał długo na dalsze godności: przebiegł wprędce rozmaite stopnie hierarchii duchownej, otrzymał dostojenstwo Jerozolimskiego patryjarchy i kardynałstwo; wreszcie, gdy stolica Apostolska, ze śmiercią papieża Aleksandra IV, zaważowała, osiadł na niej, pod imieniem Urbana IV, i z pożytkiem dla całego świata chrześcijańskiego i chwałą dla kościoła panował lat 4, od włącznie roku 1261 do włącznie 1264.

Żywot Urbana IV obfituje w budujące przykłady religijnej świątobliwości i wielkich cnót. Zpomiedzy nich

wspomnimy tylko o synowskiém jego przywiązaniu i czci, ojcu okazanej.

Stary Pantaleon, dowiedziawszy się o najwyższej ziemskiej syna swego godności, lubo już wtedy był w bardzo podeszłym wieku, uszył przecież dla niego papucie (rodzaj obuwia) i sam do Rzymu odniósł. Urban IV, gdy mu dano znać o przybyciu ojca, wyszedł natychmiast na jego spotkanie, i, klękawszy przed starcem, nogi jego ucałował.

Trwalszy on jeszcze synowskiego swego przywiązania pozostawił pomnik, który dotrwał do naszych czasów. W rodzinném swojém miasteczku, w miejscu, gdzie był niegdyś domek ojcowski, wystawił prześliczny kościół gotycki, dotąd zadziwiający znawców pięknoscią swęj architektury; na pamiątkę zaś swego pochodzenia, na szybach okien tęg świątyni, kazał przedstawić ojca swego, szyjącego buty.

Floryjan Czermański.

5. U I.

Ze wszystkich blizkich nam krain nie ma piękniejszej i bogatszej nad Ukrainę. Tam ogromne niwy, niezmierzone okiem, plenny kłos wydają; bujna trawa zarasta niezmierne stopy i tuczy niezliczone stada bydła, koni i owiec. W południowej części widzieć można sady morwowe i winne latorośle; brzoskwinie dojrzewają bez osłony; soczyste arbuzy, pachnące melony rosną na zagonach; roje pszczoł najwyborniejszy miód wydają; słowem, jest to ziemia obiecana, w której rolnik z małą pracą wyżywia siebie i liczną często rodzinę, a tém, co mu zbywa, wspomaga w potrzebie dalekie narody.

W tęgto krainie, niedaleko rzeki Samary, bogaty jeden dziedzic znaczne posiadał włości. Wielkie miał dochody z licznych stad i z żyznych obszarów, lecz nie mniejszą mu pszczoły czyniły intratę. Hodował je starannie; miód

podbiérany tak był czysty, biały i smaczny, że ze wszech stron przyjeżdżano go kupować. Dziedziec ten był ojcem kilkorga dziattek; Jaś, syn jego najstarszy, kończył już rok dwunasty. Jaś miał serce dobre, głowę otwartą, pojęcie bystre, był zwinny, zręczny, usłużny, ale nadto żywy i nie-uważny, przyzwyczaił się od dzieciństwa wszystkim figle płać, rozmaite szkody wyrządzać i doskonałym był psotnikiem. Wybiérał gniazda biédnym ptaszkom, trząsł nie-dojrzałe owoce, łamał drzewa, tłukł szyby w oknach, psuł wszystko, co napotkał, darł i plamił suknie. Wszędzie go było pełno, każdemu dokuczył, wszystko ruszył i, co mógł, zniszczył.

Jak tylko gdzie znalazł kawałek szpagatu, albo tasienki, natychmiast skręcał sobie biczyk, biegał z nim po wszystkich pokojach, trząsał na tę i ową stronę i nie raz ledwie oczu nie wybił braciom i siostrom swoim. Nic przed nim nie uszło: wszędzie zajrzał, wszystko zobaczył; nieraz z brogu, nieraz z drzewa zleciał na ziemię; raz wpadł w rzekę i mało nie utonął. Ojciec raz gdzieś wyjeżdżać musiał, zostawił dzieci wszystkie w domu; miał piękne meble, stoły, szafki, biurka, komody mahoniowe, kanapy i stołki, materjęą jedwabną kryte. Jaś tak się pięknie w niebytności ojca uwinął, że wszystkie stoły, szafki, biurka i komody naokoło poobrzynał, a na stołkach i kanapach wielkie plamy masłem porobił.

Nie skończyłbym tak prędko, gdybym chciał wszystkie psoty Jasia wyliczać; onby ich sam zrachować nie mógł, bo co dzień nowe płał. Napróżno ojciec go łajał, bił, na pokutę osadzał; nic nie pomagało. Jaś, zawsze nieprzyzwojnie ubrany, sińce miał po całym cieie, oczy podbite, po kilka guzów na czole. Niczego mu nastarczyć nie można było i, choć mu daleko więcej sprawiano, niż innym dzieciom, on zawsze był brudny, zawałany i obdarty. Suknie jego tak były poszarpane, kapelusz tak połamany,

koszula tak pognieciona, że, kiedy kto z obcych do dworu zajężdżał, Jaś zawsze pędem uciekał, krył się po kątach, żeby się nie pokazać gościom. Nieraz mu ojciec mówił: „Jasiu, Jasiu! przypłacisz ty drogo swoją swawolę“. Jaś jednem uchem słuchał ojca, a drugie nadstawiał, czy mu się jaka sposobność zrządzenia komu figla nie zdarzy. Czynił to nie ze złego serca, bo dobrym był w gruncie, ale z nieuwagi, ze zbytnej wesołości i z téj niebezpiecznej chętki, którą mają często dzieci, żeby wszędzie zajrzeć, wszystko ruszyć, do wszystkiego się wmięszać.

Każdemu wiadomo, że ze wszystkich miódów naszych najpiękniejszy i najlepszy jest lipiec: biały, jak śnieg, słodki, jak cukier, zapach i smak ma wyborny. Zowią go lipcem dla tego, iż w tym miesiącu podbierany bywa i że szukają go pszczoły na lipach, okrytych wtedy wonnym kwiatem. Jaś słyszał już nieraz o tym przedziwnym miodzie i jeszcze w Maju pomyślał sobie: „Jak Lipiec nadejdzie, nie będę ja czekał, aż bartniki ojca miód podbierać zacząną: sam sobie poradzę! Jeszczem téż nigdy ula wewnątrz nie widział, a tam ładnie być musi!“! Opodal od domu był wielki pszczelnik; w nim stało kilkaset pni pszczół. Najstarszy bartnik klucz miał od téj zagrody; parkan wysoki otaczał ją w koło. Gdy Lipiec nadszedł, Jaś myślał długo, jakimby się sposobem dostać do pasieki, bo parkan był gładki i wejść po nim nie można było. Nareszcie postarał się w sekrecie o drabinę, dnia jednego wstał bardzo rano, kiedy jeszcze wszyscy spali, z trudnością przyciągnął ją pod pasiekę, przystawił do parkanu, wszedł po niej na sam wierzch, stanął mocno i z wielką biędą przełożył na drugą stronę. Kontent, że mu wszystko szło szczęśliwie, jak z płatka, zszedł po niej na dół, a gdy się ujrzał w pasiece, podskoczył z radości. Włożył rękawiczki na ręce, narzucił chustkę na głowę, potem włożył kapelusz, ażeby się choć cokolwiek od pszczół osłonić.

Zbliża się do pierwszego ula; zapełniony; w środku tylko mały otwór, ale dla pszczoły, nie dla niego. Nosił on zawsze przy sobie nóż spory, który mu do wszystkich szkód służył; dobył go i póty dłubał, skrobał, wyrzynał, próbował, póki ula nie otworzył.

Śmiało wyciągnął Jąs rękę i chciał wyjąć plaster miodu. Pszczoły, które wtedy najgorsze, kiedy im się robota zabiera, wysypały się pod chustkę. Chcąc się od nich uwolnić, przez nieostrożność zrzucił i kapelusz i chustkę, i tak całą twarz i głowę odsłonił. Opanowała ją rozjątrzona zresza; napróżno oganiał się, uciekał, wszędzie go ścigały, jad swój i żądła wpuszczały w twarz, w głowę i w szyję szkodnika, tak, że naostatek ze strachu i z bólu z całej siły krzyczeć zaczął. Usłyszał krzyk bartnik, który wtedy szedł do pasieki i, podług zwyczaju swojego, codzień ją, dla opatrzenia pszczół, odwiedzał; nie chciał jednak wierzyć, żeby ten głos był ztamtąd, bo nie pojmował, jakimby sposobem mógł się kto dostać do niej bez klucza. Otworzył jednak drzwi i z zadziwieniem i z przestraczem zobaczył Jasia, leżącego na środku i prawie w konwulsyjach, z krzyku, bóleści i przestraczu. Znali wszyscy domowi, jaki z niego był rozpustnik, domyślił się więc bartnik, co go tam sprowadziło. Przelekniony, widząc panicza w tak okropnym stanie, porwał go co tchu na ręce, okrył połą sukmany i pobiegł co sił do dworu. Twarz Jasia tak strasznie spuchła i zaogniła się; oczy tak mu na wierzch wyszły, iż rodzony ojciec ledwie go poznał, a on, ani jego napomnień i pożałowań, ani płaczu rodzeństwa i domowych słyszeć nie mógł, bo zupełnie od zmysłów odszedł.

Rozebrano go naprzód, bo kilka pszczół zakradło się aż pod suknie; powyjmowano żądła, obłożono mu twarz całą i głowę błotem; niezmierny ból cierpiał; przez dni kilka miał taką gorączkę, że z łóżka nie mógł się ruszyć. Bali się długo, żeby nie oślepl, gdyż koło oczu największe

było nabrzmienie, i wszyscy uznali, że, gdyby Bóg litościwy nie był w tę chwilę bartnika do pasieki przyprowadził, byłby Jaś skonał na miejscu. Kilka tygodni minęło, nim do siebie zupełnie przyszedł, a na całe życie jedno oko zrobiło mu się od drugiego odmienne, bo powieka długo zagoić się nie chciała.

Tak srogą i okropną naukę dostał Jaś. Czas pokazał, że wyszła mu na dobre. Tyle ucierpiał, tak długo chorował, że po tym przypadku odzwyczaił się zupełnie od zrzadzania szkody; chociaż żywy, stał się uważnym, powolniejszym; słuchał ojca i starszych, nie mięszał się nigdy do tego, co do niego nie należało, i odtąd już ani sobie, ani drugim, nie czynił przykrości. Już wyrósł słuszny i ile razy spojrzy w zwierciadło i zobaczy krzywe oko swoje, tyle razy dziękuje Bogu, że mu dał taką naukę i że tak szpetny nałóg, który mógł nawet zepsuć serce jego i charakter, tak mały mu tylko ślad zostawił.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

6. Miłość prawdy.

Święty Jan Kanty, wracając raz do domu od chorąg staruszki, przy której łożu dopełniając powinności służi bożego, udzielając religijnej pociechy, tak radą, jak modlitwą, przyczynił się do powrócenia jój zdrowia, wdzięczny Bogu za to, że mu dozwolił usłużyć bliźniemu, szedł do cichego swojego schronienia, odmawiając paciérze. Wieczór się zbliżał, kiedy znużony długą drogą kapłan zboczył do lasu, by spocząć trochę i przed skwarném jeszcze schronić się słońcem. Alić zaledwie znikł mu z oczu gościniec, gdy kilku zbójców, wypadłszy z gęstwiny, otoczyło świętego męża, domagając się pieniędzy i grożąc mu śmiercią, jeżeli dobrowolnie nie odda im wszystkiego, co ma przy sobie.

„Śmierci się nie boję“, odrzekł Jan spokojnie, „bo ta jest w ręku Boga, lecz, aby was od zbrodni zabójstwa wstrzymać, oddaję chętnie wszystko, co posiadam“.

„Przysiąż nam, że nie masz nic więcej przy sobie“, zawołali zbójcy.

„Bóg mi świadkiem, że to ostatek tego, co miałem“.

Nie nalegając dłużej, złoczyńcy uszli w zarośla, a Jan święty szedł dalej drogą do domu, dziękując Bogu, że go wyrwał z niebezpieczeństwa, gdy nagle, sięgnawszy ręką do kieszeni, spostrzegł z przerażeniem, że w niej jeszcze sztuka monety została.

Zmieszany, strwożony, że mimowolnie popełnił kłamstwo, wraca śpiesznie w stronę, w którą odbiegli zbójcy, i, po długim szukaniu, znalazłszy miejsce ich spoczynku, rzecze do zdziwionych powrotem jego:

„Darujcie! skłamałem mimo chęci; oto jeden jeszcze pieniądz pozostał mi w kieszeni; weźcie go“.

Złoczyńcy, zdziwieni taką miłością prawdy i cnoty, padli na kolana przed sługą bożym i, wracając mu zabraną sumkę, prosili, by ją między ubogich rozdzielił, a czasem i za nich się pomodlił.

My zaś zachowajmy w sercu ten przykład, że zawsze i wszędzie względem Boga i ludzi, względem cnotliwych i występnych, w prawdzie i szczerości postępować należy, a jeżeli nam się kiedy choć mimowolnie z tej drogi zejść zdarzy, wracajmy na nią czémprędzej, bo im dalej, tym trudniej, im później, tym gorzej.

Paulina Kraków.

7. K a p i e l.

Wczesna to jeszcze była pora roku, bo nawet Kwiecień się nie skończył, a już słońce świeciło tak dziwnie ciepło i pięknie, że się drzewa w młodą okryły zielenią,

a kwiaty gwałtownie z ziemi wzbijały. Małemu Marcinkowi zdawało się nawet, że jeszcze jest goręcej, niż wśród lata, i uczuł największą ochotę pójść do rzeki i ochłodzić się w kąpieli. Ponieważ umiał pływać prawie równie dobrze, jak rybka, albo kaczka, a przeszłego lata prawie codziennie chodził do kąpieli, przeto nie wątpił, że i teraz od ojca otrzyma pozwolenie, i dla tego tylko powiedział: „Kochany ojcze, chcę się pójść wykapać“.

„Nic z tego“, odrzekł ojciec. „Chociaż powietrze już jest ciepłe, lecz woda jeszcze zbyt zimna i byłoby nader niewczesnie, gdybyś teraz już chciał zadosyć uczynić tak nierozsądnej chęci. Poczekał jeszcze ze sześć albo osiem tygodni, a potem będziesz się mógł kąpać, ile zechcesz“.

Marcinek potrząsł głową. „Ojciec zbyt bojaźliwy“, rzekł do siebie, „ale co to szkodzi“? Dziś wieczorem pójdę, a na drugi raz jużem nie głupi, żebym się znowu poprzednio o pozwolenie miał pytać“.

Było to bardzo naganne, że, oprócz swój niecierpliwości, chciał jeszcze być nieposłusznym; zaraz też zobaczymy, jak został za to ukarany. Kiedy nadszedł wieczór, wymknął się potajemnie z domu i pobiegł do rzeki, która może o kwadrans drogi była oddaloną. Jeszcze słońce zupełnie nie zaszło, a zatem i powietrze ciągle jeszcze było ciepłe i przyjemne. Marcinek zaraz zrzucił z siebie suknię, cokolwiek się tylko ochłodził, a potem głową naprzód wskoczył do rzeki. Lecz, zaledwie poczuł wodę, przestraszył się, bo zaraz poznał, że ojciec miał słuszość. Woda była jeszcze zimna, jak lód, i zupełnie oddech mu zabiła. Czuł, jak członki mu drętwią pod wpływem tego zimna i natężyć musiał całą siłę, żeby tylko przedewszystkiém dopłynąć napowrót do brzegu. Udało mu się to nareszcie, choć z wielką biędą. A trzeba wiedzieć, że istotnie był dobrym pływakiem, ale drżał cały od zimna i dzwonił zębami. Wprawdzie ubrał się jak najprędzej i piorunem pobiegł

do domu, ale złe już się było stało i już nie można było go naprawić. Marcinek gwałtownie się zaziębił i za przedwczesną swoją kąpiel został ukarany długą i ciężką chorobą, któraby go była prawie do grobu wpędziła. Powoli tylko przyszedł do siebie i przez całe lato, z obawy recydywy, nie było mu już wolno się kąpać. To go też najwięcej bolało, ale na taką karę, jakkolwiek bardzo surową, sprawiedliwie sobie zasłużył.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

8. Bóg wszystko widzi.

Pan Z* przechadzał się dnia jednego z synem swoim, Floryjanem, po polu. Był to czas jesienny, a jeszcze ciepło było. Florkowi pić się zachciało; obróciwszy się do ojca, rzecze:

Syn. Ach! ojcie, pić mi się chce. Patrz, jakie w tym ogrodzie są piękne gruszki na drzewie. Chętniebym zjadł ich kilka.

Ojciec. Wierzę temu, mój synu, ale ogród jest zamknięty.

S. Ja łatwo przez płot przeleżę.

O. A cóżby na to właściciel tego ogrodu powiedział?

S. Zapewne go tam nie ma, bo nikogo nie widzę.

O. Mylisz się, moje dziecko; jest ktoś taki, co patrzy na nas i mógłby nas ukarać sprawiedliwie, bo to jest grzech wkradać się do cudzego ogrodu.

S. A któżby to nas widział, mój ojcie?

O. Ten, który wszystko widzi i słyszy; który przenika myśli i serca nasze, to jest Bóg.

S. Prawdę mówisz, mój ojcie; nie przyszło mi to na myśl.

Tymczasem człowiek, który leżał na murawie, podniósł się i odezwał do nich z za płotu: „Podziękuj Bogu, moje

dziecko, że twój ojciec nie pozwolił ci wleźć dó mego ogrodu. Pod tém samém drzewem zastawione są żelaza na złodziejów; byłbyś w nie wpadł i, uchwycony za nogę, zostałbyś na całe życie kaléką. Ale, ponieważ usłuchałeś przestrogi ojca i pokazałeś, że się Boga boisz, udziелę ci owoców, na które masz taki apetyt“. Wtém poszedł i przyniósł Floryjanowi czapkę gruszek. Pan Z* chciał mu płacić za nie, ale pocziwy starzec nie chciał nic przyjąć, mówiąc: „Bóg mi to nagrodzi“. Podziękowali obaj starcowi za tę uczynność.

Odchodząc, rzekł Floryjan do ojca:

S. Co to za pocziwy starzec!

O. Prawda, mój synu. Czuje on to, że Bóg dobre uczynki nagradza, a złych nie puszcza bez kary.

S. Czyżby mię Bóg za to ukarał, gdybym gruszkę zerwał?

O. Wszak ci powiedział ten starzec, coby cię było spotkało.

S. To prawda, żebym się był skaléczył, ale to nie Pan Bóg te żelaza zastawił.

O. Prawda i to, mój synu, wiédz jednak, że nic bez woli boskiej nie dzieje się na świecie. Umié Bóg tak nakierować wszystkie okoliczności, że pocziwy człowiek za dobre uczynki nagrodzony bywa, a zły odbiera karę za złe sprawy. Powiem ci, có mi się zdarzyło widziéć w młodym wieku, a o czém nie zapomnę na całe życie. Byłem jeszcze mały, jak ty, i zostawałem przy rodzicach. Obok nas mieliśmy dwóch sąsiadów: Jędrzeja i Stefana. Piérwszy miał synka nazwiskiem Jasia, a drugi — Franka. Jędrzej i Stefan mieli ogrody i sady w tyle domów swoich. Jaś bawił się często w ogrodzie ojca, a, że był swawolny, rzucał na wszystkie strony kamieniami, nie dbając o to, iż czasem mógł kogo zranić. Ojciec napominał go, aby tego nie robił, i pogroził mu nawet, że go ukarze surowo, jeśli tego nie poprzestanie. Ale, na nieszczęście, dzieciuch

ów nie słuchał ojca i nie pamiętał na to, że Bóg ukarać go może. Dnia pewnego, wymknął się Jaś z domu, nabrał w kieszeń kamyków i zaczął ciskać po swojemu na wszystkie strony. Stefan, drugi nasz sąsiad, czatował właśnie w swoim ogrodzie z fuzyją nabitą na wróble, które mu wiśnie zjadały. Znajdował się tamże syn jego Franek, który sobie znów nabił głowę, że, kiedy nikt na niego nie patrzy, wolno mu robić, co mu się podoba. Zdarzyło się, że ojca jego ktoś zawołał do domu. Biegnąc tam, zostawił fuzyją w ogrodzie i kazał Frankowi pilnować, aby jéj nikt nie ruszył. Franek myślał sobie, że w tém nic złego nie ma, iż się pobawi ową fuzyją. Wziął ją, zaczął oglądać i przymierzać. Wtém kamień, który Jaś rzucił w owę stronę, trafił go w oko. Franek z boleści i strachu upuścił fuzyją i fuzyja wystrzeliła. Dał się zaraz słyszeć krzyk w jednym i drugim ogrodzie: Jaś został postrzelony w nogę. Tak jeden został ślepy na jedno oko, a drugi kulawym.

S. Biédni chłopcy! jak ich żałuję.

O. Prawda; i ja ich żałowałem, ale więcéj jeszcze żał mi było rodziców, że mieli dzieci tak swawolne i nieposłuszne. W rzeczy saméj wyszło to na dobre obu chłopcom, bo, choć jeden był ślepy na oko, a drugi kulał, poprawili się jednak. Nauczyli się z doświadczenia, że nigdy nie wolno źle robić, nawet i wtedy, gdy nas nikt nie widzi, bo Pan Bóg zawsze patrzy na nas i karze za złe sprawy. A i insi nawet nauczyli się z ich przykładu, jak słuchać potrzeba rodziców i starszych, a na Boga pamiętać.

S. Będę i ja ostrożniejszy na drugi raz; przyrzekam ci, ojcze, że nigdy nie będę nawet pokryjomu źle robił, kiedy zawsze Bóg patrzy na nas.

9. Skutki nieporządku.

Znacie Michasia, studenta. Ma piękne zdolności, niezgorzój się uczy, a promocyi nie dostał i kto wie, czy po

drugim roku dostanie, a dłużej nad dwa lata w jednej klasie siedzieć nie może. Zkądże to pochodzi? Poprostu, z nieporządku. Nieraz książki zostawi w klasie i obejrzy się dopiero wtenczas, kiedy już pora iść do szkoły, i tym sposobem nie nauczy się lekcyi. Napisze ćwiczenie, nawet starannie; cóż, kiedy u niego w piaseczniczce, zamiast piasku, jak porządek rzeczy wymaga, pełno atramentu, którym w najlepszej myśli zaléwa robotę i z niczém idzie do klasy. Tu już drugi raz mają dzwonić, a on w domu szuka czapki, spóźni się, zasłuży na karę, i tak w kółko. Nie lubi nawet próżnować, ale w zatrudnieniach jego nié ma ładu; jedno drugiego się nie trzyma, a on tymczasem zaniedbuje swoich obowiązków i źle na tém wychodzi.

Pana Piotra także znacie, co do nas często przychodzi na obiad. Nieraz mnie pytaliście się, dla czego on taki biédny i nieśmiały. Dla tego, moje dzieci, że za młodu nie przyzwyczaił się do porządku i podobny był w tym względzie do Michasia. Ze szkół poszedł do biura, gdzie, za staraniem ojca, dostał pensyją, z której można się było utrzymać, ale przy życiu porządném; u pana Piotra zaś panował nieład w najwyższym stopniu: odzienie wiecznie miał podarte i poplamione; pieniądze po kieszeniach i po kątach mu ginęły; sam nie wiedział, gdzie i jakim sposobem. Nie było za co sprawić nowój sukni; wypadło zaciągnąć pożyczkę, płacić od niej procenta i to nie małe, że w końcu nie wystarczało mu na obiad. Ot tak, i głodno i chłodno, chociaż człowiek to moralny i bez żadnych innych złych nałogów. Zapewne, że, smutném nauczony doświadczeniem, poprawi się, ale tymczasem wiele doznaje umartwień i często choruje, bo cierpi biędę, a wszystko, powtarzam, z nieporządku.

Ale to wszystko nic w porównaniu z tém, co się dzieje w domu państwa Karolostwa.

Pan Karol był bardzo bogaty; zdawało się, że mu na wieki wystarczy. Ożenił się; Pan Bóg dał mu kilkoro dzieci, żeby je wychował w miłości boskiej i ludzkiej. Cóż się dzieje? U pana Karola goście bez końca, nie tacy, którzy są przyjaciółmi i przychodzą dlatego, ażeby razem przyjemnie się zabawić, nagadać, ucieszyć, albo poradzić się w czém i razem popracować, ale tacy, którzy na to tylko czyhają, ażeby się gdzie najęść, napić i jeszcze, jeżeli można, politycznie obedrzeć. Różni są ludzie na świecie, moje kochane dzieci: źli i dobrzy; otóż źli czépiają się bardzo często ludzi nieporządných, niedbałych, niepamiętnych o sobie i swoich obowiązkach. Tak, kiedy nieuważnie będziecie iść przez zarośla, nie uczepi się was żaden kwiatek, a pewno tylko oset. Tacy źli ludzie korzystali z zaniedbania pana Karola, rozebrali mu pomału różne sprzęty, co się dało, następnie pożyczali od niego pieniędzy na wieczne nieoddanie. Człowiek nieporządny nie myśli o przyszłości, nigdy nie wie dokładnie, jakie ma środki do życia, czy mu się jeszcze co pozostało, i tak przy swojém niedbalstwie i złośliwości ludzi brnie dalej, aż raptem otworzą mu się oczy, kiedy nędza do domu zawita. Tak się stało i z panem Karolem: dostatki poszły z wiatrem, została tylko żona, dzieci, obowiązki i wyrzuty sumienia. Jakże tam teraz smutno! Całe szczęście, że starsza córka, nauczona porządku przez matkę, uzdatniła się do robót i teraz ciężko zapracowanym groszem dzieli się, jak przystało na dobre dziecię, ze swemi rodzicami. Ale siły jój — wątle i zarobek wystarcza zaledwie na opędzenie najgwałtowniejszych potrzeb życia, a młodsze dzieci rosną w zupełném zaniedbaniu; nie ma za co porządnie ich ubrać, kupić im książek, posyłać do szkoły. Co z tego dalej będzie? Bóg miłosierny może się zlituje i ześle im jaką sposobność do wyratowania się, ale czy to strapionego ojca ochroni od ciężkich zgryzot, które już na jego zdrowie działają. Możnaż

pozostać obojętnym, widząc, jak wszyscy w domu cierpią? A przyczyną tego? Tylko dobrze się zastanówmy, a odpowiemy: nieporządek, nieład.

Od dzieciństwa we wszystkich swoich czynnościach trzeba koniecznie zaprowadzić porządek i przestrzegać go. Przez to nie będziemy marnować czasu, ani mienia; wiedząc o swoich zasobach, będziemy do nich stosować wydatki, a ztąd, i przy miernych dostatkach, wystarczymy sobie, nie staniemy się ciężarem dla drugich, nie wykroczymy przeciw swoim obowiązkom. Spokojni i zadowoleni, przeżyjem szczęśliwie na świecie.

Widzicie tedy, kochane dzieci, że sami sobie gotujecie przyszłość swoją; od was zależy zrobić ją szczęśliwą, albo okropną. Rodzice was ustawicznie przestrzegają i naprowadzają na dobre; niechże żadne ich napomnienie nie przejdzie dla was na próżno. Przeciwnie, przyjmujcie je z uszanowaniem i użytecznością, żeby złe wady nie przeszły w nałogi, które się z trudnością wykorzenić później dają, a które, bądźcie pewni, zawsze doprowadzą do ostatecznej zguby.

Aloizy Kuczyński.

10. J e d y n a k.

Majętny kupiec, licznej rodziny ojciec, zwykł był w przytomności dzieci swoich odmawiać poranne i wieczorne modlitwy i zawsze temi słowy je kończył: „Boże! dziękuję ci za wszystkie dobra, których mi używasz, a więcęj jeszcze za nieszczęścia, których z ręki Twojej doznałem!”

Długo dzieci obojętnie tych dziękczynień słuchały, ale nareszcie jednego razu najstarszy syn zapytał się: „Mój tato! dla czego dziękujesz Bogu za nieszczęścia? mnie się zdaje, że one nie są dobrodziejstwem”.

„Mylisz się, kochane dziecko“, odpowiedział mu ojciec; „nieszczęścia są nieoszacowanym dobrem, kiedy kto z nich

korzystać umieć. Masz już lat dwanaście; rozum twój zdolny jest do objęcia wielu rzeczy, posłuchaj więc historii mego życia, a dowiesz się, jak są słuszne dziękczynienia moje. Rodziców miałem bardzo majątnych i byłem ich jedynakiem. Nie ma przysmaków, wygód, pieśzczoł, któremi bym od kolébki nie był obsypany; czegom tylko zapragnął, dawano mi natychmiast; miałem wolność czynienia, co mi się tylko podobało, a gdy mi czego odmówić chciano, lub téż nauczyciele do nauki mię zapędzali, jedném słowem, mianowicie zagrożeniem: „będę chorował“, uwalniałem się od wszelkiego oporu i przymusu. Tak się ze mną działo do lat jedenastu; byłem, co się zowie, dzieckiem niežnośném, mazgajem, naprzykrzonym, upartym, nieukiem, pomimo dobrego serca i dość znacznej zdatności, i nie wiem, co by ze mnie było, gdyby Bóg w miłosierdziu swoim nieszczęścia nie był mi zesłał. Skutkiem rozlicznych okoliczności, w jednéj prawie chwili rodzice moi stracili cały swój majątek; zmuszeni jeździć tu i owdzie za interesami, oddali mię do dalekiego stryja. Był to człowiek wcale niebogaty, dopiero dorabiający się majątku;—bardzo pocciwy i rozsądny, ale ostry i surowy. Jakieżże odmiany w domu jego po rodzicielskim doznałem! Uważany za sierotę i dziecko na łasce, a przytém niežnośny i nieusłużny, byłem przez wszystkich popychany, łajany; płakałem od rana do wieczora, i miałem się za najnieszczęśliwszą istotę w świecie. Rok upłynął we łzach i utrapieniu, ale już niedoła, podległość, ubóstwo skarciły znacznie mą hardość; jużem był lepszy, posłuszniejszy, jednak nie brałem się jeszcze ani do pracy, ani do nauki, i stryj już o oddaleniu mię z domu swego przebąkiwać zaczął, kiedy mię wzięła raz na bok jego żona. „Mój Ludwisiu“, powiedziała mi, „zastanówże się i zmiłuj sam nad sobą! cóż to z ciebie będzie, jeśli tak zawsze nieukiem i próżniakiem będziesz? Pókiś był bogaty, to niedbalstwo, ta gnuśność,

lubo zawsze naganne i pogardy godne, jako tako ci uchodziły, ale dziś nie nie masz, prócz rąk i głowy; jeśli i pracę i naukę wzgardzisz z młodu, w wieku późniejszym nie będziesz miał kawałka chleba; ludzie tobą wzgardzą, Bóg cię opuści i umrzesz gdzie z nędzy“! Te słowa dobrój stryjenki zrobiły silne wrażenie na moim umyśle; wziąłem się więc do zupełnej całego siebie odmiany. Stryj mój był kupcem; takem mu zaczął gorliwie w sklepie służyć, pomagać, pilnować; takem się starał pięknie i porządnie pisać, doskonale pojmować rachunki, iż w krótkim czasie prawdziwą pomocą mu się stałem. Z chłopca wyszedłem na czeladnika, a po dziesięciu latach wiernej i gorliwej służby, zostałem jego spółnikiem i własną jego córkę pojąłem za żonę. Niedługo potem stryj umarł, a żona jego wkrótce po nim wstąpiła do grobu. Wtedy ojca mego sprowadziłem do siebie; matka już od kilku lat nie żyła. Strawił ojciec w domu moim ostatnie swe lata; osłodziłem mu je tkiwem o niego staraniem. Dziś jestem bogaty, umiem używać majątku i dzielić się nim z potrzebniemi, bom sam był w niedostatku; umiem kierować wychowaniem dzieci moich, bom doznał skutków złego prowadzenia dziatki; dni moje płyną swobodnie i mile w użytecznej pracy, a wszystko to winienem nieszczęściu. Jakżeż nie mam codziennie dziękować za nie Bogu?

Klem. z Tań. Hofmanowa.

11. Praca wszystko zwycięża.

Do pokoju, w którym Guccio odbywał lekcye, wszedł jego dziadzio, a zastawszy wnuka ze łzami w oczach, zapytał go o przyczynę płaczu.

— Nie mogę się lekcyi zadanej nauczyć, — odpowiedział, łkając, chłopczyzna.

— Gustawie, — rzekł dziadzio poważnie, — łzy nie wstydzą nikogo, jeśli są oznaką słusznego żalu, spółczucia,

lub uwielbienia, lecz żeby kto, zwłaszcza mężczyzna płakał nad książką, to wstyd niesłychany.

— Ależ kiedy to takie trudne, a ja wcale pamięci nie mam, — tłumaczył się zawstydzony Gucio.

— Posłuchaj mię uważnie, a ja cię nauczę, jak sobie radzić trzeba, kiedy komu niebo odmówiło wyższych zdolności.

Wnuczek zwrócił na dziadzię niebieskie oczy, jeszcze łąą ostatnią błyszczące, a ten tak mówić zaczął.

— Gdy byłem w twoim wieku, nic jeszcze prawie nie umiałem i nie miałem ani pojęcia wiele, ani pamięci.

— Dziadzio? który tyle umie! — przerwał zdziwiony chłopczyk; dziadzio? taki mądry, że wszystkim rady udziela! dziadzio chyba żartuje.

— Tak było w istocie, — mówił dalej szanowny starzec; nie podobało się Panu Bogu udzielić mi bystrego pojęcia i dowcipu, lecz, że on nigdy zupełnie nie upośledza człowieka, dał mi poznanie dobra i mocną wolę dążenia do doskonałości. W domu moich rodziców bywało wielu znakomitych ludzi. Lubilem słuchać ich rozmów, dziwiłem się obszernym ich wiadomościom, nie mogłem pojąć, jak można tyle rzeczy wiedzieć; przecież zapragnąłem stać się do nich podobnym, bo czułem, jak to jest pięknie być pożytecznym krajowi i zasłużyć sobie na powszechny szacunek. Odtąd więc gorąco wzywałem pomocy boskiej i pracowałem usilnie. Ucząc się zadanych lekcyj, niemi tylko byłem zajęty, o nich tylko myślałem. Choć nieraz godzinę musiałem siedzieć nad tém, czego się inni w kwadrans nauczyli, nigdy jednak nie położyłem książki, póki dokładnie nie pojąłem zadania. Żadna zabawa odwrócić mię od tego nie mogła i wtedy dopiero pozwalałem sobie używać rozrywki, gdym obowiązkom swoim zadosyć uczynił. Nawet i wtedy nie zapominałem całkiem o nauce: nieraz na przechadzce deklamowałem wiérse,

powtarzałem sobie imiona, lub daty historyczne. Kiedy, mówiąc swoim, lub obcym językiem, zostałem w czém raz poprawionym, strzegłem się już najusilniej tych omyłek. Gdy nauczyciele mówili do mnie, słuchałem ich z największą uwagą, obawiając się stracić najmniejszego słówka. Jeśli czego od razu pojąć nie mogłem, prosiłem ich o powtórzenie; oni téż, widząc moję pilność, z największą dobrocią każdą rzecz mi tłumaczyli i pomagali mi we wszystkiém. Po skończonym wykładzie, zastanawiałem się nad tém, co słyszałem, starając się wszystko zachować w pamięci. Nim się na spoczynek udałem, przebiegałem myślą całodzienne lekcye, zdając sobie rachunek z tego, co skorzystałem. Tak postępując od dziewiątego roku życia, mogłem nabyć wiele wiadomości. Z początku wszystko przychodziło mi z wielką trudnością, ale, gdy codzień coś przybywało, nazbierało się po troszku dosyć, bo, jak to mówią: „ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka“. Doszedłszy więc do młodzieńczego wieku, przewyższałem wielu rówieśników swoich dokładną znajomością rzeczy, rozsądkiem i wiadomościami. Przytém dobre sprawowanie zjednało mi przychyłność wielu zacnych osób; znalazłem przyjaciół, bo na przyjaźń zasłużyć umiałem. Dziś, kiedy już długi szereg lat za mną pozostał, kiedy wkrótce może przyjdzie stanąć przed tronem Wszechmocnego, aby zdać rachunek z upłynionego życia, czekam téj chwili bez trwogi, bo dni moje nie zeszły napróżno, bo nie zmarnowałem darowanego mi czasu. Stojąc nad grobem, z rozkoszą przypominam sobie nie jedną przysługę oddaną krajowi, nie jedną pożyteczną pracę, nie jeden dobry uczynek. Sumienie moje błogą spokojnością mię darzy, bo niczyja krzywda na niem nie ciąży, bo w pomysłności nie wynosiłem się nad drugich, a smutne życia koleje bez poniżenia znosić umiałem, w nauce i sobie samym pociechy szukając. O! wierz mi, lube dziecię, nie jedną ponurą godzinę dobra rozwese-

liła książka; nie jedną srogą niesprawiedliwość ludzi przekonanie o własnej niewinności uczyniło znośną.

Przestał mówić starzec, a Guccio, rozczulony, rzucił się w jego objęcia, przyrzekł pójść za jego radami i dotrzymał słowa. Postępował tak samo, jak niegdyś jego dziadzio; teraz, gdy już dorósł, wiele rzeczy umie i jest lubiany i poważany powszechnie.

Emilija Płużańska. 1848.

12. Niedola i pociecha.

Stolarz jeden, biegły w rzemiośle swoim, młody, pracowity, pojął żonę podobną sobie. W lat kilka sześcioro otoczyło go dzieciak, a on rękami i potem czoła żywił je i utrzymywał. Zdawało się nawet, iż za każdym nowo przybyłym dziecięciem Bóg dochodów mu przysparzał: coraz więcej miał roboty, coraz więcej czeladników, i mieszkanie jego, w piérwszych latach ożenienia skromne i ubogie, zaczęło przybierać nierównie pozorniejszą postać. Zdawało się, że zdrowie, pokój, szczęście, osiadły wraz z niem. Ale jakże jest wątły budynek pomyślności człowieka! Jak owe pałace z kart, które dzieci stawiać lubią, łąda wietrzyk go obala. Przypadła na stolarza mocna choroba, trwała miesiący kilka; śmierć ją zakończyła. Na ratowanie życia, które tak drogo cenił i tyle potrzebnym być mniemał, nie szczędził pieniędzy; gdy tych nie stało, sprzedał zapas drzewa, pozostawiał suknie, sprzęty, warsztat nawet, wszystko, w nadziei, iż w trójnasób te straty nagrodzi, skoro ozdrowieje; lecz nie ozdrowiał, i wdowa jego została sama z drobną dziatwą, w nędzy i żalu. Ale co mówię? jestże dziecię samo, kiedy dobrego ma ojca? a któż to stworzenie Wszechmocny opuścił, kiedy ono Go w szczęściu i w smutku nie opuściło? Wszak to On, co, kiedy myślisz, że daleko, częstokroć blisko jest ciebie.

Dwunastoletnia Adela C., majątnych rodziców jedy-
naczka córka, największa ich życia słodycz i pociecha, po
całoroczném przygotowaniu przystąpiła po raz pierwszy do
sakramentu ołtarza. Szczęście jój było niewymowne. Po
powrocie z kościoła błogosławili ją rodzice, dziękując Bo-
gu, że im dnia takiego doczekać pozwolił, a ojciec, roz-
rzewniony, zawołał: „Na wieczną pamięć téj chwili, córko
kochana, żądaj, czego chcesz ode mnie, a wszystko uczy-
nię“. — „Ach! ojczy, byćże to może?“ zawołała; i na twa-
rzy, już radością ozdobionój, promień nowój pociechy zaja-
śniał. „Powtórz te słowa“, dodała z nadobnym uśmiechem,
rękę jego do ust swoich przyciskając. — „Powtarzam“, od-
powiedział ojciec, „i słowo honoru ci daję, że, byleby żą-
danie twoje było rozsądne, spełnię je. Mów więc śmiało!“
— „Oto“, wymówiła dziewczynka cichym głosem, ręce na
szyję ojca zarzucając, oto, na rachunek posagu, który kie-
dys mieć będę, dawaj mi co miesiąc sześćdziesiąt złotych“. —
„Czy tylko to?“ powiedział zdziwiony ojciec, „a! z du-
szy i serca; już dawno chciałem ci wyznaczyć dochód mie-
sięczny, żebyś sama o potrzebach swoich myślała, lecz na
to posagu nadwierać nie masz przyczyny“. — „Ale bo...
kiedy ja tych pieniędzy dla siebie użyć bym nie mogła“.
— „A dla kogo? powiedz, kochane dziecię“, zapytał cieka-
wie ojciec. — „W podwórzu pałacu naszego“, odpowiedziała
Adela, „mieszkał stolarz; tydzień temu, jak umarł, żonę
i sześcioro dzieci w nędzy zostawił; cały nasz dwór użala
się nad tą biedną wdową, bo ma być dobra, pobożna ko-
bieta. Pytałam się wczoraj, wieleby jój téż na utrzymanie
potrzeba było; powiedziano mi, że gdyby miała dwa złote
na dzień, potrafiłaby i siebie i dzieci wyżywić. Żałowałam
pierwszy raz, że nie mam jeszcze swojej własności.... chcia-
łam cię prosić, ojczy, a ty, jakbyś przewidział życzenia
moje“. Zgadnąć łatwo, co się stało. Ojciec uściskał cór-
kę, prośby jój wysłuchał, a stolarka przy pracy i tym

szczupłym, lecz pewnym dochodzie, utrzymuje się uczciwie wraz z dziećmi i codzień za dobrą Adelę modły do Boga zanosí.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

D). PRZYPowieŚCI.

1. Dwaj podróżni.

Z pierwszym blaskiem jutrzeńki dwóch podróżników wybrało się w drogę; obaj do jednego dążyli miejsca; obaj przed wieczorem u celu stanąć mieli; obudwóch na końcu czekała nagroda. Droga ich była na przemianę miła i przykra, łatwa i trudna. Jeden z nich szedł prosto i bez przestanku, dobrze się przysposobił na podróż, nabył wiadomości od ludzi doświadczonych i rozsądnych, którzy przed nim tę drogę odbywali, a w trudniejszych razach radził się jeszcze tablic, po drodze przybitych. Drugi puścił się wcale nieopatrzony, nikogo nie słuchał, sam chciał sobą kierować, a gdy już raz był w drodze, każdego przechodnia się pytał i na jego słowa się zatrzymywał, zbaczał to w tę, to w owę stronę. O samém południu pierwszy stanął z chlubą u celu podróży, przyjęty był z weselem i otrzymał nagrodę. Drugiego ciemności nocy wpośród drogi ogarnęły; wstyd i żal zostały jego udziałem.

Dzieci! wy jesteście podróżnikami, życie jest drogą, wiek dziecinny i młodzieńczy—czasem podróży. Jeśli, szanując napomnienia i przestrogi rodziców i nauczycieli, pójdziecie wskazanemi przez nich ślady; jeśli, nie tracąc czasu na usterki, będziecie postępować krokiem ciągłym i baczny; jeśli sumienie i prawość przewodnikiem waszym się staną: dojdzie każde z was wcześniej do wskazanej sobie mety, dopnie przeznaczonego celu i od wdzięcznych spółbraci chlubną nagrodę otrzyma. Lecz, jeśli przeciwnie

które z was własnym rozumem rządzić się zapragnie, a potem lada kogo usłucha; jeśli kroki jego będą niepewne i marnować czas zechce: nie dojdzie chlubnego celu; minie czas podróży; wstyd srogi, żal zapóźny całym jej będą owocem.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

2. Praca odkładana.

Przy jednym wiejskim ogrodzie był spory kawał ziemi, zupełnie zaniedbany; pośród mnóstwa kamieni wyrosły gdzieś kępy ostu i innego zielska. „Ojcie, my ten kawał ziemi oczyścimy“, powiedzieli dnia jednego trzej synowie właściciela: „daj go nam na rok jeden“. „Chętnie“, odpowiedział ojciec i kawał ziemi na trzy równe części podzielił. Było to na końcu Marca; już do gruntu puściło; dnie bywały piękne i najzdatniejsze do podobnej roboty. Trzej bracia wzięli się do pracy i dwaj starsi w przeciągu tygodnia oczyścili działy swoje prawie zupełnie. Młodszy więc się bawił, niż robił, i tamtych skończona była praca, kiedy on swoją zaledwie zaczął. Gdy mu ojciec tę opieszałość wymawiał, odpowiedział: „O! dopiero początek wiosny; dosyć czasu będzie“. Tymczasem dzień za dniem schodził, a Franuś odkładał nadal pracę. Nadeszło lato, z latem upały; ile razy wziął się do roboty, pot lał mu się z czoła i przestawać musiał. „Nadejdzie chłodna jesień“, mówił sam do siebie, „to będzie pora najlepsza“. Nadeszła jesień, ale jednego dnia wiatr zasypywał Franusiowi oczy, drugiego—dészcz go kropił. „Przyjdzie zima“, mówił, „bywają dnie piękne i jasne; ja to w mgnieniu oka zrobię“. Przyszła zima; Franuś do kamieni i do zeschniętych łądyg, lecz cóż? przymarzły zupełnie i nie zrobić nie mógł.

Jak niebaczny Franuś błędził, tak błędzi każdy, kto pracę na dalszy czas odkłada, a w obecnej chwili próżnuje.

Co masz do czynienia, dopełnij jak najprędzej; terazniejsza godzina sprzyja twój pracy, lecz któż ci za dalsze zaręczyć potrafi? Jeśli zawsze pomyślniejszej pory czekać będziesz, może cię śmierć zimna zaskoczy, nim rękę do dzieła przyłożysz.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

3. Ojciec i syn.

„Widzisz ten kamień“, rzekł raz ojciec do syna; „ileż on tu lat przetrwał, przecież zawsze jednaki, leży, martwy, bez czucia, bez wdzięku, i żadnego pożytku nie przynosi. Jak ci się zdaje; gdyby się nim zręczny zajął rzemieślnik, nie mogłoby z niego być wyobrażenie wielkiego męża, zachęcające do cnoty?“

„A prawda, tato“, odpowiedział mały Broniś.

„Toż samo dzieje się i z wami, kochane dzieci“, mówił dalej ojciec; „tę tylko widzę różnicę, że kamień czekać musi szczęśliwej pory, a wy ją przyspieszyć możecie. I wy z początku wieku waszego nie macie pięknych uczuć, nie umiecie myśleć. Dobre przykłady i nauki rozwijają zdolności i uczucia, ale, niechże wam braknie na dobrych chęciach; niech się nie zajmie w sercu gorliwość, wtedy wszystko napróżno; wiecznym, że tak rzekę, będziecie głazem. Dziełka, dla was ułożone, pomagają tylko waszym dobrym chęciom. Świętych obowiązków cnoty uczcie się w czynnym życiu z dobrych przykładów, a przestrogi, w książkach zawarte, niech wam je tylko przypominają. Wiadomości naukowe niech was zwolna do myślenia spობią. Czytajcie z upodobaniem, zastanawiajcie się nad wszystkim i składajcie wszystko porządnie w pamięci swojej.

Stanisław Jachowicz.

4. B ł a w a t k i.

„Ach! gdybyto zagony samemi bławatkami były zasiane“, wołały na przemiany Basia i Józia, idąc z matką przez pole, kołysząc się żytem okryte, „jakby to przedziwnie było! Jakiebyśmy miały przedziwne wieńce! A tak mały tylko uzbierałyśmy pęczek; bławatków trochę, a tych utrapionych kłosów tyle!“—„Dzieci! dzieci!“ odpowiedziała im matka, „jakoż płocze to wasze żądanie! Czyż nie wiecie, że nie te kwiaty, z których nie ma użytku, ale kłosy są celem wszystkich rolnika zabiegów?“

Pole do życia przyrównać można, bławatki—do zabaw i igraszek, kłosy — do starania i pracy. Ktoby zabawom i igraszkom dni swoje poświęcił, byłby podobny temu, któryby wszystkie zagony bławatkami zasiał; czas jakiś zdawałby się widok powabny i wesoły, ale w chwili żniwa nicby do zebrania nie było.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

5. Trzój przyjaciele.

Nie ufaj żadnemu przyjacielowi, póki go nie poznasz. Więcej ich jest przy obfitym stole, niżeli przy drzwiach więzienia.

Jeden człowiek miał trzech przyjaciół; dwóch bardzo kochał, dla trzeciego był obojętnym, chociaż ten najlepiej mu sprzyjał. Raz zawołany był do sądu, gdzie niewinnie, ale ciężko był oskarżonym. „Który z was“, mówił, „pójdzie ze mną, by za mną świadczył, bo ciężko jestem obwiniony i król się gniewa“.

Pierwszy przyjaciel wymówił się zaraz, że pójść nie może, bo ma inne zatrudnienia. Drugi odprowadził go do drzwi sądowych, tu się odwrócił i odszedł, bał się bowiem sędziego. Trzeci, na którego najmniej rachował, wszedł

za nim, mówił i tak dowiódł jego niewinności, że sędzia nie tylko go puścił, ale i obdarzył.

Trzech przyjaciół ma człowiek na tym świecie. Jakże oni się zachowują w godzinę śmierci, kiedy go Bóg do sądu powoła? Pieniądz, jego najlepszy przyjaciel, opuści go naprzód i nie pójdzie za nim do grobu. Przyjaciele i krewni odprowadzą go do bramy śmierci i powrócą do swych domów. Trzecim przyjacielem, o którym najmniej w życiu pamiętał, są jego dobre czyny. One tylko pójdą za nim do tronu sędziego, one mówić będą za nim, wyproszą mu litość i łaskę.

Kaź. Brodziński.

III. HISTORYJA OŚWIATY.

ZGROBYST ZNAKOMITYCH LUDZI.

1. Jan Kochanowski.

W pięknej i rodzajnej ziemi Sandomierskiej, słynnej głośną na cały świat pszenicą, zwaną dotąd sandomierką, we wsi ojczystej Sycynie, urodził się Jan Kochanowski w roku 1532. Straciwszy ojca w młodocianym wieku, pod troskliwem i czułem okiem matki odebrał pierwsze wychowanie. Była to Anna Odrowążówna, pani wielkiej pobożności; wszczepiła ona w młode serce Jana zasady wiary i czystej pobożności, które do grobu wiernie zachował. Po ukończeniu nauk, zwyczajem tamtych czasów, zwiędził Niemcy, Włochy, Francją. Najdłużej bawił w Padwie, gdzie wielu było rodaków, a między temi sławny Jan Zamojski, późniejszy kanclerz i hetman wielki koronny.

Po kilku latach wędrówki, wróciwszy do kraju, słynny już z utworów poetycznych, tak w łacińskim, jak i w pol-

skim języku, policzony został w poczet sekretarzy królewskich. Ale Jan Kochanowski nie lubił świetności i zbytku dworu pańskiego; kochał on ziemiaństwo, pragnął w zaciszy wiejskiej gospodarzyć i używać całej swobody, jaką daje niepodległy żywot rolnika. Ochotnie więc porzucił dwór wspaniały króla Zygmunta Augusta i osiadł we wsi własnej Czarnolesiu. Połączony węzłem małżeńskim z Anną Podlódowską, był ojcem sześciu nadobnych córek. W tej ustroni najpiérwsi panowie odwiedzali chętnie wielkiego poetę, który ich skromnie, po wiejsku, a gościnnie podęjmował. Gdy mu ofiarowano wysoką godność kasztelana, podziękował za nią, mówiąc, że nie chce, aby kasztelan zmarnował to, co Kochanowski oszczędzi. Poprzestał na skromnym, bez żadnego dochodu urzędzie wojskiego Sandomierskiego, który od wyprawy wojennój uwalniał, a, w czasie walki z nieprzyjaciółmi, obowiązywał do czuwania nad wewnętrznym porządkiem i spokojnością mieszkańców. Oddany pracy rolniczój, zbliżony do ludu, był każdego kmiotka przyjacielem, a jego rodziny opiekunem.

Szanował wielki poeta wszystkie obrzędy ludowe i rad im towarzyszył. Sobótce, czyli obchodowi palenia ognia w wigilię świętego Jana, poświęcił śliczny poemat. Z niego widzimy, że, gdy w gęstwi leśnój umilkł słowik, w Czarnymlesie zapalano Sobótkę. Ku temu ogniovi sam Kochanowski z rodziną i przyjaciółmi pośpieszał. Trzech dudarzy zawtórowało pieśń dawną, a sześć par dziewcząt, jednakowo strojnych, przepasanych zieleń bylicą i z niego mających wieńce na głowie, zaczęło przyśpiewywać, wtórując dudarzom. Tak corocznie, od zmroku do porannój nazajutrz zorzy, przebawiono przy blasku płonących stosów, tańcząc w około nich i śpiéwając naprzemiany.

Z sześciu córek odznaczała się dowcipem i pieszczotliwością Urszulka; tę najwięcéj poeta kochał. Miał przed dworem swoim wielką lipę; w jéj cieniu, w czasie skwaru

letniego, wypoczywał; tu czytał i pisał, a obok niego, to w milczeniu, gdy zajęty był pracą, siedziała Urszulka, to szczebiotaniem go bawiła, kiedy złożył pióro. Wśród téj swobody i szczęścia rodzinnego, Bóg nawiódził go ciężką boleścią. Urszulka, dziecina tak ukochana, zasłabła i umarła. Upadł z początku pod tak ciężkim ciosem, ale wkrótce podniosła go wiara i ufność w opatrność Bożą. W smutku i żałobie napisał treny, czyli żale, na śmierć swój ulubionój dziewczeczki, które do najpiękniejszych wzorów tego rodzaju poezyi należą. W nich rozpamiętywając pieszczoty i dowcip téj dzieciny, we łzach się rozplýwał. Zmęczony troską, usnął, a w tym śnie pokazała mu się zmarła jego matka, trzymając na łonie swojém śliczną Urszulkę. Święta postać pobożnej matki nakazała mu, aby miarkował się w swój boleści, ufał Bogu, a czas da mu lékarstwo na sercowe rany. Rada ta była skuteczną, lubo, do śmierci swojej, Urszulki zapomnieć nie mógł.

Szwagier jego Podlodowski, poseł do Turcyi, przez barbarzyńców srodze zabity został. Jan Kochanowski, wnosząc w Lublinie skargę i żądając wymiaru sprawiedliwości za czyn tak krwawy, a tak przeciwny prawu narodów, z wielkiém wzruszeniem mówiąc, tknięty apopleksją, skończył w r. 1584.

Pisał po łacinie z początku, później—tylko po polsku. Z pism jego tłumaczenie psalmów Dawida dotąd jeszcze jest najwyborniejsze. Pisał także poematy i pieśni.

Szczątki domu tego wielkiego poety zachowywały się do r. 1822. Lipę, owę ustroń jego najmiłszą, barbarzyńska siekiéra dawniej ścięła. Zwłoki jego pochowane zostały w miasteczku Zwoleniu w rodzinnym grobie. Tam na pomniku zachowało się popiersie marmurowe poety, przedstawiające wierne przypomnienie oblicza Jana Kochanowskiego.

2. Ignacy Krasicki.

Krasicki przyszedł na świat 1734 r. w jednej z najpiękniejszych okolic kraju naszego, w dzisiejszej Galicyi, w ziemi Sanockiej, dawniejszém województwie Ruskiém, w Dubiecku. Miasteczko to należało oddawna do rodziny Krasickich, miało zameczek drewniany nad Sanem, i w nim urodził się nasz poeta. Zmieniła się od owego czasu postać drewnianego zameczka, lecz pozostały stare piękne lipy, pomiędzy którymi biegał, i piękny widok na San, na lasy i skały.

Rodzice jego, kasztelanowie Chełmscy, jak zwykle wszyscy dobrzy rodzice, chcieli mu dać najlepsze wychowanie. Oddali go do szkół Lwowskich. Tam zaczął czytać dzieła klasyczne, nauczające, już to w obcych językach, już to w swoim własnym. Chociaż od najpiérwszej młodości skłonność do poezyi objawiała się w Krasickim i choć, w szkołach jeszcze będąc, bardzo zręczne wierszyki nieraz napisał, czuł jednak dobrze, że można wiersze pisać, a nie umieć, i że składaniem rymów, bez istotnych wyższych nauk, nie można być dla ziomków pożytecznym. A że on być nim pragnął gorąco, pracował więc bezustannie. W czasie, wolnym od zajęć, oddawał się niewinnym i przyzwoitym z rówieśnikami rozrywkom. Nadzwyczaj go téż lubili, bo wesołość, dowcip, a razem miłe i grzeczne ze wszystkimi obejście jednało mu serca wszystkich.

Dawniejszemi czasy zdarzało się, że rodzice przez pobożność pragnęli widzieć dziecię swe w stanie duchownym. Zdawało się im, że ksiądz, lub zakonnica, ściągając błogosławieństwo niebios na rodzinę całą i, żeby stan ten nie wydawał się przykrym, lub nadspodziewanym przymusem, od młodocianego już wieku wpajali w dziecko, że przeznaczeniem jego jest stan duchowny. Tak było z naszym poetą.

Wiedział on od młodości, że go czeka zawód duchowny, pracował więc gorliwie we wszystkich gałęziach nauk. We Włoszech, dokąd go wysłano, skoro we Lwowie skończył nauki, rozwinał się bystry umysł i dobry smak Krasickiego. Wróciwszy do kraju, zwrócił na siebie przychylną uwagę wszelkich towarzystw, w których się ukazał, i wkrótce takie obudził zaufanie, iż kapituła Lwowska, w której został prałatem, przeznaczyła go do prezydowania przy trybunale, naówczas zwanym Małopolskim, to jest, w dzisiejszem rozumieniu, jakby na prezesa sądów w Małopolsce. Podobna posada stała się dlań nader pożyteczną: przez nią zjednał sobie powszechną cześć, jako urzędnik nieskazitelnój prawości, a przytém poznał wszystkie wady ustaw ówczesnych i nieudolność prawników. W chęci więc korzystnego ich podźwignięcia ze stanu moralnego upadku, wydał dzieło pod tytułem: *Doświadczyński*, w którym wytknął nadużycia, jakie się w wydziale sprawiedliwości popełniały.

Stanisław Poniatowski protegował wszystkich ludzi uczonych, a tym bardziej Krasickiego, dawnego ze szkół Lwowskich kolegę, a przy tém człowieka, przewyższającego wszystkich współczesnych. Dał mu kanoniję Warmińską, a wkrótce potem, acz młody wiekiem, ale dojrzały rozumem i zasługą Krasicki, po zgonie biskupa Grabowskiego, za staraniem króla, został biskupem Warmii. I tu zjednał sobie powszechną cześć i uwielbienie tak dalece, że sławny Fryderyk, król Pruski, starał się o jego życzliwość. Wtedyto najwięcej pisał, dzieła zaś jego były powszechnie czytane. Wiérse, zaledwie wyszłe z pod pióra, licznie odwiedzający znajomi biskupa porywali, a że były świeże, niedrukowane jeszcze, nazywali je nowalijkami.

Ten prawdziwie rozumny i szlachetny mąż, zwany księciem poetów, był pełen skromności i grzeczności. Dostojeństwa, hołdy, składane przez rodaków, wielkie względy królów, nie w nim nie zdołało obudzić dumy i próżności;

przeciwnie, czując się jakby ich niegodnym, starał się, o ile w mocy jego było, odplacić za nie wszelkiego rodzaju usługami, pożytecznemi dla ziomków. Czy to jaki spór graniczny, czy jaka inna przyczyna powaśniła szlachtę, on gotów był, nie szczędząc trudów, jechać i swoim taktem i wyrozumiałością, pełną słodyczy, tyle starał się wpłynąć, iż zawsze zgodą skończył najzaciętsze spory. Zdaje się, iż za jedyny cel życia miał chęć stania się użytecznym dla spółbraci, których prawdziwie ewangeliczną kochał miłością, gdyż głównie dbał o ich dobro moralne, o poprawę błędów, w jakie przez złe nałogi i brak oświaty wpadali. Pracował nie tylko, jako duchowny, nie szczędząc łagodnych napomnień, ale razem, jako zręczny, pełen dowcipu pisarz, który żadnych wad nie przebaczał i z bezstronną sprawiedliwością je karcił, jak to widzimy w tak powszechnie znanych *Satyrach i Bajkach*, w których wszędzie tyle zdrowych rad, tyle czystej moralności czytelnik spotyka.

Łatwość wierszowania, wesoły, lekki dowcip, którym moralne przestrogi ubarwiał, czyniły jego bajki, satyry i humorystyczne poemata: *Monachomachiję i Myszejdę*, nadzwyczaj zajmującemi i zabawnemi. Jak wiadomo, prace Krasickiego nie tylko lżejszego były rodzaju; napisał oprócz tego wiele rzeczy poważnych, naukowych, dla kraju niezmiernie pożytecznych. Tu należą: *Pan Podstoli, Historyja i Zbiór wiadomości*.

Zacny ten mąż, obok przymiotów rozumu, łączył wszystkie zalety serca: najlepszy syn, kochający brat, moralny, religijny i niezmordowany w pracy do takiego stopnia, że jeszcze na kilka dni przed śmiercią, mimo, że już był mocno chory, zajmował się pisaniem. Ani wiek, ani cierpienia moralne nie przytępiały bystrości jego umysłu i prace jego ostatnie nie ustępują pierwszym. Z ciężkim żalem rodziny i ziomków umarł Krasicki roku 1801 w Berlinie i tamże został pierwotnie pochowany w kościele świętej Jadwigi.

Dopiero za staraniem Teofila Wolickiego, arcybiskupa Gnieźnieńskiego, przewieziono zwłoki księcia-biskupa do Gniezna 26 Marca 1829 roku.

Hipolit Skimborowicz.

3. Stanisław Jachowicz.

Stanisław Jachowicz urodził się 17 Kwietnia 1796 roku, we wsi Dzikowie, położonej w Galicyi, w obwodzie Rzeszowskim. Początkowe nauki pobiierał w Rzeszowie, następnie w gimnazyjum w Stanisławowie, a w roku 1815 zaczął uczęszczać na wydział filozoficzny w uniwersytecie Lwowskim. Mimo to, że w szkołach galicyjskich wszystkie nauki wykładano tylko w niemieckim i łacińskim językach, Jachowicz nie zaniedbał kształcić się i w ojczystej swój mowie, a obdarzony z natury pisarskim talentem, już przed rokiem 1818 prace swe w pismach peryjodycznych zaczął umieszczać.

Po skończeniu uniwersytetu przybył do Warszawy i do kancelaryi Prokuratury przyjętym został; obok tego zaczął dawać lekcye języka polskiego i literatury polskiej, a następnie całkiem się oddał zawodowi nauczycielskiemu i na tém mozolném polu, do ostatniej prawie chwili życia, z niezmordowaną wytrwałością pracował.

W roku 1824 wydał w Płocku pierwszy zbiorek swoich powiastek i bajeczek dla dzieci pod tytułem: *Bajki i powieści Stanisława Jachowicza*. Bajeczki te od razu przypadły do serca wszystkim, bo wypłynęły z serca, po ojcowsku i chrześcijańsku miłującego dziatki, pragnącego zaszczyć w nich zamięłowanie cnoty, uchronić od wad, młodemu wiekowi właściwych.

Bajeczki Jachowicza, jak stado drobnych jaskółek, rozleciały się po całym kraju; świegotały je wszystkie dzieci, czytały wszystkie matki i z dniem też każdym rosła sława

ich autora, zwiększało się małych jego czytelników grono. A bajeczek wciąż przybywało, to wesołych i śmiesznych, to rzewnych i tkliwych, to o Stasiu mazgaju, o upartym Rudolfku, to znów o poczciwym chłopczyku, o biednej sierocie, a wszystkie one—naturalne, niby już nam zdawna znajome, a prosto idące do młodego serca. Z jednego tomiku bajek zrobiło się później cztery, a prócz tego wyszły jeszcze: *Czytania Józi*, *Kalendarzyk dla dzieci*, *Powiastrki dla Eryczka*, *Rozmowy matki z Józią*, *Śpiewy dla dzieci* i t. d. Prócz tego napisał jeszcze Jachowicz: *Powieści dla rzemieślników i Rozrywki dla młodzieży rzemieślniczej*, gdyż pragnął i téj młodej braci przynieść duchowy posiłek, umocnić na drodze życia, przyjazném i serdeczném słowem do zamięlowania cnoty i pracy zachęcić. Żadnej bowiem między dziećmi nie czynił różnicy, a kochał zarówno wszystkie: czy to w dostatnim urodzone stanie, czy w ubóstwie, czy to siedzące w pięknym salonie, czy przy warsztacie, lub w wiejskiej chacie, a to dla tego, abyście i wy tak samo kochały wszystkich braci waszych, ceniły ich nie według sukni, lub majątku, bo to jest rzeczą ślepego trafu, ale według ich serca, według cnoty, bo ta tylko jest prawdziwém odznaczeniem; ta tylko — chlubnym dla człowieka tytułem, rzeczywistą jego zasługą.

Nie tylko jednak, jako pisarz i wyborny nauczyciel, zasłużył sobie Jachowicz na powszechny szacunek, ale i jako opiekun sierot. Serce jego, które tak kochało małe dzieci, tym silniej czuć musiało niedolę owych biednych istot, co, rzucone, po stracie rodziców swoich, na wolę losu, od Boga tylko mogły się spodziewać pomocy. Im to ojcowską pomoc niósł Jachowicz; był ich troskliwym opiekunem, gorliwym nauczycielem, czuwał nad ich młodzieńczemi laty, czuwał i później, gdy już sami na chleb swój pracować mogli. Za jego staraniem stanął ów piękny gmach na Nowym Świecie, przeznaczony dla biednych sierot, na który sam 80 tysięcy złotych zebrał.

Życie tak użyteczne, tak poświęcone dla dobra bliźnich, zjednało Jachowiczowi miłość i szacunek wszystkich. Gdy w roku 1856 pojechał do Ciechocinka, aby stargane w pracy poratować zdrowie, wszystkie dzieci, tam znajdujące się, wyszły uroczyście na jego spotkanie, kwiatami uwieńczyły starego przyjaciela swojego, za niego szczere modły zносиły do Boga. Nie tylko dziatwa jednak okazać mu pragnęła swą wdzięczność: następnego roku L. Pietrusiński uczynił odezwę do wszystkich dawnych uczniów, uczennic i przyjaciół, w celu zebrania *Wieńca*. Najznakomitsi autorowie, najzasłużeńsi ludzie pośpieszyli przyjąć udział w wydaniu tego pisma, mającego być uwieńczeniem tyloletniej pracy Jachowicza. Ze wszystkich stron nadsyłano artykuły i cztery zeszyty wyszły już na widok publiczny, świadcząc o ogólnej dla Jachowicza wdzięczności, gdy Pan powołał go do siebie. Dnia 24 Grudnia 1857 roku Stanisław Jachowicz zasnął snem wiecznym, owym snem, co go nasz Jan Kochanowski nieprzespanym nazwał.

Edward Siwiński.

4. Jakub Kuk.

Jakub Kuk (Cook) urodził się d. 3 Listopada 1728 r. w hrabstwie Jorku w Anglii. Ojciec jego był ubogim rolnikiem i miał dziewięcioro dzieci; nie mógł więc łożyć na wychowanie syna. Młody Kuk w trzynastym roku życia oddany został na naukę do żeglarza, trudniącego się przewożeniem węgla kamiennych do Londynu, i przez siedem lat służył na statku węglarskim. Czas ten, przebyty na morzu, był wyborną szkołą dla przyszłego kapitana marynarki, przyciem zaszczepił w duszy młodzieńca wielkie zamiłowanie do żeglugi.

Po oddaleniu się od swego pryncypała, Kuk przez długi czas nadaremnie starał się o miejsce; wreszcie przy-

jęto go na statek za kucharza okrętowego. Skoro otrzymał stopień pomocnika sternika, przekonał się, że żeglarz bez matematyki obejść się nie może; wziął się więc z wielkim zapałem do téj nauki. Ponieważ nie miał żadnego utrzymania, tylko trochę pieniędzy, zaoszczędzonych z poprzedniej służby, musiał więc przez czas nauki żyć z największą oszczędnością.

Wyuczysz się matematyki, przyjął miejsce sternika na statku kupieckim i odbył podróż do Norwegii. Następnie dostał się do służby królewskiej, gdzie go mianowano majstrem okrętowym. Na tém stanowisku Kuk niejednokrotnie miał sposobność, przez pilność, punktualność, męstwo i wytrwałość, zyskać względy przełożonych. Wówczas powierzono mu dowództwo małego statku, który miał nazwę Merkury, z rozkazem, ażeby razem z flotą wojenną angielską udał się do północnej Ameryki, gdzie się toczyła zacięta wojna z Francuzami. Zaraz na początku téj wojny admirał floty angielskiej rozkazał Kukowi, ażeby rozpoznał głębokość rzeki św. Wawrzyńca. Podczas téj pracy czółna francuzkie otoczyły nagle czółno Kuka; jednakże, pomimo gradu kul, odwaga i zimna krew tego dzielnego marynarza ocaliły go z niebezpieczeństwa. Wywiązał się doskonale z polecenia, a w nagrodę za to mianowany został dowódcą statku Nortumberland, na którym wiele jeszcze innych przysług wyświadczył marynarce podczas téj wojny. Wkrótce potem posunięty na stopień porucznika marynarki królewskiej, otrzymał polecenie dokładnego zdjęcia brzegów wyspy Niufaundlend, co wybornie uskuteczniwszy, zasłużył sobie na zaufanie admiralicyi t. j. władzy naczelnéj sił morskich.

Wkrótce nadarzyła się Kukowi sposobność okazania w całym świecie swoich wiadomości żeglarskich. Wiadomo każdemu, że, oprócz ziemi naszej, jest wiele innych planet, obiegających słońce. Uważanie ich obiegu służy do wyja-

śnienia wielu zagadnień naukowych. Zdarza się co pewien przeciąg lat, że planeta Wenus, znajdująca się bliżej słońca, niż ziemia, przechodzi pomiędzy ziemią i słońcem na równej linii, tak, iż na tarczy słonecznej wyraźnie widać przesuwającą się tę planetę, jakoby ciemną kulę. Przejšcie to jest bardzo ważne dla nauki, mianowicie służy do ścisłego obliczania odległości ziemi od słońca i dlatego astronomowie przyglądają mu się z wielką pilnością, a spostrzeżenia swoje zapisują troskliwie. Właśnie w r. 1769 miało nastąpić takie przejście planety Wenus przez tarczę słoneczną. Towarzystwo uczonych w Anglii podało prośbę do króla, aby wysłał okręt na morze Południowe, zkaąd najlepiej obserwacje czynić było można. Rząd pośpieszył uczynić zadosyć prośbie uczonych, urządził wyprawę i powierzył dowództwo jęj Kukowi, który dał się już poznać dostatecznie ze swych zdolności. Kuk do tęg wyprawy wybrał statek Endiwur (Endeavour).

Endiwur, mając na pokładzie wielu uczonych mężów, między innemi Gryna (Green), wypłynął z Anglii d. 26 Sierpnia 1768 r. i, dotknąwszy brzegów brazylijskich, skierował się ku przylądkowi Hoorn ¹⁾. Po trudném i pełném niebezpieczeństw przebyciu cieśniny Le Maine, dostał się na ocean Spokojny, a nakoniec przybił do gromady wysp Taiti, które wówczas nazywano wyspami Towarzyskiemi, albo Otahitą. Wyspa ta przeznaczona była do obserwacyj astronomicznych. Kuk, rozgościwszy się w Taiti, umiał sobie zjednać przychylnosć mieszkańców, wydał surowe przepisy dla swoich podwładnych, zakazał wszelkich nadużyć, a tym sposobem wyprawa doznawała pomocy krajowców i bywała zaopatrywana w żywnosć obficie.

Po szczęśliwém dokonaniu obserwacyj astronomicznych Kuk puścił się na zwiędzenie południowęj części oceanu

1) Na samém południu Ameryki.

Spokojnego w celu sprawdzenia dawnych i porobienia nowych odkryć. W podróży téj objął w posiadanie korony angielskiej wiele wysp i popłynął ku południowi w celu wyszukania wielkiego lądu południowego, spodziewał się bowiem, że go tam znajdzie niezawodnie. Po drodze opłynął dokoła Nową Zelandyję, odkrył cieśninę, rozdzielającą dwie jéj wyspy, następnie skierował się ku Nowej Hollandyi, przebył cieśninę Torresa, oddzielającą ląd ten od Nowej Gwinei, i po 3-ch blisko latach nieobecności wrócił, około przylądka Dobréj Nadziei, do ojczyzny.

Rząd, poznawszy w téj wyprawie nieporównane zdolności Kuka i jego biegłość w żegludze, nie dał mu długo odpoczywać. Zaraz następnego roku wysłano go na morze Południowe, aby czynił dalsze odkrycia, głównie zaś, aby się starał popłynąć jak najdalej na południe i, jeżeli można, odszukał ląd południowy, mający się na biegunie południowym znajdować. Tym razem powierzono mu dwa okręty, zaproszono kilku uczonych, aby towarzyszyli wyprawie i zaopatrzono statki we wszystkie zapasy, jakich tak długa podróż wymagała.

Kuk opuścił Angliję w d. 15 Lipca 1772 r. i popłynął około przylądka Dobréj Nadziei wprost ku biegunowi południowemu. W tamtych okolicach pory roku przypadają przewrotnie, a mianowicie, gdy na półkuli północnej, którą my zamieszkujemy, jest lato, wtedy na południowej jest zima; kiedy u nas zaczyna się jesień, tam bywa początek wiosny i przeciwnie. To téż Kuk, płynąc w początkach Grudnia ku biegunowi południowemu, znajdował się w samym środku tamtejszego lata. Pominimo to, w d. 10 Grudnia spostrzeżono góry lodowe, a im bardziej zapuszczano się na południe, tym większe pokazywały się massy lodów. Ponieważ okrętom zagrażało z tego powodu niebezpieczeństwo, przeto kapitan rozkazał skierować ku północy, aby się dostać w cieplejsze okolice; popłynął ku

Nowej Zelandyi i na téj wyspie parę miesięcy zabawił. Chociaż zbliżała się zima, jednak niezmordowany kapitan nie chciał jég trawić w bezczynności: puścił się więc powtórnie ku południowi, aby przejrzeć morza, leżące w pasie umiarkowanym, tojest w okolicach, gdzie morze nie zamarza i gdzie nie ma pływających gór lodowych. Ta podróż zimowa nie przyniosła jednak nowych odkryć, ani wielu korzyści. Po długim krążeniu w różnych kierunkach po morzu Południowém, Kuk wrócił do Nowej Zelandyi, a następnie puścił się z powrotem do Europy, opływając Amerykę południową około przylądka Hoorn, i wylądował w Anglii w mieście Portsmaus, przepędziwszy w drodze lat 3 i dni 18.

W podróży téj Kuk, lubo nie dopiął zamierzonego celu, tojest nie odkrył stałego lądu południowego, zwiędził jednak mnóstwo wysp i ułożył wyborne karty geograficzne; co zaś do lądu południowego, nabrał przekonania, że jeżeli taki w istocie istnieje, to leży bardzo daleko na południe i, z przyczyny ogromnych lodów, otaczających go wiecznie, niepodobieństwem jest dopłynąć do niego.

Dalszy ciąg.

Trzecia podróż około świata tego sławnego żeglarza rozpoczęła się w dniu 12 Lipca 1776 r. Pomiedzy uczonymi geografami toczyły się podówczas spory, czy można dostać się na ocean Spokojny, opływając północną Amerykę? czy istnieje ta morska droga, którą nazwano „przejściem północno-zachodniém“? Z odkrycia tego obiecywano sobie wielkie korzyści, a rząd angielski naznaczył 20,000 funtów szterlingów (przeszło 800,000 złotych) temu, ktoby je odkrył. Kuk ofiarował się z chęcią dowodzenia okrętem, który miano wysłać na wysledzenie tego przejścia. Rzecz naturalna, że skwapliwie przyjęto jego ofiarę i oddano

mu pod dowództwo dwa okręty, należycie wyekwipowane, a uczeni, jak zwykle, towarzyszyli w podróży śmiałemu żeglarzowi.

Kuk, przypłynąwszy szczęśliwie do przylądka Dobrzej Nadziei,abrał bydła rogatego, aby je przewieźć na wyspy oceanu Południowego i tam rozmnożyć te użyteczne zwierzęta. Zwiędził wyspy Kerguelen i zawiął wreszcie do Nowej Zelandyi. Następnie popłynął ku wyspom Pomotu i odwiedził Taiti, a nie bawiąc nigdzie długo, pośpieszył ku północy dla spełnienia powierzonego mu zadania.

Jednego dnia dostrzeżono trzy nowe, a dotąd nieznane jeszcze wyspy. Okręty zbliżyły się ku największej i kapitan wylądował na nią. Znać Europejczycy pokazali się tam po raz pierwszy, gdyż wyspiarze z nadzwyczajną ciekawością przypatrywali się przybyłcom, a przed Kukiem padali na twarz, jakby przed bóstwem. Byli oni silnie zbudowani i nadzwyczajnie zręczni. Przystępniejsi i oświeceni od innych wyspiarzy oceanu Spokojnego, wnet z Europejczykami weszli w dobre stosunki. Wyspy te były rozległe i mocno zaludnione. Kuk nazwał je Sandwicz, na cześć swego protektora, naczelnego lorda admiralicyi.

Z wysp Sandwicz popłynął kapitan ku północy, dla szukania przejścia. Okręty przebyły cieśninę Beryngą, dzielącą Azyję od Ameryki, ale, z przyczyny ogromnych lodów, pomimo wszelkich usiłowań, nie zdołały posunąć się dalej. Tymczasem zbliżała się zima; Sierpień miał się ku schyłkowi. Kuk postanowił wrócić do wysp Sandwicz, przezi-mować tam, a następnego roku wypłynąć wcześniej, dla dokonania zamierzonego odkrycia. Przez zimę jednak nie tracił czasu napróżno. Przybywszy do wysp Sandwicz, okrążał je kolejno i rysując brzegi, skreślił dokładną mapę tego archipelagu. Żywności było do zbytku, nasolono mnóstwo mięsa. Krajowcy okazywali się nadzwyczaj przy-jaznemi i nikomu nie przyszło na myśl, aby wyprawa ta

smutno się miała zakończyć. Po jakimś czasie pojawiły się drobne kradzieże. Kuk nie wiele na nie zważał; ośmieszeni tym krajowcy poczęli coraz bardziej kraść. Za jednym dzikim, który skradł obcego, pobiegł oficer i kilku majtków, lecz zostali rozbrogieni i pobici przez wyspiarzy. Nakoniec skradziono wielkie czółno okrętowe. Niepodobieństwem było puścić téj kradzieży bezkarnie. Kuk więc, wzięwszy oddział żołnierzy uzbrojonych, wysiadł na ląd i udał się do mieszkania króla, aby go zaprowadzić na okręt i póty trzymać, póki nie zwróci mu czółna. Groźne gromady dzikich otoczyły ze wszystkich stron Anglików, jednakże nie odważyły się ich napadać. Za przybyciem atoli na brzeg, żony króla zaczęły rzewnie płakać i zaklinać go, aby się nie oddawał w ręce cudzoziemców. Ale Anglicy uprowadzali go przemocą. Wtedy krajowcy zaczęli grozić i potrząsać włóczniami. Jeden z naczelników podniósł broń i chciał uderzyć kapitana; wtedy Kuk strzelił do niego, ale śrót nie przebił zbroi, uplecionej z łyka. Dziki, ośmielony nieskutecznością strzału, dał znak swoim podwładnym; wyspiarze zasypali Anglików gradem kamieni. Cztórech majtków legło trupem, a Kuk został raniony w głowę. Pomimo to uchodził jeszcze do brzegu, lecz rozjuszeni dzicy, nie zważając na ogień żołnierzy, na rany i śmierć, wściekle rzucili się na Anglików, a jeden ugodził Kuka nożem w plecy. Mimo wołania, majtkowie nie mogli przynieść pomocy swemu kapitanowi, który legł, zamordowany nożami i maczugami wyspiarzy.

Tak zginął ten sławny żeglarz w d. 14 Lutego 1779 roku. Ciało jego, porąbane w kawały, podzielone było między naczelników krajowych; Anglicy przecież potrafili część zwłok wydostać i spuścili je z wielką uroczystością w głębiny wód morskich.

Kuk był mężem niezmordowanym, wytrwałym, wielkiego męstwa; wzrostu wysokiego blisko na 6 stóp, bar-

czysty, zbudowany silnie, włosów ciemnych, rysów twarzy poważnych i wyrazistych. Był on pierwszym Europejczykiem, który zbadał morze Południowe i wiele odkryć geograficznych w téj stronie świata zawdzięcza mu nauka. Nie mało téż oddał posług innym umiejętnościom, a mianowicie astronomii, botanice, zoologii i mineralogii, t. j. naukom o gwiazdach, roślinach, zwierzętach i rzeczach kopalnych.

Wład. Lud. Anczyc. 1865.

5. Antoni Kanowa.

Ten najznakomitszy wieku swego snycerz był synem prostego kamieniarza. Urodził się między Bassano i Trewizą pod Alpami Weneckimi w małej wiosce Possagno. Po śmierci ojca, wziął go do siebie stryj, który także był kamieniarzem, jak wszyscy mieszkańcy téj wioski, gdzie się kopalnie pięknego marmuru znajdują. Osobliwsze jego do snycerstwa zdolności przypadkiem się odkryły. Będąc raz ze stryjem w domu wiejskim pewnego weneckiego pana, nazwiskiem Faliery, dla naprawienia studni, ze śniegu, który w wielkiej bryle stoczył się był z przyległych Alp, ulepił lwa. Gdy to Faliery zobaczył, odebrał go od stryja i posłał do weneckiego snycerza na naukę. Tam, mając zaledwie lat 15, zrobił dwa wazony z kwiatami, które do-
tąd zdobią wschody pałacu Farsetti w Wenecyi. Mając lat 17, wyciosał z miękkiego kamienia *Eurydykę*; wówczas rząd wenecki wysłał go do Rzymu, 300 czerwonych złotych rocznie na jego utrzymanie wyznaczywszy. Tam wyciosał *Dedala i Ikarą*, grupę, która się dziś znajduje w Wenecyi w pałacu Barbarigo. W Rzymie także zrobił *Tezeusza*, zwyciężającego Centaura. Kanowa wystawił Tezeusza w chwili, kiedy już cisnął Centaurem o ziemię i mając mu zadać raz ostatni, podnosi pałkę, a tymczasem lewą ręką

za gardło go ściska. Ta sławna grupa, równie jak i największe Kanowy dzieło: *nagrobek arcyksiężnej Maryi Krystyny*, królowej polskiej, jest teraz w Wiedniu, w świątyni, będącej wierném powtórzeniem świątyni Tezeusza w Atenach.

W r. 1815 Kanowa jeździł w charakterze posła papieżkiego do Paryża, dla odebrania obrazów, posągów i rękopismów, niegdyś z Rzymu wywiezionych.

Kanowa w ogólności żył cały w świecie starożytnym. Wszystkie jego większe religijne dzieła nie mają w sobie nic religijnego. Zwrócił się był wprawdzie do myśli religijnych, ale dla sztuki już za późno, a i to mu się nieszczęśliwie powodziło, i, co osobliwsza, los jego zmieniło. Dotąd siedział w Rzymie, tu miał swoje *studio* ¹⁾, był margrabią Iskija z tysiącem skudów rocznego dochodu, prefektem sztuk pięknych; imię jego zapisano w złotą księgę Kapitolu. Królowie go odwiedzali; wśród téj jego pomyślności poczęła się obok niego wzmaczać sława Torwaldsena, który robił religijne płaskorzeźby. Kanowa wówczas zrobił kolosalny posąg Religii z krzyżem w ręku i tarczą, na której w płaskorzeźbie przedstawieni byli święci Piotr i Paweł. Ten posąg chciał darować dobroczyńcy swemu papieżowi, dla umieszczenia w którym z największych kościołów rzymskich, lecz sprzeciwili się temu kardynałowie. Rozgniewany o to Kanowa sprzedał swoje dobra w państwie papieżkiem, porzucił Rzym na zawsze i przeniósł się do ulubionéj sobie Wenecyi, a za pieniądze, pracą i nadzwyczajną całego życia oszczędnością zebrane, zbudował w rodzinnej wiosce swojej Passagno kościół. W téj świątyni postawił ów posąg Religii; miał tu inne do wielkiego ołtarza porobić posągi, ale umarł, nie dokończywszy żadnego. Brat jego biskup, co się jeszcze dało, Anglikom spięniżył, a na miejscu posągów postawił deszczki z malowanemi posągami.

1) Pracownią.

Kanowa, więcej, niż półtora sta sztuk, zrobił; z tych 53 posągów, 12 grup, 14 sarkofagów, 8 wielkich pomników, 9 posągów kolosalnych, 54 popiersi i 26 płaskorzeźb. Papiész, Miurat, arcyksiążę austryjacki Ferdynand, Letycyja matka Napoleona, ostatni Stiuartowie i pierwsi Buonapartowie zamawiali u niego posagi. Żaden artysta nie doświadczył tyle względów, nie odebrał tylu dowodów szacunku od władców tego świata, co Kanowa.

Michał Wiszniewski. 1848.

IV. HISTORYJA.

A). OBRAZY I OPOWIADANIA

ŚCIŚLE HISTORYCZNE.

1. Święta Jadwiga.

Święta Jadwiga była córką Bertolda III, margrabiego Morawii, i Agnieszki, księżniczki Rakuzkiej. Już od pierwszój młodości obdarzona szczególniejszemi darami nieba, odebrawszy staranne wychowanie, przy wrodzonych przymiotach umysłu i serca, ozdobiona miłą powierzchownością, zjednywała sobie wszystkich. W 1186 roku, a 12-ój życia swego wiosnie, poślubioną została Henrykowi I Bródatemu, księciu Wrocławskiemu, jednemu z najpotężniejszych książąt z młodszej linii Piastów, panującej na Szlązku. Przed zawarciem tych związków, kiedy rówiennice jój zajmowały się strojami i zabawą, Jadwiga w modlitwach, w pokonywaniu ponęt próżności światowój, w rozdawaniu ubogim jałmużny, najmilszą dla siebie znajdowała rozkosz. Zostawszy żoną, słodyczą i rozsądkiem umiała sobie zjednać przywiązanie i szacunek męża, miłość i poszanowanie w naro-

dzie. Jadwiga, zostawszy matką trzech synów i tyluż córek, wychowywała ich w miłości i bojaźni Boga, w spełnianiu cnót chrześcijańskich, tak, iż wzrastali na pociechę rodziców i pożytek krajowi. Spólnie z mężem wystawiła klasztor w Trzebnicy, mieście o trzy mile od Wrocławia (1203 roku), do którego sprowadziła z Bambergu zgromadzenie Cystersek. W klasztorze tym przyjęła śluby zakonne córka jej Gertruda; później wstąpiły tu i dwie młodsze jej córki: Agnieszka i Zofija. Zakonnice te trudniły się wychowywaniem młodych panienek.

Jadwiga często odwiedzała klasztor w Trzebnicy; wtedy wdzięwała suknię zakonną, ale, jako zamężna, ślubów wykonać nie mogła. Wtedy pokora jej dla innych zakonnice była zawsze przykładem. Umywała podróżnym nogi, pielęgnowała chorych, wspierała ubogich. Jaśniejac cierpliwością, nigdy się nie uniosła; nikt jej gniewu nie widział, nikt dotkliwego słowa nie słyszał. Tym, co przeciw niej, lub przeciw innym, zawinili, mawiała: „Niech ci Bóg tego nie pamięta“.

Jadwiga ściśle przestrzegała ustaw kościoła, z równą troskliwością pilnując, aby dworzanie ich dopełniali. Duch jej, wznosząc się do Boga, coraz więcej nabięrał siły, a, uniżając się w pokorze, wzrastał w mądrość i bojaźń bożą.

Po śmierci męża w 1238 roku, gdy syn jej, Henryk Pobożny, książę Wrocławski, na obszernych polach Lignicy, w czasie pierwszego napadu Tatarów na Polskę, objął nad wojskiem dowództwo, postanowiwszy pokonać wrogów, lub zginąć z chwałą, Jadwiga krzepiła jego mężstwo i zagrzewała do boju. Głos matki głęboko utkwiał w duszy Henryka. Niezrażony ogromem pogaństwa, z wyborem Polskiego i Szlązkiego rycerstwa, uderzył na ich hufce.

Znacie z dziejów Polskich nieszcześliwą tę bitwę pod Lignicą, w której, pod żelazem niezmiernie liczne go poga-
nina, padło tyle rycerstwa chrześcijańskiego. Henryk

Pobożny walczył nieustraszony i, kiedy wróg przemógł na wielu miejscach bitwy, on wytrzymał śmiertelny bój, a opuszczony od innych, z czterema tylko towarzyszami jeszcze walczył z najeźdźcami. Wreszcie włócznią, od Tataru rzuconą, przez pancerz przeszyty, prawie martwy z konia upadł. Rzuciła się tłuszcza na konającego; ucięli mu głowę i zatknęta na włóczni obnosili w około murów przerażonej Lignicy, do poddania ją wzywając. Dzielne mury miasta, przy pomocy obrońców walecznych, ocaliły obleżonych.

Ciało Henryka, znalezione na placu bitwy, naród wśród placu pochował we Wrocławiu. Pokrzepiona wiarą Jadwiga, pewna wiecznej dla syna od Stwórcy nagrody, z poddaniem się religijném cios ten przeniosła i wypowiedziała modlitwę następną, którą historyja dochowała: „Dziękuję Ci, o! Panie, że mi dałeś syna, który, mię szanując i postępowaniem nigdy nie zasmucając, w obronie wiary świętej, walcząc przeciw nieprzyjaciołom krzyża, tak chlubną poległ śmiercią. Szczęśliwa matka, duszę jego Tobie, Boże, polecając, w miłosierdziu Twojem ma nadzieję, że go do chwały swojej przyjąć raczysz“.

Jadwiga wybudowała wiele klasztorów, jakoto: w Bolesławiu, Sadku, około Wąsacza, Złotogórza i w innych miejscach, oraz mnóstwo kapliczek. Umartwienie ciała do tego posunęła stopnia, że przez 40 lat życia nie używała mięsa. Kiedy, zapadłszy na zdrowiu, musiała jeść je z rozkazu Wilhelma, biskupa Mutyńskiego, który jęj ten posiłek pod posłuszeństwem kościelném zalecił, mówiła, że rozkaz ten przykrzejszy dla nięj, niż sama choroba. Hojność jęj w rozdawaniu jałmużny i litość nad nędzą bliźnich były tak wielkie, że w klasztorze w Trzebnicy przytułek dla 1,000 sierot opuszczonych zapewniła, cały swój majątek i klejnoty na to poświęciwszy. Odwiedzała chorych, a pełniąc przy nich usługi, wlewając pociechę religijną, ożywiała

w nich zachwianą nadzieję. Wykupywała więźniów, wypraszała ich łzami od surowych wyroków, podając im zarazem skuteczne środki do poprawy dalszego życia.

Ciesząc się blizkim już zgonem, opatrzona świętymi sakramentami, dnia 8 Września 1243 roku przykładnie Bogu ducha oddała, wśród łez sierot i zakonnic, z którymi ostatnie lata po śmierci męża przeżyła. Po śmierci na jej ciele grubą włosiennicę znaleziono, którą potajemnie dla umartwienia nosiła.

Klemens X, papież, oceniając jej życie świętobliwe i dobru ludzkości poświęcone, policzył ją w poczet świętych w 1258 roku.

Leopold Hubert.

2. Kazimierz Wielki.

Kazimierz Wielki był król troskliwy o dobro i pomyślność kraju. Wiele miast założył, uporządkował i okazałemi gmachami ozdobił, mnóstwo wspaniałych kościołów i obronnych zamków powznosił, szpitali i magazynów pobudował. Ustanowił jednostajną i dobrą monetę, urządził kopalnię srebra w Olkuszcu i zupy solne w Bochni i Wieliczce, dał początek akademii Krakowskiej. Ormijanom, osiedlającym się w Polsce, zapewnił swobody; Żydom, oprócz potwierdzenia dawnych przywilejów, udzielił nowe. Obok tego wszystkiego wspierał handel, przemysł i rolnictwo. Na sławnym zjeździe narodu w Wiślicy w 1347 roku, zebrane zostały, w jedną księgę praw, ustawy Wielkopolskie i Małopolskie, pod nazwą statutu Wiślickiego, i tamże uroczystie ogłoszone. Odznaczał się przytém Kazimierz wspaniałością, łagodnością, niezmierném zamięłowaniem sprawiedliwości i ojcowską opieką wszystkim, a mianowicie téż ludowi wiejskiemu okazywaną, za co nawet otrzymał piękny przydomek króla chłopków.

Jako dowód zamożności kraju, a bogactwa i znaczenia Kazimiérza u obcych nawet monarchów, posłużyć może wspaniałe wesele, wyprawione przez niego w Krakowie dla swéj wnuczki, którą wydawał za cesarza Karola IV. Na weselu tém, oprócz samego nowożeńca, znajdowało się trzech króli, mianowicie Ludwik, król Węgierski, Walde-
mar, król Duński, i Piotr, król Cypryjski, tudzież wielu udziałnych książąt. Wszyscy ci goście następnie przez mieszczanina Krakowskiego Mikołaja Wierzyńka, podskarbiego króla Kazimiérza, nader hojnie przyjęci i wspaniale udarowani zostali.

Wielki ten monarcha umarł w Krakowie dnia 5. Listopada 1370 roku; żył lat 60, panował lat 37.

Władysław Wenda. 1861.

3. Czechy za Karola IV.

Pod panowaniem Karola IV nastał dla Czechii wiek złoty nauk, sztuk i przemysłu. Karol, wydoskonalony w szkołach Paryzkich i Włoskich, postanowił wznieść swój kraj na równy stopień oświaty. W tym celu założył sławny uniwersytet w Pradze w roku 1348, najpiérwszy w Słowiańszczyźnie i w całych Niemczech. Dwór Karola stał się zbiegowiskiem najsławniejszych uczonych i misterników Europy. Stolica Czechii jemu winna dzisiejszą wspaniałą powierzchowność.

Ziemia Czeska, obfitująca we wszelkie przedmioty potrzeby i zbytku, od natury przeznaczona była do handlu. Karol ustanowił prawa handlowe i niebawem karawany kupców z najodleglejszych stron pokryły cały kraj. Zbiór praw Karola dla Czechów, nazwany „Majestas Carolina“, wskazuje w nim głębokiego filozofa i biegłego sprawcę. O kilka godzin drogi od Pragi założył gród warowny Karlsztyn, gdzie przechowywano skarbiec Czeski. Pomyślność

narodu wzrastała niemal z każdym dniem, a odkrycie uzdrawiających Karolowych Warów sprowadzało tłumy cudzoziemców.

Karol zwyciężył Bawarów, przyłączył Brandeburg do Czechii, dalej, na drodze pokoju zawarł przymierze z Polską i Węgry i ze wszech stron zapewnił krajowi bezpieczeństwo.

Po 32 latach panowania, w których, zdawało się, że postawił Czechiją na niewzruszonych posadach pomyślności, Karol umarł roku 1378, zostawiwszy trzech synów. Najstarszemu z nich, Wacławowi, dał koronę Czeską; drugiemu, Zygmuntovi,—margrabstwo Brandeburskie, najmłodszemu zaś, Janowi,—Łużyce. Brata swego Jana obdarzył Morawą.

Edmund Chojecki.

4. Bitwa pod Obertynem.

W roku 1531 przedsięwziął Petryło, wojewoda Mołdawski, wałą na Polskę wyprawę, napadł w Lipcu Pokucie, zdobył Śniatyn, Kołomyję, Tyśmienicę, a pałac i rabując, posunął się aż pod Halicz. Wysłał Zygmunt I przeciw niemu Jana Tarnowskiego, hetmana wielkiego koronnego, który tą wojną świetny swój hetmański zawód rozpoczął. Po dwunastu szczęśliwych utarczkach odzyskali Polacy Pokucie; Petryło, ustępując, zamek Gwoździec wojskiem osadził. Tarnowski, poraziwszy sześć tysięcy Wołochów pod Gwoźdzcem, osadził gród polską załogą i już odwrót do Polski rozpoczął, gdy mu o zbliżaniu się Petryły z głównem wojskiem, około 24 tysięcy wynoszącém, doniesiono. Na tę wieść radzili niektórzy śpieszny odwrót na Halicz, nawet z pozostawieniem dział, o ile że szczupła garstka Polaków zaledwie 4 tysiące liczyła. Tarnowski jednak, przenosząc śmierć nad haniebny odwrót, hetman,

który nigdy w życiu nie uląkł się żadnego nieprzyjaciela, postanowił w obozie pod Obertynem oczekiwać Petryły. Dnia 22 Sierpnia napadł Petryło obóz, szturmując doń z 50 armat i całą siłą swego wojska. Dzielny opór Polaków na wałach, zręczne użycie polskiej artylerii, piorunne wypadnięcie z obozu na wahającego się już nieprzyjaciela, zapewniły Polakom świetne zwycięstwo, cały obóz, jako łup, 50 dział i wielu jeńców nieprzyjacielskich. Tarnowski, bohater Obertyna, odbył tryumfalny wjazd do Krakowa i u grobu świętego Stanisława zawiesił chorągwie zdobyte. Sejm Piotrkowski roku 1532 uchwalił dlań pobór dwóch groszy z łanu, w nagrodę za wyświadczoną Rzeczypospolitéj posługę.

Józef Szujski. 1862.

5. Barbara Radziwiłłówna.

a). Koronacja.

Rano dnia 9 Grudnia 1550 roku arcybiskup Gnieźnieński, Dzierzgowski, w towarzystwie wszystkich prawie biskupów królestwa, oczekiwał w katedrze na Wawelu pary królewskiej. Okazała się ona o wyznaczonej godzinie, otoczona całym dworem i gronem senatorów, poprzedzonych przez wojewodę Krakowskiego, Piotra Kmity, który niósł łaskę, jako marszałek wielki koronny. Przed resztą niezliczonych panów, pań, mieszczan i ludu, odznaczała się posłowie książąt lenniczych i dwaj książęta Szląscy: Lignicki i Cieszyński, którzy przybyli w gościnę. Naprzeciw wielkiego ołtarza wystawiony był tron, obity Londyńskim i Orleańskim suknem szkarłatnej barwy. Zasiadła na nim po raz pierwszy Barbara w nadzwyczajnie bogatym, od samych pereł i klejnotów błyszczącym stroju królewskim. Wśród nabożeństwa przystąpił prymas z biskupami i kanonikami katedralnymi do tronu i przy uroczystej asystencji

całego duchowieństwa, namaściwszy Barbarę, włożył jęj na skroń koronę. Rozlegający się zwykle w takiej chwili okrzyk radosny, witający nową rzeczywistą królowę, był zapewne najmiłszym głosem, jakim kiedy ziemia przemówiła do jęj duszy.

Po odbytej uroczystości nastąpiło hojne rozdawanie upominków wszelkiego rodzaju, mianowicie w bogatych szatach, szubach, sobolach, w nadzwyczajnej ilości przez rzemieślników królewskich w tym celu sporządzonych. Wreszcie uczta wspaniała, przygotowana dla wszystkich zgromadzonych gości w dwóch komnatach zamkowych, nowém obiciem z złotogłównia błyszczących, zakończyła ceremoniję dnia tego.

Nazajutrz, na rynku Krakowskim, przed oczyma Barbary, wyglądającej ze swoim dworem z okien pałacu Jordana Spytki, naprzeciw zamku, odbierał król na tronie przed ratuszem, po dawnym obyczaju, hołd książąt lennych. Była to pierwsza i ostatnia uroczystość publiczna, w której Barbara, jako rzeczywista królowa, miała udział. Usilnie przez nią przed koronacją pokonywana i tajona choroba wybuchła tym gwałtowniej po spełnionym obrzędzie. Już z koronacyjnej wracając ceremonii, gdy poufniejsze grono domowników winszowało Barbarze nowego dostojństwa, miała ona z bolesnym odpowiedzieć uśmiechem: „Do innęj wnet korony powoła mię Pan niebieski; proścież go tedy za mną, aby to ziemskie berło na palmę niebieską zamienił, a miłego męża mojego w żalu po mnie utulił“.

Słowa królowej były istném proroctwem. Nie pozostawało jęj nic już do życzenia na ziemi i nie pozostawało jęj téż więcéj, jak tylko sześć miesięcy do życia.

b). Śmierć i pogrzeb.

Nad ranem 8 Maja 1551 roku, w uroczysty dzień świętego Stanisława, ozwało się w królowej przeczucie blizkiego zgonu. Prosiła o wcześniejsze, niż zwykle, odprawienie mszy świętej, po której zażądała przyjęcia sakramentów. Po namaszczeniu olejem świętym nastąpiło pożegnanie z Augustem. Wtedy ostatnią w życiu prośbą skłoniła króla do przyrzeczenia, iż po śmierci odwiezie ją nazad do Litwy. Jeszcze kilka godzin po tém pożegnaniu pasowała się chora ze śmiercią. Wreszcie w samo południe ogarnęła ją dziwna trwoga. Kazała przybliżyć się Augustowi. Nie mogąc dojrzyć go już dokładnie, nadstawiła mu ręce, które on w niemój ujął boleści. Mimo tak blizkiego połączenia się, rosła chmura ciemności między nimi. Czarne skrzydło anioła śmierci spuszczało się coraz niżej. Ostatni promień życia Barbary, ostatnie jęz tchnienie...zgasło.

Trzeciego dnia po śmierci, w Sobotę, ubrano ciało nieboszczki w czarną atłasową szatę i złożono je w trumnę bogatą, ozdobioną oznakami dostojności królewskiej: złota korona błyszczała na białej skroni, prawa ręka dzierżyła berło, lewa — jabłko królewskie. Tak wystawione były zwłoki Barbary na widok publiczny w sali zamkowej. Odbył się solenne nabożeństwo żałobne, przy którym, w obecności dworu, panów i duchowieństwa, spuszczone na zawsze wieko na trumnę.

Gdy się rozszérzyła wiadomość, że król zwłoki Barbary osobiście do Litwy przewieźć zamierza, uczuli wszyscy żal wielki, upatrując w tém jakoby wyrzut za dawny opór przeciw Barbarze. Udali się tedy wszyscy senatorowie i dygnitarze do króla z prośbą o pochowanie Barbary w grobach królewskich. Król jednakże nie dał się zachwiać we własném i w nieboszczki życzeniu. Dnia 25 Maja, po powtórném nabożeństwie żałobném, odbytem uroczyscie nad

trumną, przeniesioną do kościoła katedralnego, włożono zwłoki nad wieczorem do umyślnie na to przyrządzonej kolébki i nastąpiła nadzwyczaj okazała, obecnością króla, wielu biskupów, panów i ludu uświetniona eksportacja ciała z Krakowa, w drogę do Litwy, pod przewodnictwem samegoż króla.

Trwała ta smutna podróż przez cały prawie miesiąc. W ciągu całej podróży nie odstępował August ani na chwilę trumny. W drodze jechał tuż za nią konno, w żałobnym stroju, w głębokim smutku. Przy wjeździe do któregośkolwiek siola, lub miasta, zsiadał z konia i szedł pieszo za ciałem. Nie odwiodła go od tego ani razu żadna niepogoda, żadna przeszkoda. Na każdym noclegu odbywało się zwyczajnie przez duchownych miejscowych nabożeństwo żałobne przy trumnie, składanej w miastach na mary wśród kościoła. Kolébkę z trumną ciągnęły ustawicznie rumaki karéj maści. Gdy jedne ustały na siłach, szukano innych téj saméj maści koniecznie i niekiedy po największej przepłacano je cenie.

Pod koniec Czerwca, około świętego Jana, wjechał król ze swoim skarbem żałobnym do miasta Wilna, w towarzystwie mnogich panów litewskich, którzy już na kilkadziesiąt mil od stolicy: w Mostach, w Olkienikach, w Rudniku, spotykali go z powitaniem. Duchowieństwu Wileńskiemu, które, starodawnym obyczajem krajowym, chciało króla powitać w polu pod miastem, kazał August wstrzymać się, na ten raz, od nazbyt wystawnych ceremonij i przyjąć królowę zmarłą u bram kościoła. Przez cały tydzień przed przybyciem konduktu działały się w Wilnie przygotowania do pogrzebu: powlekano kirem ściany komnat zamkowych i świątyń Pańskich; stawiano mary w pięciu głównych kościołach. O samym pogrzebie tylko to wiemy, iż z prawdziwie królewską odbył się okazałością. We wszystkich głównych świątyniach odprawiały się egze-

kwije i nabożeństwa żałobne. Zwłoki Barbary spoczęły w kościele katedralnym, obok Elżbiety, pierwszej żony Augusta. Wkrótce po pogrzebie, dwaj rzeźbiarze Włoscy wzniesli nad grobami obudwóch małżonek królewskich dwa nader kosztowne pomniki marmurowe.

Karol Szajnocha.

6. Wjazd Jerzego Ossolińskiego

DO RZYMU.

Władysław IV wyprawił do papieża Urbana VIII poselstwo, poruczając je Ossolińskiemu. Wjazd jego do Rzymu jest jednym z najświetniejszych wystąpień, o jakich wspomina historia. Młodzież najpiękniejszych domów polskich przyłączyła się do orszaku posła, tak, iż policzywszy stojących, kuchennych, służbę, wynosił on przeszło 300 osób; samych koni podwodowych najwyborniejszej rasy, należących do posła, prowadzono 30; rydwonów pod rzecz, oprócz karet, szło 20. Z tak liczny orszakiem wyruszył Ossoliński 23 Września 1633 roku z Krakowa; krewni i przyjaciele przeprowadzili go do granicy niemieckiej. W Niemczech już rozszedł się ogłos o wspaniałym jego pochodzie; gubernatorowie miast i panowie niemieccy, jedni z rozkazu cesarskiego, drudzy z uprzejmości, po drodze zapraszali go do swoich zamków, racząc wspaniałymi ucztami, biciem z dział, muzyką, i dostarczając karet i koni do podróży. W Wiedniu nader gościnnie przyjmował go cesarz, a gdy przebył góry Szttyryjskie i wjechał do Włoch, kardynałowie, krewni papieżcy Barberini i znakomici panowie włoscy, tudzież panowie polscy, bawiący we Włoszech, wyjeżdżali ze swymi dworzanami na jego spotkanie i łączyli się z orszakiem, który coraz więcej rósł w liczbę i wspaniałość. O sześć mil od Rzymu powitali go sekretarze wszystkich poselstw, a wkrótce potem spotykali

posłowie cudzoziemscy, których niezmiernie dziwiło, że Ossoliński z każdym z nich mówił jego własnym językiem. Przybywszy do bram Rzymu, zostawił swój orszak w willi papieżkiej, a sam, w zamkniętej karecie, z kardynałem de la Tore, protektorem Polski, pojechał przedstawić się papieżowi. W siedem dni potem odbył wjazd uroczysty do świętego grodu.

W Niedzielę 27 Listopada, gdy do willi, za miastem leżąc, zjechały się dwory: papieżki, kardynałów i posłów cudzoziemskich, oraz niezmierna moc kawalerów, hrabiów, margrabiów i książąt, wsiadł Ossoliński na konia o godzinie drugiej i ruszył ku bramie Flamińskiej.

Na czele jechało dwóch furyjerów Ossolińskiego, po polsku w suknie szkarłatne ubranych, na dzielnych koniach; za nimi szły wozy, suknem karmazynowem, z wyszytymi na niem herbami posła, przykryte, w liczbie 22.

Następowało potem 10 wielbłądów z dzwonkami srebrnymi na szyjach, dekami jedwabnemi, złotem tkanemi, przykrytych, które prowadzili Persowie, narodu swego obyczajem bogato ubrani i w zawojach. Po tych widać było 4 trębaczy najprzedniejszych, po polsku w zielone aksamitne suknie z pętlcami złotemi przystrojonych, za którymi szła gwardyja posła, z 34 ludzi złożona; konie były pod nimi piękne, sami—w sukniach jedwabnych, złotem przeszywanych; mieli flinty, pistolety i białe pióra u czapek.

Za nimi szła chorągiew papieżka, z samą szlachty złożona, a po niej dworscy kardynałów, mający każdy na ramieniu kapelusze kardynalskie.

Niedaleko od nich jechało 30 pokojowych posła, na dzielnych koniach, w rzędach srebrnych, wszyscy barwisto w suknie polskie aksamitne, koloru niebieskiego ubrani, mając na sobie sajdaki, zwyczajem tureckim w srebro oprawne. Poprzedzał ich giermek posła, Chociszewski, starzec poważny, tarczą bogatą uzbrojony i zwyczajem

perskim strzałę w rękę trzymający, ze skrzydłami, do kulbaki przypiętymi. Suknie na nim, złotem, perłami i drogiemi kamieniami tak bogato były ozdobione, iż wszystkich na siebie oczy i podziwienie obracał.

Za pokojowemi prowadzili po persku bogato ubrani masztalerze 5 najdzielniejszych koni tureckich. Na każdym rząd i kulbaka, drogiemi kamieniami ozdobione; na jednym mianowicie koniu siedzenie było samemi dyjamentami całe okryte, a na czole konia sztuka z klejnotów tak bogata, iż ją szacowano na 20,000 skudów, co niemal 10,000 dukatów wyniesie. Ale najwięcej to zadziwiło wszystkich, że u trzech z tych koni podkowy były złote i niektóre umyślnie tak słabo przybite, że mogły odpadać; jakoż dwie, na części złamane, odpadły i pospółstwu się dostały.

Za temi końmi jadący koniuszy posła z buławą srebrną prowadził 20 dworzan poselskich bogato ubranych, przy złotych karabelach. Tuż za niemi jechało 16 dworzan posła hiszpańskiego, oraz wielka liczba krewnych kardynalskich i innych panów.

W niejakim odstępie jechało 20 przedniejszych dworzan polskich, na przepych ustrojonych, którym przodował Jakub Zieliński, marszałek dworu, mający w rękę buławę srebrną. Po bokach jego jechali dwaj kawalerowie; tuż za niemi postępował książę de Richemont, krewny posła francuzkiego, z licznym orszakiem zbrojnych dworzan, a za niemi dworzanie papieżcy.

Następowali po nim różni panowie polscy, z których jedni umyślnie do Rzymu przybyli, dla pomnożenia wspańiałości tego wjazdu, drudzy, już dawniej tam będąc, i siebie i ludzi swoich ofiarowali posłowi na tę usługę. Wszyscy, przepysznie ubrani, jechali na dzielnych rumakach, po trzech, lub parami, a każdemu towarzyszyło dwóch kawalerów rzymskich, po bokach jadących.

Najwięcej jednak zwracał uwagę Ciekliński, sekretarz królewski. Jadąc na dzielnym koniu arabskim, czynił obroty niepojętej szybkości, tak dalece, że łańcuch złoty, do munsztuka przypięty, koń pod nim osobiwszą sprawnością na drobne kawałki poszarpał i pospółstwu na łup rozrzucił.

Za długim sznurem panów polskich jechał wreszcie poseł, mając po lewej ręce sufragana Gnieźnieńskiego, Gembickiego, sekretarza poselstwa. Gdy stanął w bramie, spotkany został przez dwóch prałatów, wysłanych przez papieża, z których jeden, Faustopoli, arcybiskup amazyjski, jechał po lewej jego ręce, a drugi, Kajetani, patrijarcha aleksandryjski,—po prawej. Po bokach szło 30 piechoty polskiej, pięknie ubranej z guzami i piórami srebrnemi.

Posel miał na sobie suknie, bogato złotem haftowane, i tak przy żupanie, jak i zwierzchniej szacie, po 20 sporych guzów, każdy z jednego dyjamentu, i po 20 pętlic dyjamentowych. Karabelę miał złotą, klejnotami sadzoną, na 20 tysięcy złotych polskich szacowaną. Siedział na dzielnym tureckim rumaku, mającym podkowy złote. Na głowie konia były pióra czarne, a przy uszach czuby, gęsto dyjamentami przeplatane. Całe siedzenie, nawet strzemiona drogiemi klejnotami miał sadzone.

Temu pięknemu widokowi dodawała jeszcze ozdoby osoba samego posła, który był jednym z najprzystojniejszych mężczyzn swojego wieku i dzielnie trzymał się na koniu.

Nie tylko Rzymianie, ale i cudzoziemcy wyznawali, iż nigdy nie widzieli tak wspaniałego wjazdu. Upamiętniono go też malowidłami i sztychami, a między innemi znany rytownik włoski Stefan della Bella wykonał wjazd ten na sześciu półarkuszkach, jeden pas składających.

Wojciech Grochowski.

7. Dzieciństwo i młodość Napoleona.

Napoleon Bonaparte urodził się dnia 15 Sierpnia 1769 roku. W dziecinnych swoich latach mało się różnił od innych dzieci. Do dzisiejszego jeszcze dnia pokazują w Ajaccio małe metalowe działo, którem się zabawiał, nie powiadają jednak, czy ta zabawka obudziła w nim chęć do sztuki wojennej, czy też przeciwnie skłonność wrodzona dziecka spowodowała rodziców do sprawienia mu téj zabawki. W dziesiątym roku umieszczony został w szkole wojskowej w Brienne. To nowe przeznaczenie zachwyciło go mocno: snuło mu się ciągle po głowie, jak się ma uczyć, jak nabywać wiadomości, jak się odznaczać. Przedmiotami najulubieńszymi jego była matematyka i historia; w językach mało czynił postępów.

Napoleon był, zaczawszy od Marca 1779 roku, pięć lat w szkole w Brienne. W roku 1784 w miesiącu Październiku przedstawiony królowi przez inspektora instytutów wojennych pana Keralio, jako młodzieniec znakomitych zdolności, został przeniesiony do szkoły wojskowej w Paryżu, a zaraz następnego roku wysłany do pułku artylerji La-Fère w stopniu podporucznika. Umieszczenie w pułku cieszyło go bardzo, lecz nie dla munduru, jak to zwykle bywa, bo o to nie był wcale dbały. Cienkie jego nogi ginęły w długich i wielkich butach. Gdy się pierwszy raz w ubiorze oficerskim pokazał, panna Permon, późniejsza księżna Abrantes, i jój siostra śmiały się z niego nadzwyczajnie i nazywały kotem w butach. Rozgniewany o to, pokłócił się z niemi, wkrótce się jednak przeprosił i kazał tokarzowi zrobić z drzewa pięknego kotka w butach, napisał o nim powieść i przyniósł im jedno i drugie w podarunku. Powieść ta, wydrukowana w piękném wydaniu kieszonkowém, stała się dla niego przy szczupłych zasobach nie małą pomocą.

Pułk La-Fère stał w Valence, zwał wyszedł do Lijonu dla rozruchów, tam wybuchłych. Nasz podporucznik, kąpiąc się w Rodanie, ledwie życia nie utracił. Bystry potok, gdy kąpiącego się kurcz porwał, uniósł go z sobą. Towarzysze, patrząc się na to, mieli go już za zgubionego, szczęściem wszakże woda wyrzuciła go na mieliznę, gdzie było łatwiej dać mu potrzebny ratunek. Z Lijonu wyszerował ze swym półkiem naprzód do Douai, a potem do Auxonne. Jak w jedném, tak w drugim miejscu, pracował ciągle nad naukami, które, wśród innych okoliczności, byłyby mu niemylnie zjednały imię znakomitego uczzonego. Stojąc w Lijonie odebrał nagrodę, wyznaczoną od akademii za rozwiązanie zadania: „Jakie uczucia w człowieku, dla uczynienia go szczęśliwym, należy najbardziej pielegnować, czyli jakie są zasady i środki, które stawiają człowieka na najwyższym stopniu szczęśliwości“? Zadanie to podał sławny Raynal. Rozprawa Napoleona odznaczała się tym samym ogniem, jakim się cechowały wszystkie jego szkolne ćwiczenia.

Kiedy Napoleon otrzymał stopień kapitana, nie jest z pewnością wiadomo.

Tomasz Dziekoński.

8. Napoleon w Brienne.

Miasto Brienne, w którym Napoleon odebrał pierwsze ukształcenie, było dla niego zawsze drogiem miejscem. Raz, po wyniesieniu swojém na cesarza, odwiedził starą wieśniaczkę Małgorzatę, u której, będąc w szkole w Brienne, często na podwieczorkach bywał. Przyjechał do niej galopem, zeskoczył z konia i wszedł do chaty. Wzrok jój już był wiekiem osłabiony, a on zmienił się bardzo, żeby go zaraz mogła poznać.

„Dzień dobry, matko Małgorzato“, rzekł, witając ją. „Jako! wszystko, co żyje, jest na nogach, żeby widzieć cesarza, a ty go nie jesteś ciekawa zobaczyć“?

„Ach! radabym go widzieć“, odpowiedziała. „Oto przygotowałam już koszyczek z jajkami; chcę je zanieść do Brienne, żeby mu się tam przypatrzeć. Ale to tak już dobrze nie będzie, jak wtenczas, kiedy on ze swemi spółuczniami przychodził do mnie na mléko. Wtedy on nie był wprawdzie cesarzem, ale zawsze zobowiązywał drugich i sam starał się o to, żebym miała zapłacone mléko, jajka, razowy chléb i potłuczone miski, on zaś swoją częśćkę naprzód płacił“.

„A więc jeszcze nie zapomniałaś Bonapartego, matko Małgorzato?“

„Czy nie zapomniałam? Dobry panie, alboż można zapomnieć młodzieńca, który był tak roztropny, tak stateczny, niekiedy prawda smutny, ale zawsze dobry względem ubogich ludzi. Ja jestem prostą wieśniaczką, a już wtenczas mówiłam, że ten młodzieniec zrobi szczęście na świecie“.

Cesarz przystąpił do niej bliżej i, jak mógł, zaczął przybierać ton i gesta wesołej młodości. „No! matko Małgorzato, mléka, świeżych jaj, bo nam się bardzo chce jeść“.

Staruszka zaczęła uważać, coś sobie przypominać i z podziwieniem spojrzała na cesarza.

„No! matko, myślałaś przecie, że poznasz cesarza; oto ja jestem“.

Rozczulona staruszka padła mu do nóg. On podniósł ją z najtkliwszą dobrocią i rzekł: „Doprawdy, matko Małgorzato, mam studencki apetyt. Czy nie można czego dostać“?

Staruszka, nie posiadając się z zadziwienia, przyniosła czym prędzej, tak, jak niegdyś, mléka i jaj, a on je jadł ze smakiem. Potém dał jój kieskę złota i rzekł: „Ty wiesz, matko, że mi zawsze przyjemnie było, kiedy kto za swoją porcyją rzetelnie płacił. Bądź zdrowa. Ja o tobie nigdy nie zapomnę“.

Potém wyszedł śpiesznie i wsiadł na konia.

B). LEGENDY.

1. K r a k u s.

Kiedy nie było z rodu Lecha następcy, naród zebrał się w Gnieźnie i, nie mogąc się zgodzić na jednego pana, coby nim rządził, obrał sobie dwunastu wojewodów. Lecz ci wkrótce zaczęli się między sobą kłócić i więcej dbać o swoje dobro, niż o pożytek narodu; przeto lud zbrzydził ich sobie, znowu zgromadził się do Gniezna i tam począł radzić, kogo na księcia wybrać.

Był wtedy zacny jeden mąż, nazwiskiem Krakus, który panował nad Chrobatami, co mieszkali nad Wisłą pod górami Karpackiem; jego więc obrano i wybór wszystkim się podobał. Tento Krakus założył był miasto Kraków, najślawniejsze na całą Polskę, wybudował także przy tém mieście zamek na górze Wawelu, zabiwszy wprzód ogromnego smoka, który w téj górze siedział. O tym smoku powiadają taką historyją, iż zjadał ludzi i bydło, z czego wielki strach był pomiędzy ludem, a nikogo nie było, coby się odważył zabić tego potwora. Dopiero szewczyk jeden, nazwiskiem Skuba, przyszedł raz do Krakusa i dał mu radę, aby wziąć barana, napchać siarką, zapalić i tak rzucić smokowi. Jak poradził, tak się stało. Smok połknął barana; siarka zaczęła mu palić wnętrzności; pił a pił wodę, ale ognia nie zgasił i pękł nareszcie. Jamę tę do dziś pokazują i zowią smoczą. Ten Krakus, choć poganin, musiał panować sprawiedliwie i dobrze, kiedy po jego śmierci cały lud się zebrał i własnymi rękoma usypał mu wielką mogiłę pod Krakowem. Nawet dziś jeszcze obchodzą tam na pamiątkę uroczystość Rękawki, dla tego tak nazwaną, że w rękach i w rękawach noszono ziemię na grób dobrego pana.

2. P i a s t.

„Gość w dom, Bóg w dom“,—stare polskie przysłowie i stare prawidło życia, którego się święcie trzymano.

Za czasów pogańskich żył w Polsce, nad jeziorem Gopłem, poczciwy kołodziej, Piast; żonę miał nazwiskiem Rzepichę. Oboje pędzili żywot, jako prawi chrześcijanie, choć chrześcijanami nie byli, bo żaden biédny bez jałmużny nie opuścił ich domu, ani nie wydarzyło się nieszczęście w okolicy, któremu by Piast, według możliwości, nie starał się ulżyć. Nie było zbytków w jego skromnej chacie, ale tak zawsze sprawiał Bóg, że Piastowemu sercu wystarczało, bo i swoi mieli dosyć i drudzy, jeśli głodni byli, najedli się. Mieli zaś syna małego; więc, gdy nadchodziła pogańska uroczystość postrzyżyn, gotował się na nią Piast i skromne czynił zapasy mięsa i miodu, aby sąsiadów, kto łaskaw, było czém uraczyć.

Zbliżała się już owa uroczystość, kiedy pewnego dnia przez Kruszwicę przechodzili dwaj pielgrzymi i, zapukawszy do bram księcia Popiela, zażądali od niego schronienia. Ale Popiel, iż był dumny i zły człowiek, nie rad miał gości u siebie, kazał ich więc precz od zamku odegnąć. Wtedy pielgrzymi przyszli przed dom Piastów i stanęli przede drzwiami. Ostrzegła Rzepicha męża, że jacyś obcy stoją przed domem. Piast, jako było jego zwyczajem, wyszedł na próg i, roztworzywszy ręce, jakoby niemi dom i serce swoje roztwierał, prosił pielgrzymów, aby raczyli przyjąć, czém chata bogata i rada. Wprowadziwszy ich do komory, pośpieszył do spiżarni i, nie bacząc, że mu może braknąć na postrzyżyny, ujął mięsa i miodu z naczyń i stawił je przed pielgrzymami, zapraszając uprzejmie, aby posilić się raczyli. Zabawili chwilę owi pielgrzymi, a gdy odchodzili, prosił ich Piast, aby nie zapomnieli, iż za dwa dni u niego święto rodzinne.

Był zaś pod ten czas głód w okolicy i, kiedy goście zebrali się u Piasta, mnóstwo zgłodniałego ludu stanęło przed domem i błagało posiłku. Otworzył wszystkim chatę swoją Piast i z żoną począł wynosić, co miał w spiżarni zapasów. Ale się frasował wielce, mówiąc do niej: „Bóg zdarzył tyle gości, czémże ja ich przyjmę, a mamże z domu mego wypuścić zgłodniałych“?—„Weź, co jest“, odpowiedziała mu Rzepicha, „obdzielą się, jak będą mogli“. Wtém, spojrzawszy ku drzwiom, ujrzała dwóch obcych pielgrzymów. Poszedł naprzeciw nim Piast i tak, jak poprzednią razą, zaprosił.

Rozpoczęła się uczta. Mnóstwo ludzi obsiadło stoły i nie zmieścili się wszyscy w chacie, ale wielu pozostało na dworze. Znosiła mięso i miód Rzepicha i nastarczyć nie mogła, a za każdym razem, kiedy niosła naczynie z jadem i napojem, Piast wzdychał, bo myślał, że to może już ostatnie, a tu tak wiele ludzi nic jeszcze nie dostało. Poszedł więc sam do spiżarni i, o cudo! patrzy, aż tu naczynia pełne tak, jakoby nic nie nadebrano. Nie może tego pojąć, więc sam ubiera miodu i ukrawa mięsa; spojrzy, a w naczyniu tyle jest, co było piérwój. Wtedy ujrzał, że to cud i że Bóg, chcąc z serca jego zdjąć strapienie, jakie ma każdy prawy, widząc biédnego, któremu pomódz nie może, cudownie jadło i napój rozmnożył.

Wtém we drzwiach stanęli owi dwaj pielgrzymi, ale jakżeż byli zmienieni! W miejsce długich ciemnych szat, jasne i mieniące mieli odzienie; twarze błyszcząły młodością i niebieskim blaskiem; złote sploty włosów wiły się im po szyi; z ramion wystawały srebrzyste skrzydła. Byli to aniołowie.

Padł na kolana Piast i czołem przed niemi uderzył, a oni do niego łagodnym głosem rzekli: „Wstań, pocciwy człowiecze; iześ nas w dom swój przyjął i z tym biédnym ludem chciał się ostatnim kawałkiem chleba podzielić,

zjął Pan Bóg z twego serca smutek i dozwolił się tobie uradować, przyjmując wszystkich gościnnie. I każe nam tobie zapowiedzieć, że, w nagrodę za twą uczynność, i ty i synowie i wnukowie twoi królować będziecie przez długie wieki.

I stało się, jak powiedzieli aniołowie: Piast wyniesiony został na tron, a ostatni z jego rodu król Kazimierz Wielki umarł 1370 roku.

Bronisława Kamińska.

G). OBRAZ Z DOMOWEGO ŻYCIA NARODÓW.

1. Zabawy studenckie w XVIII wieku.

W biegu szkolnych nauk były dwa dni w każdym tygodniu dawane studentom na rekreacyą: Wtorek i Czwartek, zaczynając od południa. Kiedy po Wtorku, lub Czwartku, następowało jakie święto, to nie dawano rekreacyi, ażeby wiele czasu naukom nie ujmować. Dlatego i rekreacyje, albo święta, zupełnie od nauk studentów nie uwalniały. Naznaczano im pomierne pensa ¹⁾, których trzeba się było nauczyć, i okkupacyą ²⁾, którą trzeba było napisać. Inaczej, gdy się pierwszego, albo drugiego nie zrobiło, następowały, po wesołej rekreacyi, płaczliwe lamentacje.

Na rekreacyą wychodzili studenci hurmem z profesorami i dyrektorami ³⁾, lecz nie koniecznie wszyscy: kto chciał, wolno mu było zabawiać się w osobnej małej kompanii. Zabawy, na rekreacyi zwyczajne, były: piłka i palcat. Piłka było kłębek z wełny, albo z pakuł, tego po wierzchu niciami osnuty, potem skórą, albo też niciami różnego koloru w siatkę obszyty. Niektórzy kładli w sam

1) Ustępy w książce. 2) Ćwiczenie. 3) Korepetytorami.

środek piłki chrząstkę rybią, lub cielecą, dla lepszej sprężystości. Ta piłka używana była dwojako: raz do trafiania nią w rękę, na ścianie wyciągnioną, albo téż do uderzania o ziemię, a łapania jęj na powietrzu; drugi raz, podczas rekreacyi, w polu, do wyrzucania jęj jak najdalej i uganiania się za nią całemi partyjami. Pięrwsza igraszka piłką uczyła trafności do celu ręcznym pociskiem, druga—dawała gibkość ciała, szybkość w bieganiu i sprawność w ręku chwytaniem piłki na powietrzu, która, od jednego z lekka podrzucona, a od drugiego kijem z boku na ukos silnie uderzona, tak się w górę wysadzała, że jęj na czas okiem dojrzyć nie można było. Wszyscy gracze tęg strony, ku której piłka rzuconą była, z natężeniem oczu w górę i z gotowością rąk pilnowali na piłkę, na dół się spuszcżającą, gdzie im się ukaże. Skoro ją zobaczyli, z szybkością jak największą, jeden drugiego ubiegając, pędzili wszyscy na schwytywanie piłki na powietrzu. Jeżeli bowiem, nie schwytana od żadnej ręki, upadła na ziemię, już była gra przegrana. Takowa gra nie miała żadnych zakładów, ani stawek, tylko same słowne chluby z wygranej, albo śmiechy z przegranej, i zwała się palantem. Zabawiali się nią wraz z dziećmi dyrektorowie i profesorowie dla agitacyi ⁴⁾.

Drugą zabawą podczas rekreacyi były kije, zwane palcatami, w które studenci pojedynekowali się z sobą. Było to wielce potrzebne, dla stanu osobliwie szlacheckiego, jako wprawiające młódż do zręcznego w swoim czasie użycia szabli, którą nasi przodkowie na wojnach najwięcej dokazywali. Jakoż było się czemu przypatrzeć, kiedy się dwaj dobrali do palcatów: bili się aż do zmordowania, a tak sztucznie każdy się palcatem swoim układał, zastawiając się ze wszelkich stron, a oraz wzajemnie adwersarza ⁵⁾ swoim przycięciem sięgając, że żaden żadnego ani w gębę, ani

4) Ruchu. 5) Przeciwnika.

w głowę, ani po bokach, nie mógł dosięgnąć. I tacy by-
lito już, jak metrowie, do wprawiania i uczenia drugich.
Palcaty u studentów były w najczęstszym używaniu. Jeżeli
zaś który student był bojaźliwy, że nie śmiał z drugim
stanąć do palcata, musiał wiele wycierpieć prześladowania
i urągania od całej szkoły.

Jędrzej Kitowicz.

2. Kogutek i gaik.

Lud ściśle się trzyma zwyczajów, przekazanych mu od
przodków. Obrzędy, jakie zachowuje przy różnych oko-
licznościach i w różnych porach roku, mają odpowiednie
sobie pieśni z właściwą nutą. Na Mazowszu i w Sando-
mierskiem, w drugie święto Wielkanocne, parobcy wiejscy
obtaczają na kółkach po wsi przytwierdzonego do deszczułki
wystrychniętego kogutka, do czego biorą pospolicie pustą
dynię, przystroiwszy ją w pióra kapłonie, nakształt koguta,
z grzebykiem z sukna czerwonego. Obchód rozpoczyna
się od dworu, lub zamożniejszego gospodarza, gdzie, śpié-
wem i przygrywaniem na piszczałce, zyskuje jaki datek
pieniężny, lub podarunek, ciągnie się dalej od chaty do
chaty, a kończy wieczorem na karczmarzu, u którego za-
raz całodzienny nabytek rozpraszany bywa, wśród wrzawy
i krzyków przy kieliszku.

Pod nazwiskiem gajka, znana jest następna uroczy-
stość na Mazowszu i w Kaliskiem. W drugi dzień Zielo-
nych Świątek, gromada dziewcząt i parobków obchodzi
domy swojej wsi, nie pomijając żadnego, pod przewodnic-
twem wybranej z pośród siebie dziewczyny, niosącej w rę-
ce pęk różnego rodzaju zieloności i gałązek, przystrojony
i przewiązany wstążkami rozmaitej barwy i nazwany gaj-
kiem. Przed każdym domem grono to śpiewa właściwą
tęj okoliczności piosnkę, za co, według możliwości, od go-

spodarzy obdarzane bywa. W innych okolicach, jak w Krakowskiem i Sandomierskiem, w późniejszej nieco porze, bo w końcu Maja, odbywa się podobny obchód z gałęzią choiny, obwieszoną wiankami, różnokolorowemi wstążkami i świecidełkami.

Oskar Kolberg.

3. Hiszpanie.

Hiszpanie w ogólności, a mianowicie Kastylijczycy są wysokiego wzrostu, ciemnych włosów, cery brunatnej, rysów twarzy bardzo wydatnych. Kobiety—rzadko piękne, pospolicie niskie, ale dowcipne i żywe. Jest to powszechnie lud przezorny, ostrożny, w przedsięwzięciach stały, nieprzyjaciel nowości, prawy, wiernie słowa dotrzymujący, w przyjaźni szlachetny, ściśle, sumiennie zobowiązań przestrzegający. Niektórzy pisarze zarzucają mu dumę i gnuśność.

Ludzie klas wyższych przybrali ubiór francuzki. Lud zatrzymał dawny strój narodowy, który na tém szczególniej zależy, aby nosić wąsy, czarną suknię, płaszcz długi i obcisłe spodnie.

Do dobrych przymiotów Hiszpana policzyć można jego umiarkowanie w jedzeniu i piciu. Jedzą dużo cebuli i legumin, a mało piją wina. Po obiedzie, do którego siadają wcześniej, idą spocząć, a ten spoczynek nazywają *sieste*; podobnie czynią Portugalczycy i Włosi.

Nie ma podobno kraju, w którymby się dawało spozstrzegać tyle wyraźnych różnic między mieszkańcami, tak pod względem fizycznym, jak i moralnym, co w Hiszpanii. Każda prowincya ma tam właściwe sobie piętno. Mieszkańcy pograniczni, zostając w częstych stycznościach z cudzoziemcami i okrzescani przez obcowanie z niemi, okazują najwięcej umysłowych zdolności. Nie tyle, co inni, podle-

gając przesądom, mają zwykle przyjemny, a nawet wesoły humor. Ich ubiór jest prawie zawsze strojny, szczególnie w okolicach południowych i wschodnich. Przeciwnie, mieszkańcy krajów środkowych, pospolicie bardzo ciemni, okazują uporczywe przywiązanie do swój niewiadomości; poważni, milczący, dumni, zamykają się w ciasnym obrębie swój wiedzy.

Ulubioną zabawą Hiszpanów jest walka byków. Ten rodzaj widowisk najodleglejszej sięga u nich starożytności. Nie ma też w Hiszpanii miasta, gdzie by nie było przeznaczonego na ten cel wielkiego placu. Do walki z bykami występują mężczyźni na koniu, a nawet i pieszo.

Nie mniej lubią Hiszpanie trawić czas na przechadzce, *paseo*. Każde miasto, każda wieś ma swoje *paseo*. Nie koniecznie trzeba na to kosztownego urządzenia; dosyć, kiedy jest choćby mały czworoboczny plac, kilkanaście drzew, kamienne ławki, fontanna, lub źródło czystej, chłodnej wody. Tu zbiera się miejscowy świat co wieczór, bawi się wesołą rozmową, przechadza się i wielkimi szklanicami popija zimną wodę. Inną zabawą mieszkańców półwyspu jest rodzaj podobnych schadzek na jakimś obranym miejscu między 10-tą i 11-tą godziną z rana. Schadzki te mają wiele podobieństwa do zgromadzania się na *forum* u starożytnych. Tutaj toczą się rozmowy o rzeczach domowych, publicznych, o handlu i polityce; każde oddzielne grono ma swego mówcę, który częstokroć odznacza się nie tylko gładkością wysłowienia, ale i prawdziwą wymową. Te codzienne schadzki i poufne rozmowy mają dla Hiszpana tyle powabu, iż pobyt w żadnym mieście za granicą wynagrodzić mu téj przyjemności nie może. Również wielkie upodobanie ma Hiszpan w zebraniach wieczornych, tak zwanych *tertullas*. Zebrania te zalecają się największą prostotą: prowadzą tam rozmowy, tańczą, ale bez pretensyi, bez przymusu, a przedewszystkiem bez kosztu. Szklanka

zimnej wody, a czasem filiżanka czekolady bywają tam jedynym przyjęciem; dlatego też równie ubodzy, jak bogaci, mają swoje tertullas.

Hiszpan potrafi czuć wszystko, co jest szlachetne i piękne; ma zdrowy rozsądek, choć mało wykształcenia, żywą wyobraźnię, wiele taktu i dar zręcznego i nader płynnego tłumaczenia się. Język hiszpański, równie jak włoski, francuzki i portugalski, pochodzi od łacińskiego, jest harmonijny i poetyczny. Najczystsiej i najpiękniej mówią mieszkańcy Kastylii.

P. E. Leśniewski. 1852.

4. Samojedzi nadmezeńscy.

Mieszkania Samojedów stanowią tak zwane „czumy“, to jest stożkowate szalasy z długich żerdzi, których dolne końce wbite są w ziemię, górne zaś związują się w górze na krzyż. Latem pokrywają je korą brzoową, a w zimie —skórami, w ten sposób, że pierwsze pokrycie, od spodu, układa się szerścią w dół, wierzchnie zaś—szerścią w górę. U szczytu czumu pozostawia się otwór na wyjście dymu. Rozbiwszy taki namiot w ciągu pół godziny, Samojedka, której to zajęcie stanowi, zewnątrz i wewnątrz okłada ściany mchem i ziemią; podłogę, dla ochronienia od zimna i wilgoci, wyściela matami, splecionymi z prętów brzożyny i innych roślin; na maty zarzuca jelenie skóry, a o ściany opiera poduszki. Boczny otwór, który zaledwie nazwać można drzwiami, także zasłonięty bywa skórą i znajduje się w stronie, przeciwniej wiatrom.

Ogień w czumie rozpala się na środku, pod górnym otworem, przez który dym przechodzi, na małym podwyższeniu, lub na żelaznej blasze. Nad ogniskiem, na dwóch dragach, idących wpoprzek czumu, umocowane są haki, na których zawieszają się kotły do gotowania pokarmów.

Wszystkie czumy są podobne do siebie; tylko bogatsi Samojedzi starają się je rozszerzyć, lub większą ilością skór zaopatrzyć. Wejdźmy do któregośkolwiek czumu, a wszędzie ten sam widok uderzy nasze oczy: pośrodku tli się ogień, po czumie dym się ściele; mężczyźni, ze złożonemi na krzyż nogami, zasiadłszy w około, wpatrują się bezmyślnie w ogień, a przy nich wygrzewają się psy i brudne małe dzieci. Opodal siedzi milcząca kobieta, susząc jelenie nici, lub zajmując się inną robotą. Kto nieprzyzwyczajony, nie wybędzie tam długo: nieznośny dym i nieochędstwo, przechodzące wszelkie pojęcie, wypędzi go z czumu, chociażby największe zimno i zamieć panowały na dworze.

Samojedzi noszą, zamiast koszuli, rodzaj futrzanego worka, z otworami na głowę, ręce i nogi, szerścią na wewnątrz. Na wierzch wkładają rodzaj drugiej koszuli z drelichu lub samodziału, a w zimie wdziewają na to wszystko coś nakształt płaszcza z kapiszonem z jeleniej skóry, włosem na zewnątrz. Jakkolwiek niektórzy z nich noszą okrągłe czapki ze skóry młodych reniferów, zwykle jednak Samojed chodzi z odkrytą głową i tylko w czasie wielkich zamieci, lub zimna, zaciąga kapiszon na głowę. Spodnie noszą zamszowe; na nogi wkładają długie skórzane pończochy szerścią na wewnątrz i także wielkie buty lub sandały. Ubiór kobiet nie wiele się różni od ubioru mężczyzn.

Całe gospodarstwo domowe leży na głowie Samojedek, które skrupulatnie pełnią swe obowiązki. Podczas gdy mężowie i bracia bawią na łowach, lub leniwie w czumach odpoczywają, kobiety czyszczą naczynia, pieką chleb, gotują jado, wyprawiają skóry, szyją.

Trudno wyobrazić sobie większego żarłoka nad Samojedą. Choć i to prawda, że byle czém apetyt jego da się zaspokoić. Największy jego przysmak stanowi surowe, drgające jeszcze mięso i ciepła krew renifera. Wprawdzie takie specyjały rzadko się zdarzają, lecz gdy się przytrafia,

to już festyn, co się zowie! Dzieci, krzycząc, biegają koło ofiary; kobiety stoją, oczekując mężowskich rozkazów; mężczyźni przytrzymują renifera za nogi, a sam gospodarz ręką pewną zadaje zwierzęciu śmiertelny cios siekierrą w głowę. Zwierzę chwieje się, pada, a Samojedzi rzucają się na nie z nożami, zdzierają skórę, wreszcie rzną w kawały. Rozpoczyna się krwawa uczta. Gospodarz, a jeżeli są, honorowi goście biorą dla siebie najsmaczniejsze kaski, więc tłuszcz z grzbietu, nérki i poledwice, które maczają we krwi gorącej i tak zjadają; inni muszą poprzestać na ostatnich częściach zwierzęcia, które sownie zapijają krwią ciepłą. Kobiety zaś dopiero wówczas rozpoczynają ucztę, gdy już mężczyźni do syta się najedzą.

Ryba jest drugim pokarmem Samojedów. Prócz tego lubią oni jagody, a szczególnie drobny rodzaj malin, obficie latem rosnących na trzęsawiskach. Zamożni Samojedzi kupują u kupców rosyjskich pierniki, cedrowe orzechy i tym podobne łakocie. Nad wszystko jednak przykładają masło przetopione, po które chętnie kilkadziesiąt-wiorstowe przestrzenie przebywają. Chętnie téż zażywają i żują, a właściwie mówiąc, jedzą tytuń, bądź w liściach, bądź sproszkowany, który w wielkiej ilości nasypują sobie z różka na język i dolną wargę. Rożek ten przechodzi z rąk do rąk, z ust w usta zgromadzonych razem Samojedów i nie ma nikogo, kto by go nie przyjął, poczynawszy od sędziwych starców, a skończywszy na kobietach i dzieciach. Palą mało.

Alfą i omegą wszelkich potrzeb koczującego Samojeda jest renifer. Jak Arab bez wielbłąda, tak mieszkaniec tundr bez renifera obejść się nie może. Bardzo często Samojedzi zmieniają swoje koczowiska; odpowiednio do pory roku, to się udają na brzegi morskie dla przemysłu, to się oddalają w głąb trzęsawisk. Zresztą Samojed nie może urządzić stale swojego życia, nie wie nawet, ile czasu

przyjdzie mu przebyć na miejscu, w którym się zatrzymał, gdyż zależy od, swoich reniferów. Skoro bowiem stado, zjadłszy mech, zacznie się oddalać od koczowiska, szukając nowego pożywienia, Samojed koniecznie musi się przesiedlić, bo renifery niczem się nie dadzą zatrzymać. Kiedy, dla przeniesienia się na inne koczowisko, Samojed zechce rozproszone renifery zebrać razem, wzywa na pomoc swe wierne psy, które póty biegają i szczekają, aż rogacze zbiorą się niedaleko czumu i staną w koło, pośrodku którego znajduje się sam gospodarz. Tymczasem pracowita gospodyni rozbięra czum i wraz z innemi rupieciami układa go w sanie. Do sań zaprzęgają po 3, 4, 5, a nawet 6 reniferów rzędem.

Częsty karbunkuł, dziesiątkujący trzody reniferów, a nadewszystko nieuczciwe postępowanie innych tamtejszych mieszkańców, Zyryjan, podkopały dawniejszy dobry byt Samojedów i przywiodły ich do nędzy. Dawniej nie trudno można było spotkać Samojedów, mających pięć tysięcy, a nawet i więcej reniferów; dziś zaledwie najbogatsi mają ich tysiąc, a i takich bardzo jest mało. Który zaś ma ich 20 sztuk, lub nieco więcej, ten słusznie uważać się może za nędzarza, bo tak mała liczba nawet na własne jego utrzymanie nie wystarcza, zwłaszcza gdy zważymy, że renifer jest dla Samojeda wszystkiem: rolą, ogrodem, ubiorem, pokarmem, koniem, krową i materyjałem do wystawienia czumu.

M. K. 1867.

5. Podhalanie.

Całe Podhale, czyli kraina, rozciągająca się u stóp Tatrów, odmienne ma wejrzenie od ziem, poniżej położonych. Wsie tu ogromne i nadzwyczaj ludne, niektóre bowiem mają po trzy, lub cztery tysiące ludności, rzadko

zaś napotkać wioskę, coby tysiąca nie liczyła mieszkańców. Domy nie są skupione, jak to zwykle bywa w nizinach, lecz owszem rozrzucone szeroko, pilnując się zwykle potoków. Częstokroć trudno poznać, gdzie początek, a gdzie koniec wsi, a nadto pomiędzy wioską, a wioską, po wyżynach gór, czépiają się pojedyncze domki, do żadnej często wsi nie należące. Wsie jednak są bardzo porządnie zabudowane: nie ujrzysz tu lichych klétek, wałących się i zdartą strzechą posytych, ale wszędzie domy, zbudowane z porządných okraglaków, gontami pobite, z dużemi oknami i izbami obszernemi; czystość téż wzorowa w nich panuje, a chociaż lud ten, biédny nieraz, zwłaszcza na przednówku, przymiéra głodem, przecież wszędzie schludnie, a nic niedostatku nie zdradza. Inne zabudowania gospodarskie są także porządnie stawiane, a każdy prawie góral ma konika krępego i silnego, parę krówek i kilkanaście owiec.

Rasa to ludzi rosła, wysmukła i zdrowa, a miesząc jój nie należy z góralami Słowackiem i Trenczyną, którzy zwykle włóczą się po naszych miastach, jako druciarze i pobielacze naczyń miedzianych. Mężczyźni noszą gunie z sukna barwy kaflowej, koszulki krótkie do pasa, spodnie białe sukienne, wyszywane, a na nogach kierpce, chodaki z jednego kawałka skóry, pościągane rzemieniami. Koszulę spina pod szyją klamra mosiężna, wyrabiana w różne wycięcia i zdobna łańcuszkami; pas szeroki skórzany, na kilka sprzążek zapinany, otacza ich kibić; mnóstwo na nim guziczków mosiężnych, a wewnątrz ukryte kieszenie służą do przechowywania pieniędzy, fajki, noża i innych drobiazgów. Na głowie noszą kapelusik okrągły przylegający, z wążkiem rondem, dokoła którego obiega rzemyk, drobnemi muszelkami ustrojony. Kobięty lubią się stroić w jasno-barwiste perkale; osobliwie téż w święto, gromady ich wyglądają, jak łąka, kwieciami strojna, na której góruje szkarłat, błękit i żółte jaskrawe barwy. W święto téż

wdzięwają żółte safjanowe buty, na wysokich korkach, a na ramię zarzucają guńkę, do mężkiej podobną. Mężczyźni noszą włosy długie, spadające na ramiona, kobiety niezamężne—warkocze, zamężne zaś—białe chustki na głowach.

Rolnictwo gra podrzędną rolę w Tatrach, grunta tu bowiem nie wielkie, a wydają zaledwie jęczmień, owies i ziemniaki; za to znowu pastwiska, nadzwyczaj obszerne, zdadne są bardzo do chowu bydła i owiec i to téż stanowi cały dobytek górali.

Kiedy, po długotrwałej zimie, pasterze doniosą około Zielonych Świątek, że już hale okrywa trawa, wtedy we wsiach Podtatrzańskich obudza się ruch niezwykle. Gospodarze zmagają baców (czyli naczelników pasterzy) i johasów (pasterzy właściwych); czyszczą się kociołki i naczynia, służące do wyrabiania sérów i bryndzy, i nareszcie, jednego poranku, gromady owiec wyruszają w góry. Każdy baca, w towarzystwie johasów, obiera sobie hale, na których lato ma przepędzić; każdy ma swój szałas i około 300 owiec, powierzonych sobie. Barany zwykle po całych dniach pasą się w niedostępnych miejscach, owce zaś codzień rano, w południe i wieczorem, zganiają do koszar, czyli ogrodzenia kamiennego, znajdującego się przy szałasie. U wejścia do koszar zasiada dwóch johasów, gdy tymczasem inni napędzają owce w to wązkie przejście, a skoro tylko która wbiegnie, natychmiast jeden z johasów chwytają i szybko doi, poczem z kolei drugą, trzecią, aż do ostatka. Po udoju, mléko gotuje się z podpuszczką w kotle miedzianym, zawieszonym nad ogniskiem, a gdy się zwarzy, baca wygniata sér, albo w drewnianych formach robi z nich owcze sérki, oszczepkami tu nazywane, lub téż soli na bryndzę.

Serwatka, otrzymana po wygnieceniu séra, zowie się zentycą. Jest ona bardzo zdrowa, a szczególnie dla osób, cierpiących na piersi, lub wyniszczenie sił. Stanowi przytém jedyny pokarm pasterzy; trzeba bowiem wiedzieć, że

górale, opuściwszy wieś, przez całe lato nie kosztują chleba, ziemniaka, ani żadnych innych pokarmów, tylko żentycę, którą téż i psy swoje owczarskie karmią. Na dobroć żentycy wpływa szczególnie pasza górska, gdyż na wyżynach rosną zioła aromatyczne i zdrowe, od których serwatka nabiera zbawczych swoich przymiotów.

Wład. Lud. Anczyc.

6. Wielkanoc.

Ze wszystkich świąt najuroczyściej obchodzono w całym kraju Wielkanoc, bo w niej łączyły się wielkie pamiątki chrześcijaństwa i była zarazem sposobność okazania gościnności. Całe rodziny zbierały się w jedno grono, u najstarszych wiekiem i powagą. Krewniacy z odległych okolic, z żonami i dziećmi, wystawnie, czy ubogo, zajężdżali i jednakowego doznawali przyjęcia u gospodarstwa, którzy wcześniej dla każdego obmyślili wygodny i spokojny zakątek. Obszerne dwory i oficyny pomieszczały wszystkich. Z dalszych stron rodzina nadjeżdżała na parę tygodni przed świętami; wtedy niewiasty pomagały gospodyni w urządzaniu święconego i zajęciach codziennych, a krewniacy towarzyszyli do kniei gospodarzowi i sami zajmowali się połowem ryb w stawach, jeziorach i rzekach, na dni wielkiego postu.

Po ranném nabożeństwie w Niedzielę, zbierali się wszyscy w jeden wieniec. Wtedy gospodarstwo oboje, obchodząc gości z kolei z pokrajaném jajkiem, częstowali każdego, winszując wesołego alleluja i życząc, ażeby przez długie lata mogli sobie wzajemnie to samo powtarzać. Od téj chwili zaczynała się, rzec można, ciągła uczta; na obiad dawano tylko ciepłą zupę, a reszty dopełniało święcone.

Panowie polscy przesadzali się w wystawném święconém, ale na cały kraj najślawniejszym było, za panowania

króla Władysława IV, święcone wojewody Sapiehy, na które zjechało się mnóstwo zaproszonych gości.

Na samym środku ogromnych stołów był baranek, wyobrażający *Agnus Dei*, z chorągiewką, z samych marcypanów i cukrów, który rozdawano tylko damom, senatorom, dygnitarzom i duchownym. Cztery ogromne dziki wyobrażały cztery pory roku; każdy dzik miał w sobie szynki, prosięta, kielbasy. Kuchmistrz nadworny wojewody pokazał cudowną sztukę w upieczeniu całkowitem tych odynców. Dwanaście jeleni, także całkowicie pieczonych, przedstawiało dwanaście miesięcy; wewnątrz nadziane były rozmaitą zwierzyną: zającami, cietrzewiami, dropiami, pardwami i kuropatwami, a rogi ich całe — złożone ozdobnie. Naokoło stołu, ile tygodni w roku, tyle było ogromnych placków, przeplecionych jeszcze mazurkami i żmudzkiemi pirogami, lub wysadzanych bakalijami. Za niemi stało 365 babek, to jest tyle, ile dni w roku. Ogromne te babki na hojnym oblukrowaniu nosiły rozmaite napisy, a zebrani goście ochotnie czytali na nich to wierszyki dowcipne, to zdania i przysłowia. Nie jeden, ze skromniejszym apetytem, więcej czytał, niż zjadał.

Z napojów stały 4 puchary staroświeckie srebrne, napełnione winem z czasów jeszcze Batorego, jako 4 pory roku; obok—12 konewek srebrnych, jako 12 miesięcy, z winem po królu Zygmuncie III; dalej—52 baryłek srebrnych, jako godła 52 tygodni, z winem cypryjskiem, hiszpańskiem i włoskiem; przy nich—365 gąsiorków z winem węgierskiem, ile dni w roku; wreszcie dla czeladzi dworskiej—8760 kwart miodu, syconego w Berezie, to jest tyle, ile godzin w roku.

Goście sproszeni ucztowali cały tydzień. Po nabożeństwie porannem obsiadali stoły, a częstowanie z małemi przerwami trwało do północy. Rozgłos o tém święconém rozszedł się po całym kraju; dyjaryjusze domowe i *silva*

rerum zapisały je, jako osobliwość niezwykłą, a przechowane długo, w żywém słowie podania, bywało w pogawędkach przedmiotem podziwienia.

Wład. Kaź. Wójcicki.

7. Wyprawy na nieprzyjaciela w XII i XIII wiekach.

Rycerstwo, idąc na wojnę, stawało dla odpoczynku nie po miastach, lecz na polu, nocując pod rozbitym namiotem. Przybywszy na przeznaczone miejsce, naprzód stawiano kaplicę polową na wznioślejszém miejscu, ażeby ją łatwo dostrzedz mogło całe wojsko, a następnie ogłaszano porządek bitwy.

Za Bolesława Krzywoustego porządek był taki. Skoro mszy świętej wysłuchali żołnierze i duchowne napomnienie uczynił do nich obozowy kapłan, naczelny wódz miał stosowną przemowę, a potem występowano do walki. Naprzód dzidami godzono, po czém mieczami się rozprawiano, zajeżdżając około nieprzyjaciela. Z Niemcami walcząc, nie tylko z jeźdnymi, lecz i z pieszemi żołnierzami miano do czynienia. Wtedy, utkwwszy drzewce w ziemi, a ostrze ku nieprzyjacielowi skierowawszy, oczekiwano jego napadu, wiedząc o tém, że za nieprzyjacielską jazdą stoi piechota, czyli raczej tkwi w ziemi, przyklękawszy z napiętą bronią.

Gdy przyszło dobywać twierdzy, albo starano się otoczyć ją ogniem, nawłókłszy w jęj rowy suchego drzewa i takowe zapaliwszy następnie, albo przystępowano wprost do jęj zdobycia, usiłując naprzód opanować maszyny wojenne i w tym celu przymykając się do murów w wieżach drewnianych, umyślnie na to wystawionych i toczonych na kółkach. Oblężeni, przewidując nieszczęście, naznosili tłustości wszelkiego rodzaju, tudzież smoły poddostatkiem, a miotając ją wraz z ogniem na nieprzyjacielski statek

(tojest wieżę), starali się go zapalić. Gdy się nieprzyjaciele przybliżyli, rzucano na wdzierających się na mur kłoce drzewa, kamienie, częstokroć młyńskie, lub koła, żelazem okute; lano ich wrzącą wodą; ciskano na nich ogień; rozpalonemi hakami kłóto rycerzy, najbliżej stojących, a jeżeli się udało, unoszono ich w górę i o ziemię rzucano. W XIV wieku zaczęto cichaczem dobywać twierdzy, podkopując się do niej i mury wyłamując, świdrując je i tak czyniąc w nich otwory.

Zewsząd walczono mężnie, bo świadkiem walki był wódz naczelny, uważający, kto tchórzy, a kto potyka się mężnie. Bojaźliwemu rycerzowi, lub temu, co przed czasem uszedł z pola, posyłał skórkę zajęczą i wrzeczono w darze; mężnych zabraną zdobyczą z bogacał. Po otrzymaniu zwycięstwa, lub w czasie spoczynku, albo zawieszenia broni, grzebano zmarłych. Zwykle krewni i przyjaciele z daleka przybywali na pobojowisko, dla oddania ostatniej posługi poległym.

W. A. Maciejowski.

8. Zatrudnienia i zabawy domowe za Augusta III.

Biała płeć szlacheckiej kondycji ¹⁾ zajmowała się szyciem, haftowaniem na bębenku i krosienkach, tudzież robieniem pończoch. Damy wysokiego urodzenia najwięcej zabawiały się wiązaniem siatki z cienkich nici białych, której do stroju swego na głowę, zamiast koronek, i na fartuszek używały; oprócz tego niektóre, pobożne, robiły do kościołów alby, tuwalnie i ornaty. Taż sama była zabawa dam majątnych miejskiej kondycji.

Mężczyźni najwięcej bawili się polowaniem, które wszędzie każdemu po cudzych kniejach tak wolne było, jak po

1) Stanu.

swoich własnych, i nikt nie mógł wzbraniać polowania sąsiadowi, a choćby i zza dziesiątej granicy przybylcowi, płądrującemu po jego kniejach i polach. Wszakże téj wolności, prawem dla wszystkich pozwolonéj, wielcy panowie nie dopuszczali nikomu w swoich dobrach, goniąc i bijąc tych, którzy w pańską knieję myśliwstwo swoje zapuszczając się odważali. W wieczorne chwile bawili się Polacy rozmowami o szczęściu polowania, warcabami, kośćmi i t. d. Taż sama zabawa była w dni święte, w które polować się nie godziło, i w czasy, nie służące do polowania.

Młodzież obojég płci zabawiała się różnemi igraszkami²⁾, a to w godziny wieczorne i najwięcej w dni uroczyste. Te igraszki działy się w obecności starszych. Jedną z takich była ślepa babka, w której osoba z zawiązanemi oczami póty musiała biegać po izbie, póki drugieję z kompanii grających nie złapała. Ci zaś wszyscy, którzy grali, rozpierchnąwszy się po izbie, powinni byli odzywać się ślepeję babce, poczem co prędzej uchodzili w inne miejsce; przeto trudne było schwytanie. Złapany, lub złapana, musiał znowu biegać po izbie z zawiązanemi oczami, póki innéj nie złapał osoby. Druga igraszka zależała na pyta-
niach i odpowiedziach: naprzykład, wzięto pytanie, na co się słoma przyda. Każdy musiał odpowiedzieć i to szło w kolég do kilku razy. Kiedy się przebrało odpowiedzi coraz nowych, gdyż powiedzianych powtarzać nie wolno było, rosła trudność; zatém, kto nie mógł wpředce odpowiedzieć, musiał dać fant, który, po skończonej grze, wykupywał jaką pokutą, od siedzącej wedle siebie osoby naznaczoną. Temi i tym podobnemi zabawami przepędzali chwile wieczorne młodzi ludzie, gdy im zbywało na lepszej zabawie.

Jędrzej Kitowicz.

2) Grami.

9. Ż a k i.

Żakami nazywano uczniów po szkołkach wiejskich, jako też i po miastach. Byli to po większej części synowie najuboższej szlachty zagonowej, mieszczan i kmieci. Nowego żaka, który się niedawno zalecił do szkoły, nazywano Gregoryjankiem, dlatego, że dawni Polacy niektórzy, w dzień świętego Grzegorza, chwalebego dzieci nauczyciela, synów swoich do szkół oddawali. Marcin Bielski w Kronice Świata tłumaczy ten zwyczaj. „Grzegórz święty“, mówi, „dziatki, które w niewolę przedawano, odkupował i do szkoły dawał, a ztąd w jego dzień dawają dziatki do szkoły i Gregoryjanki zowią“. U nas też w dzień tego świętego były uciechy żaków, zwane Gregoryjanki. Dzień ten w szkołach małych wesołemi zabawami dzieci obchodziły; dzielił z niemi wesołość ich bakałarz, którego sznurem długim, nawleczonym obwarzankami, opasywały tyle razy, ile wystarczył. Uciekał bakałarz, tak opasany, a dzieci, szarpiąc obwarzanki, za nim goniły. Doroślejsi żacy przebierali się dziwacznie i obchodzili domy. W dzień świętego Gawła obierali sobie króla; spuszczały także dobrane koguty do boju, jeden przeciw drugiemu, i z ich zawziętej walki czynili sobie zabawę. Dla obudzenia w nich zapału, karmili je stosownie.

Było staro-słowiańskim zwyczajem czynić ofiary i modły na pamiątkę umarłych. Dnia 1 Marca, w Polsce, Czechach i Szlązku, przed samym świtem zgromadzano się w tym celu na cmentarze z pochodniami. W Czechach nawet był zwyczaj, że wystawiano widowiska, które cienie zesłych wyobrażały. U nas, ofiary takie czyniąc, najmowano żaków, którzy na grobach modlili się i żałobne nucili śpiewy.

Wiele było szczególnych zwyczajów i obrzędów, które wyłącznie należały do żaków. We Środę wstępną w XVI i XVII wiekach wyprawiano mięsopustne maskary. Sądzone

mięsopust, zamiast którego stawiano przybranego bałwana w kajdanach; żaki, co go oprowadzali, ścinali go potem, czyniąc rozmaite uciechy. W wielki post od Niedzieli pierwszej do Białej, żaki z chorągwiami i krzyżem kościelnym chodzili po polach, albo jeździli konno, śpiewając wielkanocne pieśni, za co im śmirkusty (placki i mięsiwo) dawano i wodą poléwano.

W Kwietnią Niedzielę po parafijach naśladowany był wjazd Chrystusa Pana do Jerozolimy. Salwator, t. j. Zbawiciel, otoczony przebranymi żakami, siedząc na osle, lub, w braku osła, na krowie bez rogów, zupełnie osłonięj, prowadzony był przed drzwi kościelne i tam zsadzany na ziemię i witany z palmami i śpiewem. Wspaniała to była uroczystość, gdy takowe widowisko, osłonię powagą, przyjmowali w prostocie pobożni ojcowie nasi, jako wspomnienie wjazdu Chrystusa.

W dniu 1 Maja była ogólna uciecha żaków, którzy oddawna używali wolnego dnia od nauk i korzystali z rozrywek, jakich im chwila majowa użyczała. Czyniono w ten dzień i po wsiach, zwłaszcza, gdzie się dwór znajdował, przygotowania na przyjęcie żaków. W wieczór zgromadzali się ci pacholęta z dziećmi wiejskimi i dziewczętami, niosąc wiechy, ubarwione zielonością, i śpiewali, winszując państwu nowego Maja. Łączyła się potem z nimi dworska czeladź i tańczyli korowód, za co odbierali poczęstowanie miodem, lub piwem.

W tymże miesiącu, na Wniebowstąpienie Pańskie, po nabożeństwie, żaki, dyjabła ze słomy urobiwszy, obszytego w chusty włóczyli po ulicach, kijmi go tłukli i w rzece, lub gliniance, topili.

W Warszawie do roku 1800 był zwyczaj, że żaki w Wielki Piątek ubierali w stare suknie posążek, który Judaszem nazywali, kładli mu w kieszenie worek z kawałkami szkła potłuczonego, jakoby 32 srebrników, za które

przedał Chrystusa, i tak przystrojonego oprowadzali po ulicach miasta, poczem wciągali na wieżę kościoła Panny Maryi na Nowém Mieście i z niej on posąg z okrzykami zrzucali, zrzuconego za przyprawne włosy targali i w Wiśle topili.

W Grudniu, w dzień Niepokalanego Poczęcia N. Maryi Panny, podczas mszy w kościele, wychodziło siedmiu żaków, w gielzka ubranych, niosących gałązki brzoźowe, lub z innego drzewa, rosochate; na każdej gałązce paliła się świeczka; z tém stojąc, śpiewali pieśń o Najświętszej Pannie.

W tymże miesiącu, dnia 25, obchodzi kościół mszę pasterską. Dawniej, gdy kapłan zaśpiewał *Gloria*, żaki szkolne po chórach, z obu stron, różne głosy ptastwa wydawali, piszczałki sobie sporządziwszy, na pamięć ubogiego urodzenia Chrystusa w stajence we żłobie.

W czasie wesołych świąt Bożego Narodzenia żaki odstawiali komiczne dyjalogi, tak publicznie, jak i po domach prywatnych. W Galicyi dotąd jeszcze studenci, już dorosli, objężdżają dwory szlacheckie w zapusty, a przybrani strojno, złożonym naprędce dyjalogiem bawią, zbierając tym sposobem dla siebie zasiłek.

Każ. Wład. Wójcicki.

V. GEOGRAFIJA.

OPISANA.

1. P ł o c k.

Płock należy do najstarszych miast w królestwie; początkiem swoim sięga czasów jeszcze bałwochwalskich.

Jakiem miastem był już w końcu XI wieku, dowodzi to, że Władysław Herman i Bolesław Krzywousty częściej w nim, niż w Krakowie, przemieszkiwali.

Po rozdzieleniu kraju na części przez Leszka Białego w początkach XIII wieku, Płock był stolicą naprzód całego Mazowsza, a potem jednej z największych dzielnic tego księstwa. Kazimierz Wielki nabył tę dzielnicę wraz z grodem w roku 1351, obwarował miasto murem i uposażył je swobodami, które przyczyniły się do jego wzrostu i pomysłowości.

Położenie nad Wisłą, wygodna przystań, handel zbożowy i spokój, jakiego Płock używał, wpłynęły przeważnie na jego rozwój, tak, iż w XVI wieku uważany był za najznakomitsze po stolicy miasto.

W XVII wieku nastały dla Płocka czasy niedoli: były to napady Szwedzkie. Pierwszy napad, za Jana Kazimierza, tak zniszczył miasto, iż pozostało w niem tylko 40 domów. Zaledwie po tej klęsce podźwignęło się nieco, wojska Karola XII przyniosły mu nową zagładę. Dzieło Kazimierza Wielkiego poszło w upadek i ruinę, z których dopiero w ostatnich czasach podnieść się mogło.

Miał Płock, jak wszystkie większe miasta w kraju, zamek warowny, świadka wielu bitw krwawych. Dziś z niego pozostała tylko wieża nad Wisłą, od spodu czworograniasta, u góry ośmioboczna, płaskawym piramidальnym daszkiem zakończona; mury jej z cegły bez tynku noszą poważną starożytności cechę.

W północno-zachodniej stronie wznosi się jeszcze druga wieża, służąca za dzwonnice katedralnego kościoła. Katedra znajduje się w obrębie starego zamku; jest ona jedną z najslawniejszych w Polsce. Zbudowana w XII wieku, w formie krzyża, zachowała właściwe temu wiekowi cechy. Wewnątrz ma 15 ołtarzy i 4 kaplice boczne. W kaplicy, obok zakrystyi, zwanój Zygmuntowską, znajduje się w oł-

tarzu arcydzieło malarskie: obraz św. Piotra w okowach. W innéj kaplicy są grobowce Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego, wzniesione w r. 1825 na pamiątkę, że w téj świątyni pochowane są ich zwłoki. Kilka grobowych pomników z dawnych wieków godnych jest widzenia. Skarbiec przechowuje wiele drogocennych zabytków starożytnych w ornatach, relikwiarzach, kielichach i patynach.

W obrębie dawnego zamku stoi także kościół św. Wojciecha, budowa Benedyktynów z XIII wieku, która przez nieumiejętność odnawiaczy straciła cechę właściwą. Obecnie zajęty on jest na seminaryjum dyjecezyjalne.

Płock liczył dawniej 15 kościołów i 6 klasztorów. Z tych pozostały teraz: kościół parafijalny św. Bartłomieja z XIV wieku, kościół poreformacki, klasztor ze szpitalem sióstr miłosierdzia i kościółek św. Katarzyny na cmentarzu.

Gród ten starożytny, starszy kilkoma wiekami od Warszawy, liczy do 14 tysięcy mieszkańców i 600 z górą domów; wszystkie—murowane. Między niemi odznaczają się: gmach rządu gubernijalnego, dom gubernatora, pałac biskupów, dom władz sądowych, resursa, ratusz, wzniesiony w r. 1826, szpitale św. Trójcy i św. Aleksandra, wspańiałe gmachy domu badań i więzienia karnego. Ma ulice szerokie, brukowane i dwa rynki.

Płock prócz tego odznacza się, między wszystkimi miastami królestwa, starannie utrzymywanemi ogrodami, tak publicznemi, jak prywatnemi; nadają one szczególny widok miastu i napełniają go wonią drzew kwitnących. Dlatego też Płock ma powietrze zdrowe, odświeżane miłym powiewem, co z fal wiślanych nadpływa.

W. 1865.

2. Grota narodzenia Zbawiciela w Betlejem.

Świątynia Betlejemaska należy bez wątpienia do rzędu najpiękniejszych kościołów na Wschodzie, lubo znajduje się

w największém zaniedbaniu. Ma ona formę łacińskiego krzyża, ale niewidzialną na dole, z powodu dwóch skrzydeł, leżących przy długiej nodze kościoła, które ponieważ więcej, niż o pół, niższe są od nawy środkowej, przeto sam dach przedstawia krzyż najdoskonalszy. Bogata i obfita kolumnada w cztery rzędy dzieli kościół jakby na 5 naw; środkowa jest najszersza i stanowi prawdziwą nogę krzyża.

Wspaniałość téj świątyni psuje proste i niezgrabne przemurowanie, które zupełnie oddziela nogę krzyża od jego ramion. Oddawna wznosi się ta szkaradna przegroda, a wzięła swój początek w ucisku ze strony muślemistów i samych Arabów betlejemskich. Dawniej bowiem podróżujący Turcy i Arabowie stawali tu na popasy; przeto odgrodzono najświętszą część kościoła, aby zapobiedz profanacyi. Dawni pielgrzymi świadczą, że nie tylko muślemini obrócili nogę kościoła na dom zajezdny, lecz że jeszcze zakonnicy byli obowiązani karmić nieproszonych, ale potężnych gości. Betlejemczycy uważają kościół i klasztor za swoją twierdzę, a stąd we wszystkich zatargach przenoszą tu swoje rzeczy, bydło, dzieci i żony, a dopiero sami występują do boju.

Za tą brzydką zagrodą widzisz dwa ramiona i głowę krzyża, co wszystko stanowi chór, albo prezbiterjum, gdzie są cztery ołtarze. Wielki ołtarz w samej głowie krzyża, p. t. „Narodzenia“, należy do Greków. Po lewej stronie od wejścia są dwa ołtarze, a po prawej jeden. Wszystkie te ołtarze są bédne i bez najmniejszej ozdoby. Cały chór za przegrodą należy do Greków i Ormijan, a noga kościoła jest spólna wszystkim wyznaniom, ale pusta i nigdy w niej nie odprawia się nabożeństwo.

Po obu bokach wielkiego ołtarza znajdują się dwa wchody do świętej groty, z których lewy należy do katolików, a prawy do Ormijan i Greków. Ta grota przedstawia

wia jakby korytarzyk, 17 kroków długi, 5 szeroki, a z górą na 4 łokcie wysoki; zaraz naprzeciwko lewego wchodu jest druga malutka pieczara „Żłobu“, a ze strony wschodniej, pod samym wielkim ołtarzem kończy się jaskinia wpół okrągłą framugą i to jest miejsce najświętszego Narodzenia. Cała ta framuga jest u spodu wyłożona marmurem, a z wierzchu mozaikowana, lecz już często przegląda naga opoka. Wewnątrz po bokach framugi znajdują się dwie kolumneczki, na których opiera się deska marmurowa, służąca za mensę ołtarza. W samym dole pomiędzy temi kolumnami jest posadzka jaspisowa, a na niej umieszczono gwiazdę srebrną o 14-u promieniach, które dawniej były ozdobione drogiemi kamieniami, lecz dziś tylko miejsca oprawy pozostały. Wewnątrz téj gwiazdy widzisz koło srebrne, na którego opasce czytasz następne słowa: „hic de virgine Maria Jesus Christus natus est“ (tu z dziewicy Maryi narodził się Jezus Chrystus).

O pięć kroków od miejsca Narodzenia jest mała grotta Żłobu, o której wspomniałem. Zstępuje się do niej po trzech stopniach z białego marmuru, a cała jej przestrzeń rozciąga się na 5 kroków kwadratowych. Zaraz po prawej stronie od wejścia do téj groty jest żłób święty, który był w téjże samej skale wykuty; półtory stopy wznosi się od ziemi, 4 piędzi długi, a 2 szeroki; przedstawia jakby skrzyneczkę bez wieka; słowem zupełnie podobny do kamiennych żłobów, jakie w tym kraju często można widzieć. Prawdziwy żłób został wycięty ze ściany i przewieziony do Rzymu. Teraz położono tu żłób marmurowy biały, téj samej, co pierwszy, formy. Nad żłobem znajduje się ładny obraz Chrystusa Pana, leżącego w żłobie podczas adoracyi pastuszków. Zaraz koło żłobu przy samej ścianie naprzeciwko wchodu jest ze skały wykuta ława, na której, wedle podania, Najświętsza Panna siedziała i czuwała przy swém dziecku, spoczywającym w żłobie.

W téjże saméj malutkiej grocie naprzeciw żłobku jest ołtarz „Trzech Króli“; tu bowiem, według podania, siedziała Błogosławiona Matka ze swym synem na ręku, kiedy mędrcy Wschodu składali dary.

Ściany tak w małej, jak i wielkiej grocie są wykładane marmurem; posadzka również jest marmurowa, sklepienie zaś zostawione w naturalnym stanie, ale je pokrywają bogate makaty, osobliwie w małej pieczarze. Sam żłób zawsze jest osłonięty materją, tkaną złotem i srebrem; są to jeszcze dawne zabytki po królach chrześcijańskich, bo dziś nikt tu żadnych podarków nie przysyła. Na sklepieniu, podpartém trzema kolumnami z marmuru, wiszą lampy rzędami, począwszy od miejsca Narodzenia aż do przeciwnego końca téj podługowatej groty.

Ignacy Hołowiński. 1844.

3. Kopenhaga.

Po trzech niespełna godzinach ujrzelśmy występujące z wody wysmukłe wieże Kopenhagi, a niezdługo okręt nasz dopłynął do cytadeli i do portu, zapełnionego setkami okrętów.

Kopenhaga uderza już na pierwsze spojrzenie swą okazałością. Widać po niej wspaniałą stolicę państwa, które swego czasu niepoślednią w historyi odgrywało rolę. Miasto, rozłożone bezpośrednio nad morzem, otoczone jest po drugiej stronie rozkoszną okolicą, pełną przedziwnych borów bukowych.

Ulice Amalii i Szérocka, które od tak zwanych bud celnych wiodą ku rynkowi, są mało zaludnione. Zajmują je pałace książąt, poselstw i magnateryi. Ulicę Amalii przerzyna ośmioboczny plac ze statuą Fryderyka V. Plac ten otaczają cztery wspaniałe gmachy, przeznaczone dla owdowiałej królowej i dla książąt krwi królewskiej.

Najgłówniejszym w mieście placem jest Nowy rynek królewski, niezawodnie jeden z największych w Europie. Wybiega nań 12 ulic i kanał portowy. Teatr, szkoła wojenna, zamek Szarlottenborg, główny odwach i najpryncypalniejsze hotele otaczają go do koła. W pośrodku wznosi się ołowiana statua króla Chrystyjana V († 1699). Obok zamku Szarlottenborg rozsiadł się ogród botaniczny ze swemi palmami i wspaniałemi orchidejami.

Familija królewska rezyduje w zamku Chrystyjansborg. Gmach ten obszerny, ukończony w r. 1830, mieści się na wyspie i przedstawia ze swemi licznemi przybudowaniami oddzielną, niejako część miasta. Front jego ozdobiony jest statuami i płaskorzeźbami Torwaldseny. Zamek posiada galerję obrazów ze znakomitemi pracami Rubensa, Leonarda da-Winczy (Vinci), Gerharda Dow, Wan-Dyka i Rembranta.

Poza mostem, naprzeciw zamku królewskiego, napotykamy zamek następcy tronu, mieszczący w sobie muzeum północnych starożytności, gabinet antyków, muzeum rzeźby i etnograficzne. Piérwsze z tych muzeów jest bezwątpienia najlepszym w Europie zbiorem w swoim rodzaju i zawiera dla historyi Skandynawskiej nader ciekawe rzeczy.

Pomiędzy kościołami miasta uderza głównie kościół Zbawiciela, którego wieżę, wysoką 288 stóp, otaczają wschody, wiodące zewnątrz aż na szczyt, ozdobiony wizerunkiem Zbawiciela. Kościół Panny Maryi mieści w sobie przedziwne statuy Torwaldseny.

Północno-zachodnią stronę miasta zakończy szereg ulic, złożonych z domków jednopiętrowych, równych sobie wysokością, kształtem i pomalowaniem. Część tę miasta zowią Nowe Budy. Zamieszkują ją majtkowie ze swemi rodzinami. Oryginalną tę część miasta zbudował na początku XVII stulecia król Chrystyjan IV, któremu w ogóle Kopenhaga dużo budowli zawdzięcza. Domki drobne i schludne dają schronienie 10-u tysiącom ludzi. Ulice Nowych

Bud przypominają swemi nazwami zwierzęta i rośliny innych części świata. Napotykamy tu ulice słoni, wielbłądów, delfinów, balsamową i t. p.

Mieszkańcy lubią się bawić; świadczy o tém niezmierna ilość lokali publicznych, które, zwłaszcza w zachodniej stronie miasta, zajmują milową przestrzeń. Ze wszech stron słychać muzyki koncertowe, turkot kręgielni, strzelanie do tarczy i t. p. Pomiedzy temi zakładami celują Tiwoli i Alhambra, które pewnie, pod względem przepychu, nigdzie równych sobie nie mają. Każdy z dwóch tych lokali zawiera w sobie teatr większy, drobne przedstawienia mimiczne i akrobatyczne, salę koncertową, cyrk konny, huśtawki, kręgielnie, kijoski z restauracyjami i najróżnorodniejszymi składami. Piękne oświetlenie gazowe, muzyka zewsząd dochodząca i gwar tłumu ludzi, przechadzającego się od jednego widowiska do drugiego, wszystko to razem wywiera szczególne i imponujące w swym rodzaju wrażenie.--O dwie mile drogi, w północnej stronie miasta, rozciąga się ponad brzegiem morza prześliczny Zwierzyniec. Pociągi kolei żelaznej co pół godziny przewożą na uroczęte miejsca mieszkańców stolicy. Zwierzyniec przypominał mi Prater wiedeński. I tu, jak w Wiedniu, pełno restauracyj i cukierni, i tu napotykamy koncerta, atletów, maryjonetki, katarzyniarzy, śpiewaków. Zewsząd dochodzą odgłosy instrumentów, ogłaszania widowisk i t. d.

Przystępuję w końcu do perły Kopenhagi, do wspomnianego muzeum Torwaldsena. Albert Torwaldsen urodził się r. 1770, umarł 1844. Dzieł znakomitego mistrza rozrzuconych jest mnóstwo po rozmaitych stronach Europy, największą jednak ich liczbę posiada jego ojczyzna. On nadał Kopenhadze piętno miasta sztuk pięknych i ozdobił ją, że tak powiem, barwą klasyczności. Po wszystkich placach, kościołach i gmachach publicznych, napotykamy tu jego dzieła. Nie bez przyczyny więc szczyci się każdy Duńczyk

swoim wielkim rodakiem. Muzeum obejmuje wyłącznie rzeźby Torwaldsena, jużto w wykonaniu marmurowém, już w odlewach gipsowych.

Władysław Trelewski. 1866.

4. Janowiec.

Janowiec jest to zamek starożytny, po lewój stronie Wisły naprzeciw Kazimierza położony. Był on dziełem dawnych i przemożnych w Polsce rodzin: Firlejów, Tarłów, Lubomirskich. Pierwiastkowo, za Zygmunta I, przez Piotra Firleja, Ruskiego wojewodę, w mniejszym zbudowany kształcie, powiększonym i ozdobionym przez następnych posiadaczy został. Był on warowny, jak wszystkie owych wieków zamki;—jakby stolicą obszernego klucza, czyli hrabstwa, które rozciągało się o kilka mil w około i do jednego należało pana. Przez trzy wieki stał, jaśniejąc coraz nowym blaskiem. Przed kilkudziesięciu laty sprzedany wraz z całém hrabstwem przez księcia Marcina Lubomirskiego Piaskowskiemu, podkomorzemu krzemienieckiemu, od niego raz ostatni ozdobionym i odnowionym został. Gmach ten okazały i ogromny, mający 2 dziedzińce, sal wielkich 7, pokoiów 98, piękne malowania na ścianach, marmurowe posadzki, kominki, kolumny, przedstawiał oku miły i wspaniały obraz zamożności mieszkań dawnych panów polskich. Takim go jeszcze przed 13-u laty widziało, dziś zaś, bez dachu, bez okien, bez podłóg, zdaje się być budowlą, przynajmniej od wieku opuszczoną. Kawałka żelaza niemasz już w całym tym gmachu; marmurowe posadzki i schody, kamienne odrzwia, futra z okien, podstawy i wierzchołki kolumn, wszystko to znikło. Nie tylko wewnątrz, ale i po wierzchu zamek ma rozwalin postać. Zgadywać trzeba w wielu miejscach dawny kształt jego; pokoiów jużby się nikt nie dorachował, zaledwie rozpoznać

niektóre można, rozpoznaliśmy jednak salę balową po ganku dla orkiestry, w środku głównej ściany będącym. Są jeszcze malowania na niektórych ścianach, w r. 1756 wykonane, nieźle się utrzymujące pomimo powietrza i słoły. W kaplicy, niegdyś na pierwszém piętrze będącej, są głowy 12-u Apostołów, wcale piękne; 29-go Sierpnia roku zeszłego (1825) dziewięć z nich jeszcze całych widziałam. W pokojach także gdzieniegdzie utrzymują się jako tako malowania; jest naprzykład w jednej z wież gabinet z oknami na trzy strony, w którym wszystkich bożków Olimpu rozpoznać można. Ten gabinet musiał być śliczny;—niezmiernie jasny i wesoły; widok z niego czarujący: z jednego okna spostrzega się długą perspektywę, przez las wyciętą, a na jój końcu—ładny pałacyk, równie, jak i las, Zwierzyńcem zwany. W jednej z sal zamku Janowieckiego miały być na ścianach znakomitsze czyny książąt Lubomirskich pięknym pędzlem wyrażone, ale i te—nie do rozpoznania. Więcej tam teraz napisów, niż malowań; niektóre pozostały po dawnych dziedzicach, drugie—po zwiedzających rozwaliny; czytałam między niemi i cudzoziemców nazwiska. Dawniej pod kaplicą, a teraz w kaplicy jest studnia, w kamieniu kowana; niesłychanie miała być głęboka. Jak świadczy napis na ścianie, mierzona w r. 1821, miała jeszcze 77 łokci głębokości, lubo już wtedy od 33 lat zawaloną była. Codzień niemal pływają się staje, bo nie tylko czas, ale każdy przychodzień nowemi gruzami ją zarzuca. Dziwnym jest odgłos rzuconego w nią kamienia, ten obija się bowiem o twarde boki z niezmiernym łoskotem. Nieświadomemu wydawać by się mogło, że się jakaś część zamku wali i odgłos ten w zupełnej jest harmonii z całością, gdyż jest prawdziwie odgłosem zniszczenia. Niedaleko téj studni była dawniej kuchnia; ogromne w środku niej ognisko świadczy o gościnności dawnych tego zamku panów. Cały zamek Janowiecki stoi na

kamienno-wapiennéj górze; sam z tegoż kamienia jest zbudowany, a przeto ma dotąd jakąś schludną postać i tym mniej znać na nim rdzę czasu. Pod nim są niezmierne lochy, gdzie w największy upał zimno dech tamuje; tam mieszczanie z Janowca (bo pod górą, na której zamek stoi, jest miasteczko), mają składy mięsiwa i rzeczy. Ogród, na powierzchni góry będący, jak się zdaje, był dość piękny, chociaż nie wielki; są jeszcze owocowe i dzikie drzewa; widziałam bardzo nawet starą akację, może jedną z pierwszych, które sprowadzono do naszego kraju. Na końcu ogrodu są zabudowania, dawniej na stajnie przeznaczone; dziś jest to folwarczek, który zowią Manes, zapewne z francuzkiego nazwiska Manège. Z zamku i z całej góry, osobliwie téż z owego Manesu — widok rozległy i zachwycający: naprzód — Wisła w całym swym majestacie; po prawej jej stronie, w oddaleniu, — Puławy; wprost — Kazimiérz z rozwalinami zamku i śpichlerzy swoich, drzew i ogrodów bogactwem kryjący dzisiejsze spustoszenie i ubóstwo; dalej — pasmo gór różnego kształtu i koloru, to drzewami obrosłych, to białych i nagich, wesołe Podgórze, kępy Zastowia i inne, a w odległości — Tatry, Świętokrzyszki klasztor i góra, na prawym zaś brzegu — rozległe niwy, łąki, laski, sady, ogrody, wiosek niezliczone mnóstwo; u samych stóp — miasto Janowiec z starożytnym kościołem i kilku staremi budowlami i rzeczka mała Nieciecz, czysta i kręta; w bok — drugie pasmo gór, kępami jałowcu i berberysu okrytych; już czerwieniały wtedy jego jagody i góry te zdawały się jakby kwiatami uwieńczone.

Klem. z Tań. Hofmanowa.

5. Brama Krakowska w Lublinie.

Starożytne, pełne zabytków świeckich i duchownych miasto Lublin szczyci się posiadaniem pamiątki dawnego

obwarowania tego odwiecznego grodu za panowania Kazimierza Wielkiego, którego pozostałością jest tak zwana brama Krakowska, nosząca na sobie niewątpliwe piętno owych wieków, chociaż niezbyt dawne otynkowanie nowszy jój nādaje pozór. Wystawiło ją samo miasto. w roku 1342 z rozkazu i zapewne nie bez przyłożenia się wyżej wspomnionego monarchy, szczególnego lubownika tego rodzaju budowli, a restaurował między innemi w roku 1787 król Stanisław August, którego téż cyfra urosi się nad gałką kopuły. Później odnawiana była kosztem kasy miejskiej w roku 1839, a w roku 1845 przebudowano jój galeryją żelazną, na pomieszczenie straży ogniowej.

Gmach to—i obszernością i postacią poważny. Przednia jego część, w strzelnicę u góry opatrzona, może kiedyś przeznaczona była do obrony, dziś jednak żadnego nie ma tarasu i owe blanki nad strzelnicami służą jedynie dla zakrycia dachu podwójnego, hultajem wpośrodku połączonego. Sama wieża, na 180 stóp wysoka, aż do galeryi jest czworograniasta, wyżej zaś ośmiogranna. Oprócz dolnego sklepienia, żadnych innych nad bramą w niej nie ma; wszędzie tylko—proste, na belkach wsparte, podłogi. Grube mury téj wieży wzmocnione są wielkimi ankrami, które w sześciu miejscach ściśle je z sobą wiążą. Dolna część téj budowli mieści w sobie kramy, średnia—mieszkanie dla trębacza, który, o godzinach 10, 11 i 12 w nocy, trąbieniem winien swoje czuwanie oznajmiać. W górnej części jest zégar z tarczą, która, w porze nocnej, umieszczoną w tyle lampą oświecana być może. Dzwony do tego zégaru umieszczone są w samym wiérzchołku kopuły i do nich dosyć wygodnie po bezpiecznych schodach dojść można.

Nad bramą, od strony miasta, jest zamykany obraz świętego Antoniego, srebrną przyozdobiony sukienką, od strony zaś przedmieścia—obraz niepokalanego poczęcia Najświętszej Panny, oraz wizerunki świętych Michała i Floryjana.

F. M. Sobieszczański.

6. Gibraltar.

Szóstego dnia po opuszczeniu Genui ujrzelśmy już z samego rana Gibraltar, chociaż jeszcze przynajmniej 30 mil morskich oddzielało nas od niego. Wszyscy podróżni na pokładzie przyglądali się przez lunetę Gibraltarskiej skale, którą, przed wpłynięciem do zatoki, naokoło okrążyć potrzeba. Zdaleka skała ta bardzo niewinnie wygląda, lecz, wpatrzywszy się w nią uważniej, spostrzega się na jej powierzchni mnóstwo nieznacznych kwadratowych otworów, spiralnie i w regularnych odstępach od dołu do góry idących. Przez te otwory 8 tysięcy dział, różnego gatunku i kalibru, wygląda na cztery strony świata, grożąc tym wszystkim, którzyby na honor, to jest na kieszeń Wielkiej Brytanii targnąć się śmieli. W miejscu, gdzie leży Gibraltar, cieśnina jest przeszło dwie mile szeroka; działa więc forteczne nie mogą przeszkodzić okrętom przebycia takowej, a cała ważność tej fortecy zależy na tém, że pod jej opiekuńczemi skrzydłami znajduje bezpieczne schronienie potężna flota, gotowa w każdej chwili wypaść ze swego ukrycia i ukarać surowo śmiałka, który by, bez pozwolenia Anglii, chciał tędy wypłynąć na ocean.

Około południa wpłynęliśmy do obszerniej, lasem masztów pokrytej Gibraltarskiej zatoki. Do portu żadnemu statkowi zawinąć nie wolno, musieliśmy więc zatrzymać się w zatoce, w odległości około dwóch mil od miasta. Zaledwie zarzuciliśmy kotwicę, gdy mnóstwo czółen różnej wielkości otoczyło nasz statek; przewoźnicy krzykliwie zapraszają nas do swych łódek, zachwalając ich dobroć we wszystkich prawie Europejskich językach, co razem wzięte tworzyło taki hałas, że nic a nic zrozumieć ich nie można było. Ale mniejsza o to; zebrawszy się w kilkunastu, zaopatrzeni w paszporty, nie tracąc czasu, pod przewodnic-

twem naszego kapitana i doktora, wsiedliśmy do pierwszój lepszój łódki, jaka nam się nawinęła, i ruszyliśmy do miasta. Przeszedłszy dosyć okazałą bramę, znaleźliśmy się na brudnej i błotnistej ulicy, która, mówiąc nawiasem, jest jeszcze wzorem czystości w porównaniu z innemi.

Miasto Gibraltar, na spadzistości skały, jak jaskółcze gniazdo, nàd morzem zawieszone, ma 18 tysięcy mieszkańców. Samo przez się nie przedstawia ono nic ciekawego, ani téż oryginalnego. Ulice ma po większój części wąskie z fatalnym brukiem, albo gorszą jeszcze żwirówką (szosą), domy niskie, niekształtne, wcale nie nadto starannie utrzymane, a co krok prawie napotyka się koszaży i szyldwach. Po ludności, snującej się po ulicach, nie podobna poznać, jakiej to miasto jest narodowości, taką się spotyka różnorodność kostyjumów i języków. Tu sunie poważnym krokiem Maur w białym turbanie i szafirowej tunice, z pod której szeroki czerwony pas wygląda. Prawdziwy to wyznawca Proroka: głębokim myśłom oddany, zdaje się nie wiedzieć, co się wkoło niego dzieje, i nie raczy nawet rzucić okiem na przechodzących; może marzy o raj, który Mahomet przyrzekł wiernym swoim. Obok Maura, jakby dla kontrastu, przesuwają się kilku ruchliwych, rozmawiających i śmiejących się głośno Francuzów, a dalej Anglicy, Hiszpanie, Niemcy, Szwajcarzy, Turcy, Grecy i Bóg wie nie jakich jeszcze narodowości przedstawiciele; jedném słowem wieża Babel języków i ubiorów.

Ponieważ, z powodu przeciwnego wiatru, musieliśmy dni kilka pozostać w Gibraltarze, wystaraliśmy się więc o pozwolenie zwiędzenia fortecy i około południa, prowadzeni przez anioła-stróża w czerwonym mundurze, udaliśmy się w kilku do niej.

Po spadzistych, w skale wykutych wschodach wdrapaliśmy się na wyniosłość około 300-u metrów; wówczas przewodnik nasz otworzył wielkie żelazne wrota i znaleźliśmy

się w podziemiach. Tam dopiero przekonać się można o całej sile téj fortecy; ale bo téż i trudno utworzyć sobie pojęcie o olbrzymich pracach, jakie dla wzmocnienia jéj zrobili Anglicy. Cała skała, przeszło na 1,400 stóp wysoka, otoczona jest podziemnymi, spiralnie w górę idącymi galeryjami. Galeryje te, w twardej skale wykute, formą sklepienia urządzone, mają szerokości około sześciu metrów i tyleż prawie wysokości. Co 8 metrów napotyka się w nich rodzaj obszernéj alkowy (niszy), z otworem na zewnątrz, przez który wygląda działo. Oprócz tego na zewnątrz skały, w niewielkich od siebie odstępach znajdują się małe, lecz silnie ufortyfikowane strażnice, uzbrojone w dalekonośne działa Armstronga. Obszerne te galeryje mogą wygodnie pomieścić w sobie kilkanaście tysięcy żołnierzy, najzupełniej zabezpieczając ich od kul nieprzyjacielskich swą zewnętrzną na 10 metrów grubą ścianą.

Od lądu, jeżeli to być może, jeszcze silniej ufortyfikowali się Anglicy, czyniąc wszelki atak z téj strony niemożliwym. Wązki tylko przesmyk łączy Gibraltar z Hiszpanią; przesmyk ten przecięto kanałem na 40 metrów szerokim, zbudowano na nim most, który w jednej chwili zniszczonym być może, i wymierzono tysiąc dział na tę jedyną drogę, którą armija lądowa mogłaby szturmować fortecę. Oprócz tego, przy pomocy prochu i oskardów, uczyniono z téj strony bok skały zupełnie prostopadłym i tak go wygładzono, że nie tylko dla człowieka, lecz nawet dla dzikiéj kozy, jest całkiem nieprzystępny. Na samym szczycie skały znajduje się fort z wysoką wieżą, z której na ogromną odległość można widzieć wszystko, co się na lądzie i na morzu dzieje. Pomimo to fortecę ciągle wzmacniają, bo załoga angielska i tysiące galerników nieustannie około niéj pracują.

Nie mogłem napatrzeć się przepysznemu widokowi, jaki z tych podziemnych galeryj rozwija się na całą okolicę;

z każdego prawie otworu odmiennie on wygląda. W dole widzi się port, najęzony tysiącami masztów i ożywiony mnóstwem uwiązanych się po nim różnej wielkości łódek; z drugiej strony zatoki ciągną się piękne, romantyczne, całe zielonością pokryte wzgórza Andaluzyi. Znaczna ilość wsi i miasteczek je pokrywa. Zaraz u wstępu do zatoki leży miasteczko Algesiras z dwoma małemi, w morze wysuniętymi fortami, które obok Gibraltaru wyglądają, jak pigmejczyey obok olbrzyma. Nieco dalej na wysokości górze wznosi się San Bokko, miasteczko, sławne obrazem Matki Boskiej, na całą Hiszpaniję cudami słynącym. Z téjże samej strony na odległym horyzoncie rysuje się imponujące pasmo gór. Posunawszy się nieco w prawo, widzi się wązki przesmyk, most i słupy graniczne hiszpańskie, zaledwie na strzał armatni od fortecy oddalone. Skoro się zrobi jeszcze kilkadziesiąt kroków na prawo, ziemia zupełnie niknie, a miejsce jęj zajmuje okiem nieprzejrzana, szafirowa przestrzeń wody, na którą dumny Anglik z wierzchołka skały, jak na swą własność i swój żywioł, spogląda. Z przeciwnej strony przesmyku widać dzikie skały Afryki i bielejące się mury Ceuty.

Kozłowski. 1865.

7. Dom Jana Kochanowskiego w Czarnym lesie.

Podług podania i badań miejscowych, okazuje się, że dwór, zamieszkiwany przez poetę, był zbudowany z modrzewiu. W jednym rogu, murowanym z cegły, obejmował narożną komnatę, w której wieszcz nasz najwięcej przesadywał i rad w niej pracował. Z okien téj komnatki patrzył na ulubioną starą lipę, której gęste liście, jakby namiot, dawały cień w dzień skwarny, przed gorącym pro-

mieniem słońca. Ochotnie siadywał pod nią, bawił się z dziatwą i żoną, gwarzył i marzył w chłodzie letnim, przyjmował gości i słuchał z rozkoszą brzęku rojów pszczół, co wysysały słodycz z kwiatów. Słowik w jej cieniu zawodził swoje śpiewanie i stado szpaków, niespłoszone, na liściastych gałęziach przesiadywało spokojnie. Poeta uczcił tę lipę podwójnym wierszem w swoich Fraszkach.

Kiedy miał stałe osiąść Kochanowski w Czarnolesiu i wprowadzić na osiedliny młodą małżonkę, dawny dwór naprawił i ozdobił. Ile miał w sobie komnat, trudno wiedzieć, ale pozostała wiadomość o ganku, na którym, wieczorami zasiadłszy, rozmawiał z wójtem, czyli sołtysem wioski, i kmieciami, co przychodzili po radę i wsparcie; bo nasz poeta, ceniąc w każdym człowieka, nie gardził kmiotką osobą, wedle własnego wyrażenia swojego.

Otoczony rodziną i szczęściem, nierzem niezmaconém, taki nakreślił na domu napis:

NA DOM W CZARNOLESIU.

Panie! to moja praca, a zdarzenie Twoje;
Raczy-ż błogosławieństwo dać do końca swoje.
Inni niechaj pałace marmurowe mają
I szczerým złotogłowem ściany obijają,
Ja, Panie, niechaj mieszkam w tém gnieździe ojczystém,
A ty mię zdrowiem opatrz i sumieniem czystém,
Pożywieniem uczciwém, ludzką życzliwością,
Obyczajmi znośnemi, nieprzykrą starością.

Kiedy Krasicki zwiędzał Czarnolas, pociągnięty czią dla wielkiego poety, już nie znalazł sławnej lipy. Rozżalony z tego powodu, pisze:

Darmo szukałem, w odmianie wieczystej,
Owój rozkosznej lipy rozłożystej,
Pod której niegdyś ulubionym cieniem
Wdzięczném mąż wielki rozrzewniał się pieniem.

Tomasz Święcki w Opisie Starożytnój Polski mówi o Czarnolesiu:

„Księżę Jabłonowski, wojewoda nowogrodzki, kupił tę majątność i ostatki domu wielkiego męża kształtném mieszkaniem tak przyozdobił, iż dom, w którym mieszkał Kochanowski, nienaruszenie był zachowany. W dniu 7 Września 1815 roku, zwiędzając czci i poszanowania godne to miejsce, już w innym je stanie zastałem. Dom, zmurowany przez księcia Jabłonowskiego;—rozrzucony, a obok— inny, z drzewa postawiony; teraz pustkami stojący. Ułomek murowanego mieszkania wielkiego męża zostawiono w ogrodzie; widzieć jeszcze tam można dwie sklepione izby i gabinet z oknem, w którém krata żelazna; widok z niego na przyległy mały kanał i piękną łąkę. Owéj lipy, pod którą Kochanowski szukał chłodu i pienia swe składał, niéma już śladu. Trzy jednak wielkie topole w ogrodzie, nad starym i zarosłym kanałem, w bliskości, jak mi powiadano, owéj lipy wyrosłe, zdają się jój miejsce zastępować, wznosząc się, jakoby na pomnik od dobroczynnej natury dla wielkiego męża, który jój dary wdzięcznym swym rymem tyle razy opiewał. Z żalem nakoniec wyznać trzeba, że miejsca tego, tyle pamięci i poszanowania godnego, żaden napis dotąd nie zdobi“.

W kilka lat po Świątkim, gdy zwiędzałem Czarny las i zbierał troskliwie podania miejscowe, dowiedziałem się, że ekonom, zarządzający Czarnolesiem, gdy mu na podwórzu zdała się zawadzać owa stara lipa, bo zasłaniała widok z okna na zabudowania dworskie, kazał ją ściąć i przez zimę całą miał z niej dosyć paliwa. Z wiosną i pień ogromny wykopał, ażeby żadnego po niej śladu nie pozostało.

W roku 1825 Klementyna Tańska (późniejsza Hofmanowa), zwiędzając Czarny las, który był wówczas w posiadaniu księżnej Teresy Jabłonowskiej, pisze:

„Już od dawna dom z modrzewiu, w którym mieszkał Kochanowski,—zniszczony; zostały tylko gruzy fundamentów i, jak podanie niesie, narożnej murowanej komnaty,

gdzie najwięcej przesiadywał. Z tych szczątków i na témże samém miejscu ręka księżnej udatną w gotyckim guście wzniosła kaplicę, w miejscu zaś, gdzie stała owa rozłożysta i ulubiona lipa jego, będzie stał pomnik kamienny. Piękny napis na dom, który Kochanowski niegdyś nad drzwiami swemi wyrzył, i dziś dom Czarnoleski, obok dawnego postawiony, zdobi; a jakby hołd oddając owęj chęci, którą miał poeta, rozkrzewiania światła, część domu tego obrócona jest na szkołę, gdzie dzieci wiejskie najpotrzebniejszych nabierają wiadomości“.

Wład. Kaź. Wójcicki. 1863.

8. Serbskie Łużyce.

a). Kraj i mieszkańcy.

Przestrzeń, zajęta przez tak zwane Serbskie Łużyce, wynosi do 70-u mil kwadratowych. Jest to pas kraju, około 12-u mil długości, a około 6-u szerokości, poczynając na południe od miast Biskupicy i Lubja, przeciętych koleją żelazną Wrocławsko-Drezdeńską, aż do Lubniowa nad Sprewią i blisko pod Gubin nad Nissą, na północ. Południową granicę tworzą znacznej wysokości góry i w ogólności cała ta część kraju licznemi zasiana jest wzgórzami. W odległości pięciu do sześciu mil od głównego łańcucha gór zaczyna się kraj płaski, pokryty rozległemi lasami i skropiony obficie mnóstwem rzeczulek i strumieni, tworzących liczne jeziora i stawy. Na samym północnym krańcu rozciągają się obszerne niziny i bagna Sprewii.

Sprewija, po niemiecku Spree, poczynając od gór, przepływa prawie samym środkiem całego kraju. W wyższej, górnej części nie bardzo szeroka, lecz za to głęboka i bystra, po opuszczeniu skalistego łożyska i przyjęciu pomniejszych wód Lubaty, Wolszynki i Szepca, przybiera coraz znaczniejszą objętość; w końcu, nagłe zwróciwszy się ku

zachodowi i przyjmując wody Małksy i mnóstwa innych pomniejszych rzeczulek, tworzy obszerne lesiste bagna, u Serbów pod nazwiskiem *blót*, u Niemców — *Spreewald*, znane. Inne znaczniejsze rzeki są: Elster, po serbsku Halsztrow, i Czornica, obie zachodnią część Łużyc przebiegające; wreszcie Szlązka Nissa, która na wschodnim górnych Łużyc krańcu, w okolicy Mużakowa, przepływa je na przestrzeni trzech mil blisko.

Na powierzchni, powyżej wskazanej, nie sami wyłącznie zamieszkują Serbowie. Owszem, w miastach większą połowę, aż do trzech czwartych ogólnej ludności, stanowią Niemcy, a i po wsiach niemała znajduje się ich ilość, częścią osobno rozsianych, częścią skupionych w większych grupach. W ogóle jednak ludność Niemiecka zostaje w znacznej mniejszości względem Serbskiej. Liczba wszystkich Serbów Łużyckich wynosi 160, może nawet do 170 tysięcy. Z tego na górnych Łużyczan przypada większa, a na dolnych mniejsza połowa. Piérwsi zamieszkują przestrzeń około 38 mil kwadratowych w południowej —, drugi około 32 mil kwadratowych w północnej części kraju.

Podział téj małej garstki na górnych i dolnych Łużyczan nie jest tylko geograficznym i historycznym, lecz polega na dość widocznych różnicach w obyczajach, nade wszystko zaś w języku. Pod względem politycznym dolne Łużyce należą całkowicie do Pruss, górne zaś, niegdyś całe domu Saskiego dziedzictwo, od 1815 r. w połowie do Pruss odpadły, w połowie przy Saskiem pozostały królestwie. Największą masę téj ludności stanowią oczywiście chłopci. W siedmiu miastach górno-Łużyckich i tyluż dolno-Łużyckich zamieszkuje z górą 20 tysięcy Serbów, częścią w służbie zostających, częścią drobnych przekupniów i rzemieślników. Najuboższa to część Serbskiej ludności: zamożniejsi w niej do wyjątków tylko należą. Wsie, w bliskości miast, lub nad drogami bitymi położone, są po największej części

mieszane. Prawdziwém siedliskiem czysto-Serbskiej narodowości, obyczajów i tradycji, są wsie ustronne, między górami, lub w lasach, po kilka i kilkanaście w bliskości siebie leżące.

b). Budyszyn.

Z miejscowości Łużyckiej ziemi, zasługujących na uwagę, w pierwszym rzędzie stoi Budyszyn, po niemiecku Bautzen. To miasto leży przy kolei, prowadzącej z Wrocławia do Drezna, o 2 godziny jazdy od ostatniego oddalone, w części górnych Łużyc, pozostałej przy Saksonii. Położenie jego na niewielkiej wyniosłości, w zgięciu Sprewii, która głęboko w skalistém płynie łożu, wesołe jest i romantyczne. Ze wszystkich stron otaczają je liczne uprawne wzgórza, gdzieśniedzie zielonemi umajone gajami; ku południowi zaś, w odległości małej mili, ciągnie się długi łańcuch gór lesistych, około tysiąca stóp wysokości mających. Samo miasto, z dwóch stron, z których go nie obléwa Sprewija, opasuje dość wyniosły wał ziemny, ocieniony dwoma rzędami drzew starych, z ponad których malowniczo przeglądają dachy znaczniejszych budynków i wysmukłe wież miejskich szczyty. Tuż poza wałem, oddzielony od niego wpół zasypaną i po części na ogrody warzywne zamienioną fossą, ciągnie się dość w całości jeszcze zachowany mur obronny. Fortyfikacje te, tak wał, jak i mury, pochodzą z czasów Hussyckich wojen. Dzięki im, Budyszyn mógł się uważać w owój epoce za niepoślednią twierdzę.

Starożytny Budyszyn, stanowiący zaledwie trzecią część dzisiejszego miasta, mieści się niejako w jego sercu, dotąd jeszcze w wielu miejscach otoczony wysokimi średniowiecznymi murami, basztami i wieżami, z których dwie szczególnie na uwagę zasługują. Jedna, niska, ale niezwykle przestronna baszta, w południowej stronie murów,—dzisiaj

na teatr zamieniona; druga, bardzo wysoka, wysmukła, okrągła wieża, nosi wieży Serbskiej nazwę.

W samém kolanie, przez Sprewiją utworzoném, na urwistej i opoczystej posadzie, wznosi się bardzo rozległe zamczysko, *Ortelsburg* lub *Ortenburg* przez Niemców, a przez Serbów ogólném mianem *hród*, to jest gród, zwane. Jakkolwiek stanowiące je dziś budowle są późniejszym różnych niemieckich margrabiów dziełem, istnienie jednak warownego w tém miejscu grodu sięga jeszcze czasów niepodległości Serbskiej. W tym grodzie niewątpliwie prze-mieszkiwał Bolesław Chrobry, podczas swych w Budyszynie pobytów i tu zawartym został jeden z najchlubniejszych dla nas traktatów (1017).

W przestrzeni, zamkowemi murami objętej, leży, spalony podczas Hussyckich wojen, starożytny gotycki kościół św. Mikołaja, którego ściany po części, a kolumny i łuki niemal wszystkie ocalały. Wpółśród tych ruin mieści się obecnie katolicki cmentarz, wznoszą się pomniki, krzyże i proste zielone mogiły. Trudno sobie wyobrazić coś więcej malowniczego, jak widok, który cmentarz ten przedstawia z przeciwniej strony rzeki, zwłaszcza w noc jasną, gdy przez zapadłe sklepienia księżyc rozlewa tajemniczy blask swój na milczące groby i rozrosłe wśród nich drzewa.

Ludność obecna Budyszyna wynosi około 15 tysięcy głów, z których blisko połowa na Serbów przypada. Podczas jednak gdy Niemcy przeważnie dostatnie i wykształcone stanowią społeczeństwo, Serbowie, z wyjątkiem szczupłej bardzo garstki ludzi, do służebnej i wyrobniczej należą klasy. Niemniej jednak Budyszyn jest ogniskiem narodowego Serbskiego życia, z kąd ciepło i światło rozchodzi się nietylko na Saskie, lecz i na Pruskie, tak górne, jak i dolne Łużyce.

9. Dawne otoczenia zamku królewskiego w Warszawie.

Żadna część Warszawy nie uległa takim zmianom, jak okolica zamku królewskiego, a to jest osobiłszém, że, gdy inne miejsca ozdobione zostały wzniesionemi nowemi budowlami, miejsca, otaczające zamek, przyozdobiły się nie budowaniem, lecz rozrzuconiem budowli, tam stojących. Dziś nie jeden nie może pojąć tego, jak na placu, tak mało obszernym, jak między kolumną Zygmunta, a zamkiem, mogły jeszcze stać kamienice, i to piętrowe, zasłaniające gmach królewski, tak, iż trzeba chyba było pójść na Pragę, aby stamtąd przekonać się, że to jest gmach wielki, mieszkanie królów i izby prawodawcze dawnych sejmów zawierający.

Tuż za kolumną Zygmunta była między kamienicami, w linii, jakoby zamykającej Krakowskie Przedmieście, nizka i zawsze brudna brama Krakowska, w której ledwo dwa powozy minąć się mogły, zwłaszcza, że po dwóch bokach, przy ścianach sklepienia, siedziały przekupki z cytrynami, na których sprzedaż było tu miejsce uprzywilejowane. Każdy się domyśli, że to musiało być miejsce kłótni, wymyślań i sporów, zwłaszcza, gdy przechodnie ustępowali na boki, pod ściany, przed przejeżdżającymi pojazdami, i przytém, pośliznąwszy się na drobnych kamieniach, albo przekupkę trącili, albo cytrynę zrzucili ze straganu.

Przeszedłszy tę niewygodną i hałaśliwą bramę, szukałeś napróżno, po okopciałych murach zamkowych, jakich znamion poważnej i ozdobnej budowy, po którychbyś mógł poznać starożytny gmach.

Jeżeli, minąwszy to wielkie zachodnie skrzydło zamku, chciałeś przypatrzeć się wschodniej części gmachu, w której się komnaty królewskie i tronowa sala znajdowały, trzeba było przejść przez drugie tylne podwórze zamkowe

i udać się wąską bramą na tak zwany taras, który, za Pruskich czasów zupełnie zaniedbany, przedstawiał zielskiem zarosłą pochyłość góry, a u jej stóp stary parkan i nędzne dworki na błotnistej nizinie. Na lewo za bramą tarasową przedstawiał ci się obrzydliwy widok, bo sławna i bardzo właściwie nazwana Gnojowa-góra, poza Kanonijami, usypała ze śmieci miejskich, od wielu lat tutaj wywożonych. Jeżeli wyszedł na przechadzkę, to nie było się po co spuszczać na dół zjazdem niebrukowanym przy tarasie, bo cię nie mogły wabić ani wyziewy góry Gnojowej, ani błoto, ani mieszkańcy ulic Nadwiślańskich, pod tą górą położonych. Dlatego też, popatrzywszy na Wisłę, nie mając miejsca do przypatrzenia się ztąd zamkowi, wracano zwykle tarasową bramą, przez podwórza zamkowe, za Pruskich czasów trawą zarosłe i tak puste, żeś, idąc, słyszał własne stąpanie po bruku.

Wyszedłszy przez główny dziedziniec zamkowy, miałeś przed sobą nie, jak dziś, otwarty widok na Wisłę i Zawiszańskie okolice, ale masę różnego rodzaju budowli, które ten piękny widok zasłaniały. Był tam już wtenczas opróżniony klasztor i kościół Bernardynek, w którym pomieszczono konserwatorium muzyczne, póki w niém Soliwa śpiewaczki dla opery naszej kształcił. Po zwinięciu tego użytecznego instytutu, używano pustego kościoła do widowisk różnego rodzaju. Były tam bardzo piękne maryjonetki, które nie tylko dzieci, ale i dorosłe osoby czas niejaki bawiły; występowali tu różni sztukmistrze, a w końcu słoń uczony, który miał smutny bardzo koniec. To zwierzę, równie ogromne, jak uczuciowe, tak mocno uczuło stratę kornaka (przewodnika) swego, czyli przyjaciela, człowieka, co mu chwile niewoli osładzał, że zachorowało i rozdrażnione przydaniem mu innego towarzysza, doszło do takiej złości, że w końcu oszalało. Co to była za trwoga w mieście: obawiano się, aby słoń murów kościoła nie

obalił, lub głównych drzwi nie wysadził, a sam nie poszedł na ulice wojować straszną swoją trąbą. Chciano do niego strzelać, ale karabinowe kule były prawdziwym grochem, na ścianę rzuconym, a trudno było dostąpić do niego z armatą. Dano mu więc pigułkę, a raczej dużą kulę zatrutą, którą zjadłszy, oddał swoje ciało do rozczłonkowania, a skórę do wypchania, dla naszego muzeum zoologicznego.

Na lewo od zamku jest na pochyłości góry długi, a wązki dziedziniec, zamknięty od strony Wisły niewielkim pałacykiem, tutaj dwa, a z drugiej strony, od Wisły, cztery piętra mającym, który jest zajmującą pamiątką narodową, bo tu było, za czasów króla Stanisława, za Pruskich i księstwa Warszawskiego, mieszkanie księcia Józefa Poniatowskiego.

Fryderyk hr. Skarbek. 1863.

10. Ziemia dyjamentowa w Brazylii.

Nagie pasma gór Serra do Frio, uchodzące za najwyższe w Brazylii, są główną dyjamentów skarbnicą. Właściwa „ziemia dyjamentowa“ rozciąga się na 16 mil franc. z południa ku północy, a na 8 ze wschodu na zachód. Pierwsi górnicy, którzy w te okolice przybyli, szukali tylko nowych kopalni złota i wcale nie umieli ocenić wartości znalezionych kamieni, biorąc je za najpospolitsze kryształy. Później dobór takich kryształów podarowano gubernatorowi Villa de Principe, lecz i ten, żadnej ceny do nich nie przywiązując, używał ich tylko za marki do gry. Na koniec dostały się do Lizbony; tam dopiero powierzono je posłowi hollenderskiemu, aby przez jego spółziomków, najznakomitszych wówczas handlarzy klejnotów, rozpoznane i ocenione zostały. Ślifiérze amsterdamscy uznali je za prawdziwe dyjamenty, a poseł względem ich nabywania jednocześnie z dworem portugalskim korzystną zawarł ugodę. Od téj pory Serra do Frio w osobny okrąg zamienione zostało.

Smutna, pusta i obumarła jest ta ojczyzna dyjamentów, podobna do serc ludzi, którzy się za niemi ubiegają. Miasteczko Tejuco, główna siedziba intendenta płókarni, najdziwaczniejsze przedstawia sprzeczności: w ponurém i skalistém zbudowane miejscu, żadnym piękniejszym gmachem się nie odznacza; ulice ma nieporządne, mieszkańców znędzniałych, a obok tego najbogatsze sklepy, jaśniejące drogiemi kamieniami, i najświetniejsze towarzystwo europejskie, złożone z urzędników, drogo przez rząd opłacanych.

Do wydobywania dyjamentów posługuje się administracja niewolnikami murzynami, którzy, dla zadosyć uczynienia jój chciwości, najopłakańsze życie pędzą. Po całych dniach te ofiary ludzkiej próżności zupełnie nago, bo w odzieży mogliby gdzie ukryć dyjament, siedzą rzędami w wodzie i raz po raz w dziurkowane miseczki zaczerpują żwiru z dna rzeki, przeglądają go starannie i wybiérają z niego choćby najdrobniejsze kawałeczki dyjamentów; niektóre są tak małe, iż 4 lub 5 trzeba na jeden gran, a tém samém 16 lub 20 na jeden karat. Rzadko kiedy w ciągu roku znajdują się dwa dyjamenty od 17 do 20 karatów ważące, a czasem i trzy lata miną, nim jeden 30-karatowy się spotka. Jeśli wynajęty do płókarni niewolnik znajdzie dyjament, 17½ karatów ważący, wtenczas towarzysze wieńczą go kwiatami i uroczyście do przełożonego nad płókarnią prowadzą, a ten mu sprawia zupełnie nowy ubiór i wolność jego okupuje.

Oprócz dyjamentów cenione są jeszcze bardzo piękne topazy, których Brazylija kilka odmian posiada. Najwyczajniejsze są żółte, ale strumienie Minos Novas, na północo-wschód Tejuco, dostarczają białych, błękitnych i znanych pod imieniem aqua marina; między błękitnemi zdarza się téż właściwa im osobliwość, że nieraz tylko połowa kryształu jest błękitna, a druga—czysta, jak woda. Większa część rubinów brazylijskich także do topazów

należy, ale ich żółtość rudawą umieją tam za pomocą ognia na piękny czerwony kolor przerobić.

Narcyza Żmichowska. 1858.

11. Przeprawa z Tryjestu do Wenecyi.

Zbliżała się godzina opuszczenia Tryjestu. Głównym punktem ostoji Tryjestskiej jest *Molo di San Karlo*, stanowisko większych okrętów. Tu stoi już i parowy statek w pogotowiu do nocnej przeprawy, przywiązany liną do żelaznego pierścienia kamienną grobli; już i mostek zarzucony, a podróżni zbierają się powoli.

Nakoniec zaszumiały żelazne skrzydła parowca; zwolna ruszył się i odłączył od bezpiecznego *Molo*. Światelka, porozrzucane po wzgórzach, kryją się jedno po drugim; Tryjest maleje, niknie; tylko strażnica jeszcze majaczy, jak zachodząca gwiazda.

Wiatr powiał silniejszy; parowiec przechyla się to na jedną, to na drugą stronę; to jedno, to drugie koło silniej się zanurza. Noc coraz głębsza spuszcza przerażającą tajemniczość swoją na wszystko, co nas otacza; fale, rozbite przodem statku, ozłoczone blaskiem światła, bijącego z masztu, rozstępują się po obu bokach; po grzbiecie kipiących bałwanów tańczą fosforyczne iskry i uścielają srebrzystą drogę, która, jak lita wstęga, ciągnie się za statkiem.

Po tych wspaniałych, wielkich widowiskach nocy poczęły następować wdzięczne obrazy zbliżającego się poranku. Odległe brzegi Istrii, góry Tyrolu, wyspy zwiastujące bliskość Wenecyi, poczęły się wydobywać zpod zasłony zmroku; drżące zwierciadło spokojnego dotąd morza poczęło muskać wiatr wschodni; purpurą powleczone fale kołysały się w nieprzejrzaną odległość.

O godzinie piątej błysnął szczyt wieży św. Marka i długo, długo sam jeden pływał po purpurowej przestrzeni.

Wiatr powiał silniej; morze coraz niespokojniejsze; koła silniej szumią, roztrącając fale. Brzegi stałego lądu, jak czarna wstęga, rozciągają się w prawo, a za niemi w głębi połyskują śniegiem okryte Alpy Tyrolu. Wszystko staje się coraz wyrazistsze: dalsze brzegi Palestyny, bliższe wyspy Lido, Molamokko, ich warownie i domy występują z morza; przestrzeń, coraz bardziej ograniczona, przybiera porządek i związek obrazu, z niczem nie dającego się porównać.

Jużeśmy wśród lagun; kanałem sunie parowiec, ostrożnie mijając ładowne okręty. Kapitan na podwyższeniu uważa z natężeniem kierunek statku, a majtek chwytą żerdź, liczbami oznaczoną, i co chwila mierzy głębokość kanału i głośno wywołuje miarę. „*Ecco Venezia!*” (Oto Wenecja) odzywają się głosy. Wieża św. Marka już cała wynurza się z toni i oto druga, trzecia, czwarta; obraz szczególniejszych barw, osóbliwszych zarysów, tak uroczy, tak fantastyczny, tak cudowny, rozwija się przed nami, że wszystko zda się być marzeniem: wieże, pałace, kopuły, warownie, maszty, żagle, bandery, ogromne nieprzejrzone miasto, jak korona z drogich kamieni, na morzu utkwiona, pływa i błyszczy i przegląda się w srebrystą tonię. W całej rozciągłości leży Wenecja przed naszym obliczem; nie widać, na czém spoczywa;—śród wody, na falach, jak linijowy okręt na kotwicy śród oceanu. Obraz ten jest obcy dla naszego oka; w duchu naszym nie ma nań miary, nie ma podobnych zarysów w pamięci, jak ich nie mamy o lodowcu, któregośmy nie widzieli, o wulkanie, którego grzmot nie obił się o ucho nasze; całe nasze uczucie jest tylko zdumieniem, podziwem; nieledwie z trwogą myślimy o zuchwałej śmiałości człowieka, który tu, śród łona burzliwego żywiołu, dla innych istot przeznaczonego, zbudował sobie siedlisko.

Wrażenia tego widoku są tak silne, iż zaledwie spostrzegamy, jak statek coraz w swym pędzie wolniej.

Stanał; gondolki i czółna, różnego kształtu, zewsząd się gromadzą naokoło niego, wyścigają się, krążą, jak jaskółki, i starają się przyprzeć do parowca. Ruch niezwykle i wrzawa panują na pokładzie: każdy już przygotował swój tłumoczek i rad, by pierwszy dostał się na czółno, na które go krzykliwy barkarola (przewoźnik) zaprasza.

Walenty Chłędowski.

VI. HISTORYJA NATURALNA.

A). OPISY NAUKOWE.

1. Słowik.

Ojczyzną słowika jest cała Europa i Azja. Przyrodoznanie, zawsze hojne i w darach swych rozmaite, ozdobiwszy, bogatemi aż do podziwienia farbami, ptaki gorących części świata, talent śpiewania, czyli raczej zbiór wszystkich talentów, na jednego przelało słowika. Jakoż pienia skowronków, szczygłów, kosów, drozdów, kanarków i t. p., póty tylko są miłe, póki słowik milczy, lecz, gdy się ten odezwie, gasną wszystkie i niemasz nikogo, coby harmonijnych, ciągłych, a prawie zawsze na nowo mieszanych i pełnych najprzyjemniejszych spadków, odmian jego pieśni nad głosy wszystkich innych ptaków nie przenosił. Zwyczajny czas śpiewania słowika jest od początku wiosny, gdy się liście na drzewach rozwijać poczną, aż do letniego przesilenia dnia z nocą; chowany zaś w domu, dziewięć miesięcy prawie ciągle śpiewać nie przestaje. Lecz nie wszystkie słowiki równie pięknie śpiewają: spostrzeżono, iż pienia w niektórych okolicach wdzięczniejsze są, niż w drugich; drobne te odmiany i różnice od klimatu,

pokarmu i pierwiastkowych wzorów śpiewania, lub innych, nam niewiadomych przyczyn, pochodzić mogą.

Z miesiącem Czerwcem słowik dziki śpiewać przestaje; wdzięczny głos jego zamienia się w chrapliwe kwokanie, tak różne od pierwiastkowych harmonijnych tonów, iż wprawne tylko ucho doskonałych ptaszników głosem posłowiczym być go uznaje. Słowik u nas jest prawdziwie przelotnym ptakiem; na końcu Kwietnia pojedynczo przylatuje, a na początku Września podobnie pojedynczo odlatuje; w czasie tylko gnieźdzenia pary się trzyma. Gniazdo swe kładzie w zaroślach, mianowicie blisko wód, w, niskich, a gęsto zarastających krzakach. Samica niesie pospolicie jaj pięć, które troskliwie przez trzy prawie tygodnie wysiaduje; samiec, przez cały czas siedzenia samicy, usiadłszy blisko gniazda, śpiewa; lecz, gdy się piskłeta wylęgna, w nocy tylko zwykł śpiewać, w dzień zaś pokarm dla potomstwa swego wraz z samicą zbiera i przynosi. Karmini się wszelkiemi owadami; jaja mrówcze szczególniej lubi.

Stanisław Jundziłł.

2. M ó l.

Mól jestto jeden z najmniejszych na świecie kuśnierzy. Nie dość, że umie psuć sukno, odzienie i futra, o czém wszyscy wiedzą, ale téż może wycelować dla siebie kożuszek. Każdy wszakże zna móla, co to wieczorem krąży koło świecy, lub nagle wyleci z szafy. Mól ten szuka wełnianej odzieży, albo futra, gdzieby mógł złożyć drobne swe jajka, nic więcej uczynić nie zdolny dla swego potomstwa. Wkrótce potem, syt życia, umiera, jeśli go już piérwój nie zabito, albo gdy się nie spalił na świecy.

Jajka móla zlekka są uczepione do włosów futra, albo sukna, i łatwo się strząsnąć dają, gdy się ich wczas dopatrzy; po dniach 14-tu wylazą z nich gasieniczki małe,

które są właśnie owemi kuśnierzami. Czasem mówią o człowieku, jakoby życie jego na włosku wisiało; jest to przenośnia, prawdziwa jednak: u gąsieniczki móla wszystko na włosie zawisło. To, coby nam sprawiało odrazę, dla niej jest przysmakiem i chlebem codziennym. Rada spożywa włos każdego futra, czy to barany, czy lisy. Nie wadzi jej nawet sukno, na różne ufarbowane kolory; wszystko jej smakuje i w pożytek idzie, a włos zaraz służy do odzienia. Mała gąsieniczka zetnie go na miazgę, zręcznie poskleja i takie sobie sporządzi futerko, ze ją całkiem pokryje, i w niem, zadowolniona i spokojna, żyje, jak ślimak w swój skorupie.

Powoli się naprzód zwierzątko posuwa, wyjadając włos futra, lub sukna, zupełnie, jak owieczki, gdy skubią trawę i kwiaty na łące. Wkrótce wyrasta i tuczy się i już w kożuszk mu za ciasno, ale sobie na to poradzić może: haczykami pokarmowemi rozcina wzdłuż swój kożuszek i wstawia weń łatkę. Jeśli takowy czarnego pierwotnie był koloru, a gąsieniczka dopiero zeszła na czerwone sukno, to łątka, którą wstawi, będzie także czerwona. Gdy po jakimś czasie gąsieniczka znowu urosła, to jeszcze tę samą robotę powtarza; w taki sposób może się różnokolorowy utworzyć kożuszek, jeśli materyje, na których mały kuśnierz z kolei przebywał, na różne kolory farbowane były.

Futerał gąsieniczki z obu przeciwnych końców jest otwarty. Gdy mały jego mieszkanie strwożony zostanie, to się co tchu z niego wynosi i spuszcza się po nitce, wyprzedzonej z siebie, na posadzkę. Tam wyczekuje, aż niebezpieczeństwo minie, a potem, jak zręczny gimnastyk, po linie swój napowrót się wspina i nanowo zamieszkuje porzucony domek. A jeśli mu jego futerał zabiorą, lub zniszczą, to tém się nie ustrasza wcale i natychmiast bierze się do roboty, aby sprawić nowy.

Po kilku tygodniach oprzędza się w poczwarkę. Czasem to robi wewnątrz futerału, czasem na zewnątrz, w bezpieczném ukryty miejscu. Po trzech, lub czterech tygodniach otwiera się twarda skorupa poczwarki i z niej wylatuje ćma skrzydlata, świecąca, gdyby metal polerowany. Wtedy już żadnego nie potrzebuje pożywienia, lata tylko i krąży wesoło i wypatruje kryjówki w sukiennych i futrzanych rzeczach, gdzieby swe jaja złożyć mogła, z których nowa osada małych kuśnierzy powstaje.

1862.

3. L i p a.

Jedno z największych drzew naszych, dochodzące do niezmiernéj wysokości i grubości i więcej, niż osiemset lat, żyć mogące, jest lipa. Liść lipy jest miękki, duży i w kształcie serduszkowym. Kwiat, biało-zielonkowaty i w kupkach rosnący, rozkwita w Lipcu i miłą woń wyziewa. Użytek z lipy bardzo jest wielki i rozmaity. Drzewo lipowe, białe, miękkie, wielu robotnikom do delikatniejszych robót bywa przydatne; rzeźbiarze téż posągi z niego wyrzynają. Kora, znana pod imieniem łyka, służy gospodarzom na powrozy, maty, wory i t. p. Litewski chłop używa tego łyka na chodaki, czyli tak nazwane łapcie (trzewiki). Węgle lipowe najzdatniejsze są do prochu strzelniczego, a zarazem i do farby czarnéj. Liście są dobrą paszą dla bydła. Kwiat służy na herbatę i jest pomocny na choroby piersiowe; jest także najprzydatniejszym pokarmem dla pszczoł, z którego najbielszy i najwonnejszy miód, tak zwany lipiec, zbierają. Nakoniec owoc lipowy, w jesieni zebrany, z łupin otluczony i na olój wybity, nie tylko go obficie, ale i w dość dobrym gatunku, wydaje.

4. Użyteczność łasicy.

Łasica zasługuje na względy rolników. Żywi się ona podobnie, jak jęcz, rozmaitemi płazami i często stacza walki z jadowitemi żmijami, które zawsze na niekorzyść ostatnich wypadają. Ukąszone od żmii miejsce ciała łasicy tylko mało napuchnie. Najmilszym łasicy pokarmem są myszy i szczury, szczególnie młode. Za nimi to z największą wytrzymałością goni, ale też żadne inne zwierzę nie jest tak doskonale do tego zbudowane, jak łasica. Przypatrzcie się tylko, jaka ona wysmukła, giętka, jakie ma krótkie nóżki i małą główkę. Gdziekolwiek znajdzie otwór, dostateczny do przecisnienia główki, tam i cała wśliznąć się może. W czasie, kiedy już żadne inne zwierzę drapieżne nie poluje, mianowicie, gdy już śnieg ziemię pokrywa, albo też w miejscach, w których inne zwierzęta zdobyć się nie mogą, jak w gęstych ciernistych krzakach, lub pod kupami kamieni, łasica odbywa polowanie z wielkiem powodzeniem. Mała łasiczka większe pomiędzy nieprzyjaciółmi rolnika wyrządza spustoszenia, niżby się tego na pozór spodziewać można; co więcej, tak okropne zadaje im klęski, jak żadne inne zwierzę. Opatrzność bowiem, chcąc łasiczkę użyteczniejszą dla nas uczynić i przeszkadzać zbytecznemu rozmnażaniu się myszy w czasie mrozów, lub w miejscach, ptakom nawet niedostępnych, tak ją uczyniła krwi chciwą, jak prawie żadne inne zwierzę. Łasica morduje myszy i szczury, aby się tylko ich krwią nasycić; mięsa nie tknie się prawie. Często, będąc zupełnie nasyconą, napada na gromadę myszy i zabija je tylko dla przyjemności, bo ani kropli krwi swych ofiar nie spożywa.

Gdy zobaczycie łasiczkę na polu, lub na podwórzu, cieszcie się i nie odganiajcie tego wroga myszy i szczurów.

Albin Kon.

5. Świérszcz.

Razu pewnego odwiedziłem przyjaciela, mieszkającego na wsi. Z przyjemnością oglądałem wszystkie szczegóły jego gospodarki, podziwiając kury i gołębie w dziedzińcu, konie, krówki, owce i kozy w stajence, aż, znużeni przechadzką, wróciliśmy o zmierzchu do pokojów, poufną prowadząc gawędkę. Na raz rozległo się zza pieca dziwne jakieś świérkanie, jakiegom jeszcze nie słyszał. Cóżby to być mogło? Czyto ptaszę jakie zawodzi wieczorną piosenkę? myślę. „To świérszcz!“ zawołał mój przyjaciel; „już on oddawna zamieszkał głęboką szczelinę za piecem; nie podobna go złowić, lecz, że nikomu nic złego nie robi, a skrzypi tak mile, wszyscy go chętnie znoszą“.

Świérszcz jest nieledwie na cal długi i bardzo podobny do skoczków, które żadnemu dziecku obce nie są. Przedewszystkiém szuka ciepłej kryjówki, bo chłodu nie znosi; we dnie siedzi cicho; być bardzo może, że śpi wtedy; dopiero za nadejściem nocy wychodzi z ukrycia, szukając jakich okruszyn do zjedzenia. Skacze, jak pasikonik, tylko nie tak wysoko. Głowę ma bardzo zabawną, z niejakiem podobieństwem do zgrzybiałej twarzy dziadka; dlatego starożytni Grecy wymyślili bajkę, jakoby te zwierzątka powstały z przemiany człowieka, który prosił bogów o wieczne życie, ale zapomniał o wieczną prosić młodość, więc się skurczył w postać świérszcza.

Jako ptak dziobem tony wywodzi, a żaba skrzeczy pyszczkiem, tak świérszcz w inny się odzywa sposób; on nóżkami skrzypi, trąc je o twarde brzegi skrzydeł. Po roku świérszcz zamięra, ale przedtém w kryjówce swęj składa jaja, z których się wykluwają młode. Te z początku są jasnej barwy i skrzydeł nie mają; po dwóch tygodniach, urósłszy, nie mieszczą się w skórze, zrzucają więc ją i obłóczą się w nową. Po ośmiu dniach toż samo się powtarza

i tak się dzieje z rzędu razy cztery. Przy ostatniem zrzu-
ceniu skóry, zwierzątko okazuje się w kolorze ciemnym
ze skrzydłami i odtąd już świérkać może, bo, dopóki mu
skrzydła nie urosną, musi zachowywać milczenie.

Ale gdzie kilka jest świérszczy w domu, tam stają
się uprzykrzonymi przez zbytnią wrzaskliwość; często
w nocnej przechadzce wpadają w misy z mlékiem lub ja-
dłem. Wtedy dopiero może wieśniak cokolwiek obmyślić
ku ich wytępieniu, albo szczelinę zaklei, bo zwykle uważa
zabicie świérszcza za złowrogie, jak znów jaskółcze gniazdo,
ulepione przy domu, ma za szczęśliwą wróżbę.

1863.

6. Ż u b r.

Miedzy zwierzętami, które blizkie już były zupełnej
zagłady, przez zbytnie ze strony człowieka prześladowanie
i wzrastający brak odpowiednich miejsc na zamieszkanie,
jest jedno, dla którego jedyném na całej ziemi schronie-
niem jest gubernija Grodzieńska, a nawet mały tylko jój
zakątek, zwany Białowiezką puszczą. W tym lesie, jakie-
mu u nas pod względem gęstości i dzikości nie ma rów-
nego, żyją dotąd żubry, albo tury, i to tak nielicznie, że
liczba ich corocznie ściśle może być obrachowaną i że, dla
zapobieżenia ich zupełnemu wytępieniu, bardzo surowe
kary za zabicie którego z nich są naznaczone.

Żubr, albo tur, na pierwszy rzut oka dużo ma podo-
bieństwa do naszego zwyczajnego wołu i niegdyś téż są-
dzono, że jest dzikim krewniakiem tego, tak użytecznego
domowego zwierzęcia. Ale zdanie to było mylne i nauka
wskazuje pewne znaki, które go za oddzielny zupełnie
gatunek uważać każą, a znaki te, już z samego powierzch-
ownego rozpatrzenia się, dość wyraźnie ocenić się
dają.

Żubr (*bos urus*) ma rogi czarne, miernie długie, okrągło naprzód podane, końcami w górę zwrócone, czoło szerokie, wypukłe, kędzierzawe, piżmem woniejące, podgardle zaokrąglone, bez obwisłej skóry, jaką widzimy u bydła domowego; na podgardlu i mostku u młodych włos długi, nakształt brody; szyja krótka; głowa nisko osadzona; na karku grzywa krótka, w górę stercząca; tułów na przodzie wysoki, silny, w tyle zeszczuplony; grzbiet z przodu łukowato wzniesiony, ku tyłowi spadzisty; ogon od połowy mocno kiściasty; szerść na ciele w zimie gęsta, wełniasta, miernie długa, śliska, brunatna, w lecie krótka, gładka, czarno połyskująca; broda, kiść ogonowa i kopyta zawsze czarne; oczy duże, wypukłe, ze źrenicą pijonowo podłużną, w środku zwężoną, co dowodzi, że żubr widzi zarówno w dzień, jak w nocy.

Piękne dwa okazy tego zwierzęcia możecie widzieć w Warszawskim gabinecie zoologicznym; są to dwie sztuki, ubite, za wyraźnem pozwoleniem rządu, w dniach 15 i 16 Lutego 1830 roku, dla pomieszczenia w tym gabinecie. Polowanie to opisał w urzędowym raporcie członek b. Warszawskiego towarzystwa przyjaciół nauk, Feliks Paweł Jarocki, gdzie zamieścił zarazem obszerny opis puszczy Białowiezkiej, tego ostatniego schronienia żubrów.

W tym gęstym lesie, położonym w gubernii Grodzieńskiej, powiecie Prużańskim, w odległości ośmiu mil od Brześcia Litewskiego, obejmującym około 17 mil kwadratowych powierzchni, hoduje się, pod pilną strażą, zaledwie kilkaset sztuk żubrów. Dawniej musiało być ich pełno we wszystkich lasach Polski i Litwy, bo w starych kronikach i powieściach często spotykamy opisy polowania na te zwierzęta, których dzikość, siła, piękna skóra i rogi były nie małą zachętą dla naszych dzielnych ojców do wyprawiania na nie łowów, przedstawiających i urok niebezpieczeństwa i powab pięknej zdobyczy.

Początki założenia Wilna, świetnej przez tyle wieków stolicy Litwy, łączą się z wspomnieniem tych półrycerskich łowów. Książę Gedymin, jeden z bohaterów i mądrych władców pogańskiej jeszcze Litwy, polując w miejscu, gdzie dziś wznoszą się starożytne kościoły i gmachy Wilna, po całodziennych utrudzających łowach, ubił własną ręką niepospolitej wielkości tura (tak bowiem żubr nazywał się u Litwinów), którego rogi tak były wielkie i piękne, że z nich zrobiono później księciu piękne godowe puchary. W tém samym miejscu, gdzie mu się udało położyć trupem tego króla lasów, książę kazał rozbić swój namiot i, po trudach polowania i obfitej zapewne uczcie, udał się na spoczynek. Nic dziwnego, że książę, co z łukiem na ramionach, a ciężkim oszczepem w dłoni, całe życie, to w utarczkach z wojowniczymi sąsiady, to w gonitwach za łosiem, turem, lub niedźwiedziem, przepędzał; co nie na miękkich puchach, w złoconym salonie, ale na skórze niedźwiedziej, wśród ścian dzikiego lasu, a pod sklepieniem gwiazdzystego nieba, noc po owém polowaniu przepędzał, nie marzył też o pustotach. A miał sen jednak i to tak ważny, że go, przebudziwszy się, kazał sobie swojemu mądrymu doradcy tłumaczyć. Śniło się bowiem księciu, że widział niesłychanej wielkości wilka, w którego wnętrzu sto innych mniejszych wilków okropnym głosem wyło i naszczekiwało. Uderzył księcia ten sen, tak szczególny, a gdy go najwyższemu kapłanowi, co go na Litwie Krywe-Krywejto zwano, opowiedział, mądry ten starzec, korzystając ze sposobności, wytłumaczył mu, że to widzenie znaczy, iż powinien w tém miejscu, gdzie tak pomyślne polowanie odbył i sen miał tak szczególny, zbudować miasto, które stanie się na wsze strony rozgłośném, jak to owe małe wilki, odzywające się we wnętrznościach wielkiego, wyraźnie przepowiadają. Podobało się Gedyminowi i wytłumaczenie snu i położenie miejsca, które, pod każdym względem,

bardzo się na założenie znacznego miasta zalecało, a że był mężem w postanowieniu rozważnym, ale w czynie nie leniwym, wnet więc zabrał się do dzieła i Wilno zaczęło się pod jego okiem wznosić i coraz szérzój rozrastać, aż wkrótce stało się grodem, godnym być tego księcia stolicą.

Innego rodzaju polowanie na tury, czyli żubry, i inną zwierzynę, w którą niegdyś obfitowała Białowiezka puszcza, zachowało się, przez ustne podanie, w pamięci miejscowego ludu i w napisie na obelisku, postawionym, z białego piaskowego kamienia, na prawym brzegu rzeki Narewki, na wzgórzu, w środku wsi Białowieży, przy tak zwanym Królowym moście. Napis na tym pomniku świadczy, że, w dniu 27 Września 1752 roku, August III, król polski, elektor saski, z królową i królewiczami Ksawerym i Karolem odbyli tu polowanie i zabili 42 żubrów i 13 łosi. Dalej wypisane są nazwiska gości i urzędników łowieckich, którzy mieli udział w tém polowaniu, a między licznym szeregiem tych nazwisk, ledwie kilka znajduje się polskich, reszta wszystko Niemcy. Były to ostatnie, tak wspaniałe, a raczej bezużytecznie wytępiające zwierzynę, łowy w tej puszczy. Stanisław August Poniatowski polował wprawdzie kilka razy w tych lasach, ale jego łowy były gospodar- niejsze i ograniczały się na ubiciu kilku sztuk.

Od wielu lat już, żeby resztek tego pięknego gatunku zwierząt nie płoszyć i dopomódz do ich rozmnożenia się, nie tylko w samej Białowiezkiej puszczy, ale nawet w sąsiednich jój prywatnych lasach, wzbronione są wszelkie hałaśliwe łowy i co rok téż liczba dozorowanej przez miejscową straż leśną zwierzyny znacznie się powiększa i wkrótce możeby można upowszechnić żubry i po wielu innych okolicach, gdyby nie zbyt nieogłędne wycinanie lasów, które, nie tylko dla żubrów, ale nawet dla lisów i drobnój zwierzyny, nie będą dostatecznego przedstawiały schronienia. Smutna to rzecz, moje dzieci, kiedy kto

w swoim domu tak gospodarzy, że, bez pomiarkowania używając tego, czém go Bóg obdarzył, nie myśli o tém, żeby i na przyszłość coś pozostawić.

J. B. Wagner,

7. Światło.

Z pomiędzy wszystkich cudownych zjawisk, jakie Najwyższy Stwórca w mądrości swojej ludziom udzielił, najpiękniejszém i najpożyteczniejszém, a oraz najpotrzebniejszém jest światło.

W braku światła nietylko pozbawieni bylibyśmy widoku wszelkich kolorów, wszelkich piękności ziemskich; nietylko nie moglibyśmy przedsięwziąć żadnej roboty, przejść bezpiecznie kilkunastu kroków, ale wszelkie życie zamarło by na ziemi. Widzimy tylko z jego pomocą, bo wśród nocy ciemnej nic wzrok rozpoznać nie może, chociaż najciemniejsza noc nie jest przecież zupełnie światła pozbawioną.

Źródłem światła, głównie jest słońce; księżyc przyświeca wprawdzie, ale trudno przy jego świetle kilka wyrazów przeczytać, a potrzebaby zawiesić na niebie trzykroć sto tysięcy księżyców, aby ich blask dorównał jasności słońca. Co się gwiazd tyczy, to te, zaledwie w czasie bardzo pogodnej nocy, udzielają tyle światła, że człowiek, nie macając rękami przed sobą, może bezpiecznie, chociaż ostrożnie, odbywać drogę.

Oprócz tych światel niebieskich, mamy jeszcze niektóre ziemskie, jak np. zorzę północną, błyskawice i t. d., lecz te przypadają rzadko i nie trwają długo, a więc ludziom najmniejszego przynieść nie mogą pożytku.

Oprócz tego wydobywa się światło z niektórych przedmiotów na ziemi. I tak, są owady przyświecające, jak robaczek świętojański; błyszczą wypróchniałe drzewo;

fosfór, używany do zapalek, także świeci sam przez się: ale te zaledwie zasługują na imię światła, bo nie są w stanie rozproszyć ciemności nocnych.

Kiedy słońce zajdzie i noc nastanie, ludzie wznecają światło sztuczne, ażeby przy niém pracować mogli. Od każdego światła, czy naturalnego, jak słoneczne, lub księżycowe, czy od sztucznego, jak ogień na kominie, lub zapalona świeca, rozchodzą się promienie, które znów rzeczy oświetlone odbijają. Promienie te wpadają do oka ludzkiego, w którém, jakoby w zwierciadle, odbijają się, i tym sposobem człowiek wszystko widzi, na cokolwiek padają promienie światła, wprost od rzeczy świecących pochodzące, albo od oświetlonych odbite.

Promienie te przez niektóre rzeczy ziemskie przechodzą na wskroś, jak np. przez wodę, szkło i t. d.; takie przedmioty, przepuszczające światło, zwiemy przezroczystymi. Przez inne przechodzą także, ale tylko w części, jak np. przez pęczérz, papier biały i płótno; takie znów rzeczy zowią wpół-przezroczystymi, albo przeświecającymi. Przez inne nakoniec promienie światła wcale nie przechodzą i te nazywają się przedmiotami nieprzezroczystymi. Jeżeli światło nie przejdzie przez jaki przedmiot, więc ten jest nieprzezroczysty i rzuca cień.

Szybkość światła jest niezmiernie wielka, o jakiej sobie trudno wyobrazić; badania uczonych wykazały, że światło ubiega w jednej chwili, czyli sekundzie, 40,000 mil.

Promienie światła odbijają się od przedmiotów nieprzezroczystych, gdy na nie padają; dlatego to w wypolerowanym metalu, albo szklanném zwierciadle, widzimy własną postać. Szkło, z dwóch stron wypukłe, zbiera promienie słońca w jeden punkt i wzbudza wielkie gorąco, jak to mamy przykład na szklach palących.

Światło jest koniecznie potrzebne do utrzymania zdrowia, a więc i życia zwierząt i roślin. Człowiek, zamknięty

przez czas dłuższy, w więzieniu ciemném, traci zdrowie, nabiera cery bladėj, ziemistėj, traci siły i wątłeje; roślina, wyrosła w ciemności, ma liście białawo-żółtawe, prawie nic nie zielone, jest słaba i prędko ginie.

Już samo to powinno nas przekonać o wpływie światła na ludzkie zdrowie, że, kiedy słońce świeci, człowiekowi jakoś weselėj i lżej na duszy; kiedy zaś panują słoty i dni pochmurne, każdego ogarnia tęsknota.

Wład. Lud. Anczyc. 1862.

8. T ę c z a.

Któż nie zna tęczy, kto nie podziwiał tych pięknych kolorów, ułożonych w tak zadziwiającym porządku, tworzących olbrzymi łuk, jakoby bramę z przeslicznych barw na niebie? Nie każdy jednak wie o tém, że zjawisko to pochodzi od światła słonecznego, odbitego w kroplach deszczu. Tęczę bowiem ten tylko widzieć może, kto ma słońce za plecami, a deszcz przed oczami, a więc zjawia się ona zawsze w przeciwnėj stronie słońca, i dlatego, jeżeli tęcza ukaże się z rana, to ją zawsze widzimy na zachodzie, a jeżeli po południu, to na wschodzie. Jakim sposobem powstaje ta różno-kolorowa wstęga na niebie i dlaczego wtenczas ją tylko widzieć można, kiedy deszcz kończy padać, albo dopiero co padać przestał, postaramy się w krótkości objaśnić.

Promień światła słonecznego, chociaż wydaje nam się jasnym, białym, ma jednak w sobie ukrytych aż siedem kolorów. Z pozoru twierdzenie to wydaje się dziwném, z przyczyny, że oko ludzkie nie dostrzega w świetle słoneczném żadnego koloru, a jednakże tak jest.

W wielu kościołach znajdują się zawieszone świeczniki, czyli pająki, złożone z mnóstwa szkiełek przezroczystych, białych, pięknie szlifowanych. Kiedy przez okno kościelne

promień słońca padnie na taki pajak, to te białe szkiełka, szlifowane graniasto, pokazują nam różne kolory: jedno błyszczą czerwono, drugie pomarańczowo, trzecie żółto, czwarte zielono, piąte błękitno, szóste granatowo, siódme na koniec fioletowo; a nawet dość wznosić do góry głowę, a potem opuszczać ją na dół, ażeby wszystkie te kolory w jednym szkiełku naprzemian porządkiem zobaczyć; innych kolorów, prócz powyżej wymienionych, nikt nie dojrzy, bo ich tam nie ma. Zbliżywszy się do owych szkiełek, gdy słońce zajdzie za chmurę, żadnego koloru nie dostrzeżemy.

Każdy zna bańki mydlane, któremi się dzieci bawią; w bańce takiej, dobrze wydętej, także te siedem kolorów widzieć można. Nakoniec człowiek, idący raniutko przez łąkę, gdy ma za sobą słońce, a rosa jest na trawie, ujrzy w kroplach wody te siedem barw; podobnie, gdy stanie naprzeciw wody, z kół młyńskich spadającej, a słońce jest za nim, ujrzy także siedem kolorów tęczy w pryskających kroplach wody.

Ponieważ zaś w tęczy innych barw nie widać, jak tylko te siedem, musi więc ona mieć coś wspólnego z temi szkiełkami, bańkami i rosą na trawie i kroplami wody, pryskającymi z pod koła młyńskiego.

Promień światła, padając na szkło, rznięte w kanty, albo na wodę w kroplach, czy to na ziemi w postaci rosy rozpostartych, czy też spadających z góry, rozchodzi się na siedem różnokolorowych promieni, z których każdy ukazuje się osobno; a że tęczę wtenczas tylko widzieć można, kiedy chmura deszczowa przeszła już nieco i wiatr ją podniósł w stronę przeciwną słońcu, a tam opodal spada uléwa, więc pokazuje się, że promienie słoneczne, odbijając się w deszczu, rozszczepiają się na te siedem kolorów i tworzą wstęgę tęczową.

9. Jastrząb'.

Jastrząb' jest mieszkańcem całej Europy i Azji środkowej; u nas wszędzie pospolity, ze szkód, w drobiu i zwierzyźnie wyrządzanych, dobrze znany. Drapieżny i odważny, rzuca się na zwierzęta i ptaki, nierównie od siebie większe, żywi się samém tylko świeżém mięsem; padliny w największej nawet potrzebie nie tyka. Wszędzie jest miejscowym; dalekich wędrówek nie odbywa, lecz zwykle zostaje przez całe życie w okolicy, gdzie się urodził. W każdej prawie porze roku odmienny tryb życia prowadzi i według tego, gdzie i jakim sposobem żywności dostać może, zmienia miejsce pobytu.

Przez całą wiosnę i początek lata stale się trzyma lasów, gdzie mu gołębie, kraski, sójki, drozdy i inne, tak stare, jak i młode ptaki leśne obfitego zéru dostarczają. Przy końcu dopiero lata, gdy te ptaki zaczynają wędrować, opuszczają lasy i wynoszą się w pola, jastrząb' za niemi wylatuje i dopóty je ściga, dopóki zupełnie nie odlecą. Wtenczas zaczyna napady na drób', odwiedza okoliczne wsie i miasta, gdzie po dziedzińcach i ogrodach morduje kury, kaczki i inne domowe ptaki. przy czém zuchwalstwo i śmiałość tak daleko posuwa, że je z przed samych drzwi ludzkich porywa, a nawet i do budynków wpada. Na kury uderza z góry, tłucze skrzydłami i silnemi uderzeniami szponów stara się ogłuszyć, następnie przysiada, pazurami przejmując, skubie żywcem i szarpie na miejscu; spłoszony jednak, dźwiga swą zdobycz i unosi ją ponad samą ziemią za krzaki, drzewa, lub inne jakie zasłony, kilkaset kroków nieraz oddalone, mimo to, że najczęściej znacznie jest od niego cięższą.

Największe szkody wyrządza w gołębiach domowych. Gdy się raz do nich wnęci, póty je odwiedza, póki do

ostatniego prawie nie wyłowi. W napadach na nie daje dowody wielkiej przezorności i kombinacji: zbliża się, zwykle lecąc ponad samą ziemią za jakimikolwiek zasłonami, ażeby go zdaleka spostrzedz nie mogły, i tym sposobem udaje mu się często wpaść niespodzianie i porwać siedzącego bez żadnej trudności, lub też mieszające się i przelekłe goni, dopóki którego nie dostanie. Lecz gdy go gołębie zawczasu dostrzegą i mają czas wzbić się w górę, jak tylko mogą najwyżej, wtenczas jastrząb' próbuje dostać się nad nie, bo tylko tym sposobem łowić mu się udaje; najczęściej zaś postrzega, że to się na nic nie przyda, odlatuje na bok i, usiadłszy gdziekolwiek, czeka cierpliwie, póki się nie obniżą i póki znowu nie uda mu się ich napasać w łatwiejszym położeniu.

Szkody te w drobiu póty wyrządza, póki śniegi nie spadną, wtenczas bowiem cietrzewie, kuropatwy i jarząbki obfitszj, łatwiejszj i bezpieczniejszj zwierzyny mu dostarczają. Przesiaduje ciągle na brzegach lasów, lub na drzewach, stojących wśród pól, w postawie nieruchomj, i wypatruje, czy się gdzie te ptaki na śniegu nie pokażą. Dopóki śnieg jest sypkim, mogą się pod nim ukrywać chwilowo, a nawet w ucieczce szukać tam nieraz nagłego schronienia, lecz, gdy stwardnieje po odwilżach i pokryje się skorupą, żadnej im zasłony nie przedstawia. W takich sazach jastrząb' wyjada w kilku dniach całe stada tych pożytecznych ptaków i jest główną przyczyną, dla czego te u nas stale rozmnożyć się nie mogą.

Napotkanemu zającowi siada na grzbiecie, zatapia szpony i silnemi uderzeniami dzioba po głowie i oczach stara się go odurzyć, lub oślepić. Polowanie to jednak nie zawsze mu się udaje, skoro bowiem zając zdoła się dostać do lasu i ucieka między gąszczami, gałęzie na wszystkie strony rażą i uderzają jastrzębia, który w takim razie nie zrzeka się łatwo zdobyczy, lecz chwytą się jedną

nogą gałęzi i stara się tym sposobem zwierza zatrzymać. Gdy zając jest już osłabiony, ulega; w przeciwnym razie jastrząb' silnie szarpnięty, rozdziéra się i razem z nim ginie. Stary, doświadczony jastrząb' puszcza go zwykle w takim razie i lecąc ponad zającem, uderzeniami z góry stara się go pokonać, albo téż przeprowadzić w dogodniejsze miejsce.

Prócz tego bierze wielkie ptaki błotne i wodne; kaczki tylko w locie łowić może, na wodzie im nie podoła, gdyż, nurzając się, chowają się ciągle, a wzlecieć w jego obecności nie chcą. Chętnie także bierze wiewiórki i inne drobne zwierzątka. Wron i srok nie lubi, przeto téż bierze się do nich dopiero w ostatniej potrzebie. Żadnych ptaków drapieżnych nie zaczepia. Złowioną zdobycz żywcem z piór starannie obiera i samo czyste mięso pożywa; myszy całkowicie połyka. Resztę łupu, którego odrazu, dla wielkości, spożyć nie może, zostawia na pastwę lisom i innym drapieżnym ptakom, lecz w potrzebie, gdy nic innego nie zdarza mu się upolować, dobrze pamięta i wraca po nią.

Wszystkie prawie ptaki znają go doskonale i na widok jego uciekają, kryją się i krzykiem o niebezpieczeństwie inne ostrzegają, siedzącego jednak nieruchomo nie poznają. Wrony go nienawidzą; skoro tylko która go spostrzeże i zacznie przeraźliwie krzyczeć, inne ze wszystkich stron podążają i tak go z hałasem daleko przeprowadzają. Gdy go spotkają w lesie, gonią i prześladują, póki gdzie w gęstwinie ukryć się nie zdoła; w takim razie długo jeszcze krążą nad tém miejscem, siadają na drzewach i czekają, czy im się znowu nie pokaże.

Z tego wszystkiego, co się o obyczajach jastrzębia powiedziało, pokazuje się, że jest największym szkodnikiem ze wszystkich ptaków drapieżnych, zasługuje zatem na szczególną uwagę myśliwych i staranne tępienie. Najskuteczniej byłoby wyszukiwać gniazda, niszczyć jaja i stare

przy tém zabijać. Są prócz tego inne sposoby tępienia bez wielkiego zachodu, a następujący może być bardzo skutecznie i praktycznie użytym przy gołębnikach: na dachu, w miejscu, ze wszech stron odkrytém, osadzić na grubym, zaostrzonym na końcu drucie, gołębia wypchanego, tak, aby ostrze na 6 cali nad ptakiem sterczało; każdy jastrząb, skoro tę ponętę zobaczy, uderzy z góry i niezawodnie się przebije. Prócz tego można używać siatek i łapek, rozmaicie urządzonych.

Władysław Taczanowski. 1860.

10. Sen roślin.

Z liczного szeregu zjawisk życia roślinnego, których by dostarczyć nam mogły najpowszedniejsze ziółka, co się po łąkach, polach i ogrodach naszych krzewią, bylebyśmy tylko nad niemi zastanowić się chcieli, nie możemy pominąć w milczeniu jednego, co, w państwie roślinném należąc do powszednich, przywodzi nam na pamięć jedno z imion, najgłośniejszych w dziejach nauki, mającej na celu rośliny. Nieśmiertelny Linneusz, dostawszy nasienie pewnej rośliny, pochodzącej z południowej Francyi, zajął się jej pielęgnowaniem domowém w Upsali, gdzie północnego klimatu pod odkrytém niebem wytrzymać by nie mogła. Wdzięczna roślinka, założone około niej starania, wynagrodziła naturalistę szwedzkiego, wydając jednego poranku dwa oczekiwane przezeń kwiatki, których szczegółowe zbadanie uszczęśliwiony miłośnik przyrodzenia do wieczora odłożył. Gdy ten nadszedł, pośpiesza do swój roślinki, lecz z wielkim żalem kwiatków już nie znajduje. Sądząc, iż jakaś niebaczna ręka pozbawiła go ich, w nadziei powetowania bolesnej straty, pod szczególniejszą opiekę bierze swą roślinkę, a ta nadspodziewanie w dniu następnym znowu dwoma zajaśniała kwiatkami, które Linneusz za

nowe uważał i które wieczorem znowu znikły. Przezorny badacz, nie dopuszczając już w tym razie ponowienia się przypadku, zaczął się domyslać, iż tu coś nadzwyczajnego dzieć się musi, a więc, szukając przyczyny, nie bez zdumienia postrzegł, że z wierzchu kwiatowej gałązki znajdowały się dwa listki bezogonkowe, które, dla ich położenia, zwykle przysadkami zowią, i że one właśnie, zbliżywszy się ku sobie i jak najdokładniej otuliwszy kwiatek, całkowicie go ukryły. Musi to być sen rośliny, pomyślał sobie badacz, a więc nie może on być wyłączną własnością, téj tylko roślinie służącą. Wziąwszy przeto do rąk latarkę, przebiega Linneusz cały ogród botaniczny, wszystkie jego szklarnie, i z niemałą radością postrzega, iż ogólna postawa bardzo wielu gatunków znacznie się odmieniła. Odgadnąć nie trudno, iż na tych jednych nie przestał odwiedzinach i że je wielokrotnie ponawiał, chcąc dokładnie oznaczyć zmianę w położeniu listków, które oczom naszego mędrca najdokładniej przedstawiały obraz słodkiego spoczynku, obraz snu prawdziwego. Widok, tak dlań nowy, zachwycił czulego i religijnego Linneusza; cisza nocna powiększała jeszcze siłę odbieranych wrażeń, i mocniej zadrdzało serce, łzy z oczu popłynęły, bo duch jego jeden z nowych poznał dziwów. Lecz chcąc sobie wyobrazić to szczęście, tę rozkosz, jaką obudza każde choćby najmniejsze tego rodzaju odkrycie, trzeba być szczerym zwolennikiem nauki, a co większa, trzeba czuć powaby pięknej natury, nadewszystko zaś umieć myślać wznosić się do jedynego jój sprawcy. A więc jak czujące zwierzęta, dzienném czuwaniem znurzone, w śnie dobroczynnym czerpią nowe siły do nowego czucia, tak téż podobnie i żyjące rośliny odpowiedniego wypoczynku szukają w swoim śnie roślinnym, co je pokrzepia na ich roślinne czwanie.

Antoni Żyszkiewicz.

11. Ptaki łązące.

Ptaki łązące żywią się po większej części owadami, które w drzewach i na drzewach żyć zwykły. Szukając takiego pożywienia, łążą po najgładszych' pijonowych drzewach i po ich gałęziach z godną podziwienią zręcznością i pewnością. Do tego łążenia otrzymały od przyrody tak szczególne urządzenie nóg, że się niemi zaraz na pierwszy rzut oka od wszystkich innych ptaków odróżniają, bo, mając dwa palce naprzód, a dwa wtył zwrócone i ostremi, łukowatemi pazurami uzbrojone, mogą się niemi, jak ostremi obcęgami, czepiać kory drzew i wygodnie léżć po nich z dołu do góry. W całym królestwie zwierząt tylko kameleon między gadami ma podobne, obcęgowato urządzone nogi.

Z wielkiej liczby ptaków łązących jest tylko 10 gatunków europejskich, które do 4-ch rodzajów należą, a mianowicie:

1. Dzięcioł. W lasach kraju naszego żyje stale siedem gatunków dzięcioła, które pospólstwo w niektórych okolicach mylnie żołnami nazywa. Są to dla leśnictwa nieocenione ptaki, bo się wyłącznie takimi owadami żywią, które toczą drzewa na pniu stojące i takowe osuszają. W ostatnich latach obwiniano dzięcioły o psucie drzew przez dziurawienie na nich kory i radzono ich wytępienie. Jest to rada tak nieprzyjazna, jak owa, która krajowi naszemu niepowetowaną szkodę zrządziła przez wytępienie w lasach naszych barci pszczół dzikich. Dzięcioł na zdrowym drzewie nawet zabawiać nie lubi, lecz ciągle szuka chorych, czyli nagabanych przez owady zakorne, i tylko w tém miejscu na drzewie korę dziobem przebija, gdzie pod nią gniazdo owadów znalazł. Jeżeli więc takowe zjadł, zrobił w lesie przysługę, a nie szkodę.

2. Dzięciuk. Tém się tylko różni od dzięcioła, że ma nogi trójpalczaste. W naszych lasach bawi stale jeden gatunek.

3. Krętogłów. Znamy jeden gatunek, który co lato gości w naszych lasach, a w jesieni do krajów cieplejszych odlatuje. Jest cokolwiek większy, niż wróbel, a podobnie, jak gatunki dwóch poprzednich rodzajów, użyteczny i równie, jak tamte, w dziuplach drzew się gnieździ.

4. Kukulka. U nas gości co lato jeden gatunek, który kilkakrotnie w życiu ubarwienie zmienia. W pierwszych latach życia kukulka nasza bywa wpoprzek rudo i brunatno, lub ołowiasto i brunatno, pręgowaną; w późniejszym wieku staje się jednostajnie siwą. Kukulka jest bardzo użyteczna, bo, będąc nadzwyczaj żarłoczną, mnóstwo szkodliwych owadów w lasach i ogrodach wytępia. Podług świadectwa wiarogodnych badaczy, tak nasze europejskie, jak i w innych częściach świata mieszkające kukulki jaj swoich nie wysiadują, lecz, wzięwszy je w gardło, latają z niemi dopóty, aż znajdą gniazdko pokrzewki, rudzika, pliszki, lub innego małego owadożernego ptaka. Do takiego gniazda włożywszy w gardle noszone jajko między jajka tam będące, kukulka nie troszczy się ani o jego wysiedzenie, ani o wypielęgnowanie swego pisklęcia.

Z zamorskich łążących ptaków zasługują na wspomnienie: naprzód papuga, której gatunki słynne są ze zdolności w naśladowaniu wyrazów mowy ludzkiej i z tego, że sobie jadło nogą do dzioba podają; dalej tukan, pieprzoad i na koniec miodowiód, którego dwa gatunki, mieszkające w Afryce, stały się głośniami z budowania sztucznych wiszących gniazd i ztąd, że barcie pszczół dzikich w lasach wyszukują i krzykiem zdradzają.

12. Dąb.

Gdyby szło o wybór najpiękniejszego z drzew naszych, dąb, bez różnicy w zdaniach, otrzymałby pierwszeństwo. Co wiosnę nowa młodość rozzielenia jego koronę i ledwie można przypuścić dla bytu jego naturalny koniec. Jaśniały w jego życiu pogody i burze; on z uśmiechem patrzył na tę niestałość ziemskiej kolei, a gdy tyle rówiennic jego olszyn ponikło, gdy poschły wyniosłe topole, nikczemne wierzbę pogniły, on ku obłokom wznosi swój osiwiwały wiérzchołek.

Do stu gatunków owadów utrzymuje swe życie różnemi częściami dębu. Na rozłożystych konarach jego ileż to ptaków i innych zwierząt gospodaruje! Ztąd głos kukłki rozlega się w puszczy, tu seledynowa kraska odpocznie, tu po gałęzi dzięcioł przebłysnął, tu wiewiórka i gołąb' spłoszyły się nawzajem, tu przybywają sójki po żywność, koszatki zimowego schronienia szukają. Poniżej ptastwo gniazda ukrywa, a na wiérzchu drózd, popisując się ze swym talentem, nowe pieśni na cały las rozsyła.

Usługa jego dla potrzeb naszych jest wielkiej wagi, jako to w budowlach, rzemiosłach i t. d. Trudno i pod tym względem wynaléźć drzewo mu równe. Profesor Szubert, w swojém opisanu drzew i krzewów naszych, na czele dąb mieści.

Przodkowie nasi mieli uszanowanie dla dębu. Widzimy dęby odwieczne na podwórzach wsi wielu; często i na między ogrodu dąb ustronia strzeże. Ktokolwiek blisko domowej zagrody dąb taki posiadasz, szanuj go, na samą myśl, jak długo cienia udzielał, ile lat gniazdo bocianów podpierał, ilekroć pożar szérzący się wstrzymał.

Olbrzymie wymiary dębu zdumiéwają nieraz umysł. W pewnej majętności na Żmudzi, dąb, który starość zwałiła,

20 łokci i 12 cali obwodu pnia mający, ścięto i pracowitým usiłowaniem w ogrodzie postawiono. Kto stanął wówczas pod nieżywemi konary jego, mniemał, że ma nad sobą dach wielkiej budowli, огоłocony z pokrycia. Z pnia spróchniałego zrobiono altanę, drzwi mu i okna przydawszy. W téj samorodnej altanie zmieścił się stolik okrągły, krzesło, kanapa i szafka z 200 książkami, a 9 osób bawić się w niej mogło. W tym także czasie wzbudzał podziwienie dąb starożytny w Czechach, który dnia 18 Lipca 1815 r. z wielkim łoskotem upadł; miał on 45 stóp obwodu, a tylko starość i własny ciężar upadku jego były powodem. Wiekowi jego tysiąc lat liczono.

Antoni Waga.

13. O w a d y.

Gromada owadów jest tak wielka, iż liczba gatunków wszystkich innych gromad, razem wziętych, nie wyrównywa liczbie jej gatunków. Powietrze, wody i wszystkie zakątki powierzchni ziemi są ożywione owadami tak dalece, iż nie znamy żadnego prawie gatunku roślin i żadnego prawie gatunku zwierząt, który by przynajmniej jednego, wyłącznie dla siebie przeznaczonego gatunku owadów na sobie nie żywił, a wiele jest takich, które na sobie i sobą po kilka gatunków żywić muszą. Co większa, inne gatunki żyją na nich w czasie ich życia, a inne po śmierci. Więcej jednak gatunków owadów żywi się martwemi ciałami organicznemi, tak, iż nie ma ciała podobnego, które by po śmierci przed ich żarłocznością bezpieczne było. Zdaje się, że przyroda przeznaczyła owady na to, aby przyspieszały śmierć przeżyłym i nadpsutym, a szybko niszczyły umarłe ciała organiczne. Dla tym pewniejszego osiągnięcia tego celu niezgłębiona mądrość Stwórcy uczyniła je nadzwyczaj mnożnemi. Ta ich mnożność i żarłoczność

uczyniła, owady największymi szkodnikami dla opieszałego i nieprzezornego człowieka, który, gdy nie zapobiega ich rozplenianiu się, może dopuścić, że owady nie tylko pojedynczym rodzinom i okolicom, ale nawet całym krajom niepowetowane szkody zrządzić mogą.

Obok szkodnictwa, owady są użyteczne tak w ogólnej ekonomii świata, jak i dla człowieka. Znaczna bowiem liczba takich zwierząt ssących, ptaków, gadów, płazów, ryb, skorupiaków i pajaków, które ludziom rzetelny pożytek przynoszą, żywi się tak wyłącznie owadami, że, gdyby tych zabrakło, i tamte z powierzchni kuli ziemskiej zniknąć by musiały. Nadto jedne owady dostarczają człowiekowi miodu i wosku, inne — jedwabiu; z tych otrzymuje do farbierstwa najpiękniejsze kolory, w owych znajduje skuteczne środki lékarskie; a wszystkie, pożerając ścierwo i inną gnijące ciała organiczne, przyczyniają się do czystości powietrza.

Owady oddychają nie gębą, lecz brzuchem, a przeto i zmysł powonienia w brzuchu mają. Z tego powodu także pozbawione są władzy wydawania głosu. Zwyczajnym ich głosem jest brzęk, który szybkim poruszaniem skrzydeł sprawiają, lub świeńszące skrzypienie, które pocieraniem nogi tylnej o brzeg skrzydeł wydają.

Głowa owadu dojrzałego przedstawia dwa różki, osadzone na czole, których kształt i długość są różne w różnych rodzajach. Poniżej różków na bokach głowy mają zwykle po dwa duże, wrosłe, złożone oczy; prócz tego u wielu owadów widzimy na tyle głowy po dwa, lub po trzy, małe, podobnie wrosłe oczka. Na spodniej stronie głowy jest pyszczek, który podobnie, jak różki, bardzo rozmaite ma ukształtowanie.

Ciało większej liczby owadów składa się z trzech części: z głowy, gorsetu i tułowu, i opatrzone jest sześcioma nogami, które pod gorsetem są przytwierdzone.

Znajdują się jednak między niemi i takie, które mają ciało podzielone na jednakowe liczne przeguby i każdy przegub jedną lub dwiema parami nóg opatrzoney; ztąd niektóre gatunki zieminka liczą do trzechset nóg.

Między owadami sześcionogiemi u jednych nogi są krótkie, u drugich—mierne, u innych--długie lub bardzo długie, już grube, już szczupłe, usposobione to do chodzenia, to do pływania, to do skakania, to do grzebania w ziemi, to do chwytania zdobyczy. Nadto owady sześcionogie są zwykle skrzydlate, lecz znajdują się między niemi i bezskrzydłe. U owadów skrzydlatych liczymy już po dwoje, już po czworo skrzydeł. U dwuskrzydłych skrzydła są albo zawsze widoczne, albo w czasie spoczynku mniej lub więcej twardemi pokrywami zasłonięte.

Nakoniec nadmienić musimy, że owady, lęgąc się z jaj, nie podobne do przodków swoich, muszą trzy przeobrażenia przebyć, czyli w trzech odmiennych postaciach ciała trzy odmienne wieki, czyli epoki życia swego, przedstawić. Piérwszy ich wiek jest wiekiem żarłoczności, bo w nim niemal ciągle jedzeniem są zajęte. Drugi wiek jest wiekiem przesycenia i letargicznego spoczynku, gdyż w nim większa liczba owadów żadnych pokarmów nie przyjmuje i nie przenosi się z miejsca na miejsce, a wiele z nich nawet znaków życia nie okazuje. Trzeci wiek jest wiekiem dojrzałości, w którym owad w całej okazałości gatunku swego występuje. Kształty owadów w piérwszych dwóch wiekach są bardzo rozmaite. I tak, w piérwszym wieku rozróżniamy 6 głównych kształtów, a te są: liszka, pędrak, gąsienica, wążonka, zagada. W drugim wieku jest 5 głównych kształtów, jakiemi są: bobówka, pupka, lalka, zamara i poczwarka.

1. Pojętna małpa.

Przed kilkoma laty był w menażeryi ogrodu botanicznego Paryzkiego szympanś, którego z wielką ciekawością oglądali mieszkańcy i dziwili się nad jego pojętnością. Była to małpeczka łagodna, dobra, a nawet przymilająca się; poznawała doskonale ludzi ją odwiedzających i bardziej, niż innym, przymilała się. Gdy się jęj przeciwiano, ze łkaniem płakała, jak dziecko, chowała się w kąt izby i przez chwilę się dąsała, lecz, za najmniejszym znakiem okazanęj jęj znowu przyjaźni, przedstawiała się gniewać, ocięrała łzy i powracała chętnie do osoby, która ją poprzednio rozgniewała. Jakkolwiek była jeszcze młoda, bo dopiero miała półtrzecia roku, pojęcie w nięj już dosyć było rozwinięte, czego dowodem mogą być następne dwa przykłady. Jeden z odwiedzających menażeryję zdjął rękawiczki i położył na stole; porwała je natychmiast małpa i chciała na swe ręce włożyć, ale nie mogła tego dokazać, bo rękawiczkę z ręki lewęj wkładała na prawą. Pokazano jęj omyłkę i potrafiiono ją nauczyć tak dobrze, że odtąd, przy wkładaniu rękawiczek, nigdy się nie myliła, pomimo, że niekiedy próbowano ją zwodzić. Drugi dowód pojętności szympanśa przedstawia nam następująca okoliczność. Werner, jeden z najslawniejszych malarzy co do przedmiotów historyi naturalnej w Paryżu, miał poruczone odrysowanie tęg małpy. Szympanś niezmiernie się zadziwił, widząc swój obraz, tak szybko powstający pod ręką biegłego artysty i chciał równie rysować. Podano mu papier i ołówek; usiadł poważnie przy stoliku swego nauczyciela i zrobił, niezmiernie ucieszony, kilka nieregularnych krések na papierze, lecz, ponieważ mocno przyciskał

ołówkę, złamał koniec i mocno się tém zmartwił. Dla ułagodzenia go, zatemperowano mu znowu ołówkę, a nauczony doświadczeniem, mniej już teraz przyciskał. Widział, jak malarz dotykał ołówkiem ust; toż samo i on robił, lecz nie przestał tylko na zwilgoceniu ołówka, ale go zębami ugryzł. Niepodobna było wzbronić mu tego i to wreszcie stało się powodem, że szympans porzucił swe lekcye rysunku. Widząc kobietę, która nad nim miała dozór, szyjącą, próbował i téj roboty, lecz zawsze się uklół w palce; rzucał wówczas robotę, a dla pocieszenia się, wskakiwał na wyciągnięty sznur i okazywał zręczność w skokach, jakichby najsilniejszy skoczek na linie nie był w stanie wykonać. Tenże szympans miał przy sobie psa i kota i bardzo je kochał; kładł je w swém łóżku, jednego po prawej, drugiego po lewej stronie, lecz sam umiał nad temi zwierzętami zwierzchnią władzę zachować i gdy tego była potrzeba, surowo je karał, nakłaniając do posłuszeństwa i do życia zgodnego między sobą.

Szymon Pisulewski.

2. Wydra króla Jana III

(wyjętek z pamiętników z r. 1680).

Przysłał do mnie król jmc¹⁾ pana Straszewskiego, sługę swego, z listami, prosząc uroczyście o darowanie wydry, którą chowaną miałem, tak rozkoszną, że wolałbym być częścią majątku mego dać, niżeli onę, bom ją tak kochał. A najpiérwój król dowiedział się tam od kogoś o téj wydrze, że jest z temi a temi przymiotami wydra u jednego szlachcica w województwie Krakowskiém, ale nie wiedziało, jak mię zowią i do kogo owe próśby posłać. Najpiérwój tedy pan koniuszy koronny pisał do pana Belchackiego,

1) Jegomość.

który potem został wice-regentem Krakowskim, żeby się dowiedział, u kogo się taka znajduje wydra i jak go zowią. Że zaś wydra ta na całe województwo Krakowskie była sławna, a potem i na całą Polskę, wywiedział się o tém pan Bełchacki i dał wiadomość, że u mnie jest. Dopieroż tedy król ucieszył się nadzieją, mówiąc: „Mnie pan Pasek dawno znajomy i wiem, że mi jój nie odmówi“, i przysłała pana Straszewskiego z listem. Pisze oraz pan koniuszy koronny, pisze pan Pisarski Adryjan, krewny mój, dworzanin królewski, prosząc, żebym tego podarunku królowi nie odmawiał, gdyż się to nagrodzi wszelką łaską i respektem ¹⁾ króla jmc. Przeczytawszy listy, zacudowałem się: kto to tam o tém zwiastował? i pytam: „Dla Boga! cóżto królowi jmc po téj wydrze?“ Powiedział poseł: „Bardzo król jmc żąda i prosi“. Ja na to: „Nie masz téj rzeczy u mnie, coby miała być odmówiona królowi jmc“. Ale mi było to miło, jakby mię ostrém grzeblęm po gołej skórze drapał. Posłałem więc do browarnego arędarza, żeby mi przysłał wydrzanego rękawa, który gdy przyniesiono, kładę mu na stół i mówię: „A otóż waść masz prędką ekspedycją ²⁾“. Ów patrzy i mówi: „Ale żywa i pieszczona ma być ta wydra, o którą król jmc uprasza“.

Ja, tak pożartowawszy, musiałem ją nareszcie prezentować ³⁾, a że jój nie było w domu i tam się gdzieś włóczyła po stawach, zatem, napiwszy się wódki, wyszliśmy na łąki. Począłem ją wołać jój przezwiskiem, bo się Robakiem nazywała; wyszła mokra z trzciny, poczęła się koło mnie łasić, a potem i poszła z nami do izby. Zdumiał się Straszewski i mówi: „A! dla Boga! jakżeto król nie ma tego kochać, kiedy to tak łaskawe“. Odpowiem ja: „To waść tylko samę łaskawość widzisz i chwalisz,

¹⁾ Szacunkiem. ²⁾ Załatwienie. ³⁾ Pokazać.

ale dopiero bardziej chwalić będziesz, gdy obaczysz jej cnoty“.

Poszliśmy nad staw, a stanąwszy na grobli, mówię: „Robak! trzeba mi ryb dla gości, hul w wodę“. Wydra poszła, wyniosła najpierw płocinę; drugi raz kazałem, wyniosła szczupaka małego; trzeci raz, wyniosła półmiskowego szczupaka, trochę go tylko na karku obraziwszy. Straszewski się za głowę porwał, mówiąc: „Dla Boga! co to ja widzę“. Mówię tedy: „Kazesz waść więcej nosić? bo ona póty będzie nosiła, póki mi nie będzie dosyć; trzeba ryb cebra, nanosi ona, bo ją sieć nic nie kosztuje“. Straszewski rzecze: „Wierzę, bo widzę; gdyby mi zaś kto powiedział, nie wierzyłbym“.

Chwycił się bardzo Straszewski tego, widząc, że to z mniejszym jego nierównie będzie kłopotem, żeby królowi umiał opowiedzieć jej przymioty. Póki nie odjechał, pokazałem mu wszystkie jej umiejętności, które były takie: Najpierw, sypiała ze mną w pościeli, a była ochędोजना. Po drugie, stróż z niej taki: w nocy, panie zachowaj, do łóżka przystąpić; chłopcu ledwie pozwoliła z butów zzuć, a potem już się nie ukazuj, bo narobiła wrzasku takiego, że się musiałem obudzić, choćem najtężej spał; w dzień zaś, rozwaliwszy się gdziekolwiekby, tak spała, że, choć ją na ręce wziął, to oczu nie otworzyła. Tak bestyja konfidowała¹⁾ człowiekowi! Surowej ryby, surowego mięsa nie chciała jeść; nawet kiedy w Piątek, albo w post, uwarzono jej kurczę, lub gołębia, a nie włożono pietruszki (tak, jakby wiedziała, co należy), nie chciała jeść.

Rozumiała też tak, jak owo i pies: „nie daj ruszać“. Kiedy mnie kto poszarpnął za suknię, a rzekłem „rusza“, to skoczyła z krzykiem przeraźliwym, szarpała za suknie, za nogi, równo ze psem, którego też jednego kochała,

¹⁾ Zawierzała.

a który zwał się Kapral niemiecki i był kosmaty, i od niego wszystkiego się nauczyła i wiele innych sztuk; z tym psem tylko miała swoje towarzystwo, że to był izdebny i bywał z nią wspólnie w drodze. Innych psów nie lubiła; jak który przyszedł do izby, zaraz go wycięła, choćby był i najroślejszy chart. Przyjechał do mnie Ożarowski Stanisław, ba, po prostu, wspólnie ze mną jadąc, wstąpił do mnie. Byłem mu rad; wydra zaś, że mię trzy dni nie widziała, przyszła do mnie, nie mogąc się nacieszyć i nagrać. Miał z sobą gość charcicę piękną i rzecze do syna: „Samuelu, trzymaj tę charcicę, żeby tej wydry nie zjadła“. Ja mówię: „Nie turbuj się waś, nie da sobie to zwierzątko, choć małe, krzywdy uczynić“. Aż on rzecze: „Co? waś żartujesz, ta charcica wilka się chwyta, lizka jój tylko raz ziéwnie“. Poradowawszy się mi wydra, obaczyła psa nie domowego; przyjdzie do owój charcicy i patrzy jój w oczy; charcica téż na nią patrzy; obeszła ją do koła i powąchała ją w nogę zadnią. Odstąpiła się od niej i poszła. Ja myślę: toć jój już nic nie będzie czyniła. Jenó cośmy o czémciś poczęli mówić, aż wydra znówu wstała, co mi się układała była pod nogami; idzie cicho po podławiu i zasza charcicy znówu z tyłu; kiedy ją wytnie przez łytkę, charcica skoczy do drzwi; wydra za nią; charcica za piec; wydra za nią; gdy już widzi, że nie ma gdzie uciec, skoczyła na stół, chcąc w okno uderzyć, aż ją Ożarowski uchwycił za nogi. Dwa jednak kieliszki szlifowane z winem stłukła, a potém, jak ją wypuszczono, nie pokazała się do pana, choć nie pojechał, aż nazajutrz po obiedzie, bo się tak wydry bała.

W drodze wielka była z nią wygodą. Kiedy w post (bo, jakto u nas, osobiwie w tym kraju bywa, że przyjeździesz do miasteczka i spytasz: „Dostanie tu ryb kupić?“ to się jeszcze dziwują: „A zkądżeby się tu wzięły; nawet ich nie znamy“) jechało się gdziekolwiek mimo rzeki;

stawu, a wydra była, to i sieci nie trzeba; zsiadłszy trochę z woza: „Robak, hul, hul!“ to robak poszedł, wyniósł ryby, jakie ta woda miała, jedną po drugiej, aż było dosyć. Jużem tam nie przebiórał, jak w domowym stawie, ale, co przyniosła, to bierz, oprócz jednej żaby, bo i tę często nosiła, gdyż, jakem już napisał, ona tam nie brakowała ¹⁾ osobami, ale, co napadła, to wzięła. Natenczas i ja i czeladź mieliśmy się dobrze, a czasem i gość pożywił się, jak się to trafia, stojąc w jednej gospodzie z kilkoma gośćmi. Nie raz goście dziwili się, mówiąc: „A jam kazał ryb szukać w tém, a w tém mieście, a nie można nic dostać; gdzież waćpan dostał takich ryb zacnych?“ Tom ja powiedział: „W wodzie“. Nawet i w miésny dzień czasem, gdy czeladź rzekła: „Oj! dobrodzieju, rzucają się tu ryby w tym stawie; niech wydra idzie“, tom poszedł z nią, bo ona za nikim, oprócz mnie, nie chciała iść. Dalej ona znowu ryby wynosić; jeżeli dobra ryba, jako to szczupak, okoń rosły, tom i ja sam jadł, nietylko czeladź, bo ja najlepszej mięsnej potrawy gotów odstąpić dla dobrej ryby. Takie z nią w drodze było tylko uprzykrzenie, że, gdzieś jechał, wszędzie się dziwiono i ludzie kupami schodzali się, właśnie, jakby to było co z Indyj przywiezionego, i nigdy asystency ²⁾ nie było skąpo, a osobiwie téż w Krakowie, kiedy jechałem przez ulicę, różnych ludzi kupa wprowadzała mię z Krakowa.

Pewnego czasu byłem u mego wujecznego, pana Szczęsnego Chociwskiego; był także u niego ksiądz Trzebieński i usiadł podle mnie za stołem, a wydra, objadłszy się, leżała podle mnie na ławie i spała, wznak rozwaliwszy się, bo to jój najmiłszy był zwyczaj wznak leżeć. Ksiądz, posiedziawszy, obaczył wydrę, a rozumiejąc, że to rękaw, porwie ją, chcąc obejrzeć; wydra przebudzona, okrutnie

¹⁾ Nie przebiórała. ²⁾ Towarzyszących.

zaskrzeczała, uchwyciła go za rękę i ukąsiła. Książdz z bólu i przestachu zemdlał i ledwie się go dotrzeźwiono.

Gdy już Straszewski widział owęj wydry przymioty, obaczył téż i inne myśliwstwo moje, jako to zwierzyniec ptaszy, który miałem zbudowany, kratami drutowemi nakryty; w nim ptastwo wszelkiego rodzaju, jakie tylko w Polsce mogło się znajdować, gniazda robiło i lęgło się na drzewkach, tam posadzonych, a nietylko to ptastwo, co może być w Polsce, ale i inne cudzoziemskie, cokolwiek mogłem przybrać i zkądkolwiek zaciągnąć. Straszewski był téż natenczas, kiedy ptaszki siedziały na gniazdach i gdy się lęgły; widział wszystko, że mię ptastwo słucha; widział, że się na gnieździe da pogłaskać; widział kuropatwy, tam wylężone i stadami swoje potomstwo wodzące i na zawołanie, tak, jak kurczęta, do sypania ziarn idące.

Dalszy ciąg.

Pojechał Straszewski do króla i wszystko to, co widział, opowiedział. Ledwo co Straszewski przyjechał i uczytnił relacją¹⁾, wzięła króla taka chętka, iż rzekł do niego: „Nie może być, tylko jedź znowu i przywieź już jakimkolwiek bądź sposobem, byłem tylko miał wydrę“. Znowu więc listy do mnie popisano, pytając, co sobie za nią każe dać. Pan koniuszy koronny, pan Piekarski, pisał, prosząc: „Dla Boga, jużże się nie wymawiaj, lepiej daj i zbyj kłopotu, bo pokoju nie będziesz miał, gdyż król, jedząc, chodząc i śpiąc, tylko o téj wydrze myśli, która żeby nie miała żadnej przeszkody, darował swego kochanego rysia panu wojewodzie Malborskiemu, ptaka zaś kazuara odesłał do Jaworowa, aby już tylko z samą wydrą się cieszył“.

¹⁾ Zdał sprawę.

Przyjechał więc znowu naodwrot Straszewski, listy oddał i powiada, jako król wdzięczzen obietnicy, bez której tęskni i prosi, mówiąc: „Kto prędko daje, dwa razy daje“. Straszewski mi powiada, że król chciał posłać pieniędzy ukontentowanie, ale pan Piekarski powiedział: „Miłościwy królu, darmo tam pieniądze posyłać, bo ich nie weźmie; u tamtego szlachcica fantazyja¹⁾ dobra i pewnie tego nie uczyni, ale takby co posłać, coby to polityczniej wziąć“. Posłał tedy król do Jaworowa po dwa konie tureckie, żeby mi je przyprowadzono (a konie tam bardzo piękne), i kazał je oddać wraz z bogatym wsiadaniem. Ja zaś powiedziałem, że nie tylko pieniędzy, ale i koni nie wezmę, bo bym się tego wstydził, za taki nikczemny podarunek takie odbierać honoraryja²⁾).

Wyprawilem tedy wydrę na nową służbę. Bardzo niewdzięcznie przyjęła tę wyprawę, piszcząc i wrzeszcząc w klatce, kiedy przez wieś jechali, ażem poszedł do izby, nie chcąc słuchać tego, bo mi jój żal było. W drodze, jadąc, gdzie upatrzyli wodę na równinie, żeby się nie skryła, wypuszczali ją kilka razy do wody, dla ochłodzenia i ucieszenia swojej natury, ale, po staremu, i to nie pomogło, bo jednak było pisku i wrzasku poddostatek. Stęskniło się i znikczemniało to zwierzątko i przywieziono je królowi tak, jak sowę, odętą.

Niezmiernie król był rad, widząc wydrę, i rzekł: „Stęskniło się to zwierzątko, ale się to obaczy³⁾“. Komu ją każe pogłaskać, to go wydra za rękę. Król rzecze: „Marysienku! odwagę się ja pogłaskać ją“. Królowa perswaduje, żeby niechał, aby nie ukąsiła; on przecie, usiadłszy podle niej, jak ją na łóżku posadzono, sięga do niej powoli ręką, mówiąc: „Jeżeli mię nie ukąsi, to sobie będę miał za dobry znak; jeżeli też ukąsi, o to mniejsza: pisać

¹⁾ Duma, ambicyja. ²⁾ Wynagrodzenie. ³⁾ Przyjdzie ono do siebie.

tego nie będą po gazetach“. Pogłaskał ją tedy; wydra jeszcze mu się przychyliła. Król bardzo się tém ucieszył i więcej ją poczał głaskać, a potem jeść kazał przynieść i dawał jój po kawalku, a ona jadła. Już tam chodziła po pokojach, gdzie chciała, coraz swobodniej i była tedy dwa dni; postawiono jój wody w naczyniach wielkich, nopuszczano tam rybek i raków, to się cieszyła, wynosiła. Król rzecze do królowej: „Marysienku! nie będę jadł jutro innéj ryby, tylko tę, którą mi ta wydra ułowi; pojedziemy jutro, da Pan Bóg, do Wilanowa i tam ją będziemy próbować, jeżeli się tam pozna z rybami“.

Posyłając królowi wydrę, napisałem téż informacyi arkuszy, jak z nią mają postępować; i to także napisałem, żeby jój nigdy nie wiązać za obrączkę, ale podle obrączki za szyję, dlatego, że u wydry grubsza jest szyja, niżeli głowa, bo, choćby najciaśniejsza obrączka, to się zaraz przez głowę zdéjmié. Tak się téż stało; uwiązali ją za obrączkę; wydra zdarła z siebie obrączkę z dzwoneczkami, wyszła, łąziła po schodach przez noc i wyszła jakos i na dwór, jakto w tęskności, bo nauczyła się u mnie chodzić, gdzie chciała, bobrować sobie po stawach, po rzekach, póki się jój podobało, według swojej natury, i przyjść według zwyczaju do domu. Ścieżkami zatém gdzieś poszedłszy, błąkała się owa wydra, nie wiedząc, gdzie się obrócić. Skoro rano, spotkał ją dragan, a nie wiedząc, co to, czy chowane, czy dzikie, uderzył berdyszem i zabił. I tak one srogie pociechy obróciły się w wielki smutek, bo król przez cały dzień nie jadł i nie gadał z nikim, a cały dwór był, jak powarzony. Takci i mnie pozbawili tak kochanego zwierzęcia, i sami się nie nacieszyli i jeszcze sobie turbacyi¹⁾ przyczynili.

Jan Chryzostom Pasek.

¹⁾ Zmartwienia.

3. K u n a.

Jeden stary żołnierz oswoił kunę domową: nigdy jej nie uwięzywał; wolno chodziła po całym domu, żadnej nie robiąc szkody. Wprawdzie zawsze była niespokojna, lecz przytém tak ostrożna, że nic nie wywróciła; słuchała głosu swego pana, przybiegała, gdy ją zawołał, i rada była, gdy się z nią pieścił. Żyła ona w wielkiej zgodzie z angielskim pieskiem, którego ów żołnierz zwał Bibi. Już i to jest wielką osobliwością, lecz zobaczmy, do jakiego stopnia i celu doszło to oswojenie. Owa kuna i angielski piesek były dla swego pana narzędziem kradzieży. Każdego poranku stary wojak wychodził z domu z koszem na plecach, a w nim ukrywał kunę; piesek biegł za nim tuż przy nogach. Ta trójka udawała się w pole, gdzie było zwyczajem zostawiać ptastwo daleko od zabudowań. Skoro żołnierz ujrzał kurę przy płocie w takim miejscu, gdzie go nie widziano, brał kunę, sadzał na ziemi i szedł dalej. Kuna wcisnęła się na płot, czołgała się po nim, jak wąż, a zbliżywszy się do kury, rzucała się na nią i dusiła, zanim ta krzyk jaki wydać mogła. Wówczas żołnierz wracał się, a pies biegł i przynosił zaduszoną kurę, którą on do kosza chował wraz z kuną, mającą dla siebie oddzielną przegrodę; następnie puszczał się w dalszą drogę, nową szukając zdobyczy. Wreszcie okoliczni mieszkańcy spostrzegli, że im kury giną, a chcąc przekonać się o przyczynie, zasadzili się i złapali sprawcę na gorącym uczynku. Sprawa wytoczyła się przed sędziego pokoju, który wyrokiem kazał zastrzelić kunę, a starego żołnierza skazał na wynagrodzenie za wszystkie przedtém poduszone kury.

Szymon Pisulewski.

VII. ŻYCIE SPOŁECZNE.

OBRAZKI, POWIEŚCI I ANEKDOTY.

1. Goście u pana Podstolego.

Jużem przeszło tydzień w domu pana Podstolego przebywał, gdy nam dano znać, że goście jadą. Był to pan sędzia ziemski z żoną, córką i zięciem, panem skarbnikiem. Wkrótce nadjechali synowie pana sędziego. Najstarszy był rejentem ziemskim, średni—porucznikiem w regimencie; najmłodszy, towarzysz pancerny, bawił się przy dworze tamecznego pana wojewody. Pan sędzia był to człowiek podeszły, wysoki, suchy, łysy; czapka rogata, suknie długie, pikowany żupan i kłapcie u rękawów oznaczały człowieka, który się dawnych zwyczajów trzymał. Jójmość w długich kornetach¹⁾, w czółku²⁾ i mantoleciku³⁾, felpą⁴⁾ podszytym, prezentowała postać naszych prababek. Pan skarbnik, człowiek średniego wieku, ubrany był przystojnie; strój j. pani skarbnikowej wół był modny, wół ziemiański; jeszcze muszki z jój czoła nie zeszły były: na skroniu prawém reprezentowały podobno Plejady, a jedna z lewego boku ust pilnowała. Pan rejent, bojąc się podobno ślinogorza, bocianowatą nieco szyję swoją muślinowym halsztukiem obwinał. Wysmukłość jego wydawała się dokładnie w opiętym kontuszu papużym, różową kitajką podszytym i żupanie tegoż koloru; zastępowały miejsce mankietów szeroko poodwijane na żupan od koszuli batystowe zarękawki. Pan porucznik był w kamizelce mundurowej i fraku angielskim, włosy z przodu miał nizko

¹⁾ Ubiór na głowę. ²⁾ Przepaska na czole. ³⁾ Krótki płaszczyk, mantylka. ⁴⁾ Rodzaj materji kosmatéj.

ostrzyżone, z tyłu—zebrane na grzebień. Najmłodszy, towarzysz pancerny, w czerwonych safijanowych skrzypiących butach, opasany pod brzuch, podgolony z wysoka, kuso, buchasto, dźwigał miecz u kolana, ustawicznie ręce zacięrał, pluł w bok i po czuprynie się głaskał.

Po piérwszém przywitaniu prezentował pan sędzia naszemu gospodarzowi dwóch młodszych synów, porucznika i towarzysza; tych lubo od lat kilku, gdy byli w szkołach, widział nie raz pan Podstoli, przy takich jednak odmianach, przyznał się, iżby mu poznać ich było trudno. Wzięli to za grzeczny komplement i ukłonili się obadwaj po swojemu, pancerny zaś tak dobrze nogą wzad machnął, iż stolik wywrócił i szklankę stłukł. Postawiono na swójem miejscu stolik, zebrano szkła kawałki. Wtém nadeszli panowie podstolicowie, pokłonili się kompanii i udali się do panów sędziców, chcąc ich zabawić, ale, jakem uważał, byli przyjęci ozięble; domyśliłem się, iż owi rycerze gardzili studentami. Zniknęli wkrótce z izby, a gdy przyszło do obiadu, znaleziono pana porucznika u panien, towarzysza w stajni.

Po obiedzie zniknęła młodzież; panie piły kawę; z niemi ja, ksiądz pleban, pan rejent i pan sędzia, nasz pan Podstoli i OO. Reformaci zabawiali się butelką; tak jednak kielichami rozrządzał gospodarz, że można było miarkować, iż się ochota bez pijaństwa obejdzie. Już się butelka druga kończyła, gdy trzecią, którą niesiono z piwnicy, postrzegł ze stajni najmłodszy pan sędzic. Przybył więc do kompanii, dogonił wkrótce drugich i przerywając dyskurs, na który trafił, zaczął chwalić człapakę ciśawego ¹⁾ białonóżkę, którego w stajni widział. Kazał go wyprowadzić pan Podstoli; wyszli wszyscy na podwórze, a gdy go kilka razy przeprowadzono, prosił pan sędzic, aby go po

¹⁾ Jasno-kasztanowego.

swojemu spróbował i zażył. Pozwolił gospodarz; natychmiast pan sędzic zawinął poły, dosiadł konia rażno, wypuszczał, zwracał, a że kilka kłód na podwórzu leżało, począł przez nie skakać. Udało się dwa razy, za trzecią koń się związał; padł z nim pan sędzic. Skoczyliśmy ku niemu; szczęściem ani nogi, ani ręki, nie złamał, głowę jednak rozciął. Zatomowano krew'; rana nie była szkodliwa, a gdy mu konia pan Podstoli ofiarował, choć z zawiązaną głową, duszkiem kielich wielki wina wypił na podziękowanie. Gdy więc na ganku jeszcze podziękowania trwały, jam się wrócił do dam i zastałem panią sędzinę, już kończącą kronikę¹⁾ całej ziemi. Broniła, jak mogła, rodzaju²⁾ ludzkiego nasza pani Podstolina; szczęściem zaczął pan rejent dyskurs o bluzgierach³⁾, które już z mody zaczynały wychodzić. Weszła więc w obszerny dyskurs pani skarbnikowa i dowiedzieliśmy się, kiedy ażusta⁴⁾ nastąły, palatynki⁵⁾ zeszyły, jakie były rewolucyje salop z kapturkami i bez kapturków, jakie były odmiany rogówek, sposoby układania fontaziów⁶⁾. Nie dała dokończyć pani sędzina stara i zaraz zaczęła się historyja o bawetach, żuzmantach⁷⁾, kabatach⁸⁾, pondelarach, szarpach⁹⁾, czubach; pamięć zaś dawnego, daleko lepszego, niż teraz, wieku, tak ją rozrzewniła, iż byłoby się na obfitym płaczu skończyło, gdyby szczęściem reszta kompanii nie nadeszła. Pan sędzia zegnać się począł; ruszyliśmy się z miejsc i po wielu ceremonijach, ukłonach i oświadczeniach, goście odjechali.

Ignacy Krasicki.

2. T r z p i o t.

W ześłym tygodniu państwo J* zamówili moję bytność na wieczór. Ponieważ to są ludzie otwarci i prości,

1) Obmowę. 2) Naszycia na przodzie żupanów. 3) Suknie długie. 4) Futerka na szyję. 5) Kokard. 6) Rodzaj sukni damskiej. 7) Kamizelki czyli kaftaniki damskie. 8) Szarfy.

'a z takiemi żyć lubię, poszedłem więc do nich z chęcią i dobrym humorem. O rozmowę nie trudno, gdy każdy mówi, co myśli, a myśli porządnie; nasza—toczyła się dosyć przyjemnie. Młodzież tymczasem grała w lisa; pan guwerner patrzył zdaleka. Jednym razem daje się słyszeć tentent po wschodach: ktoś biegnie.... wbiegł i, roztworzywszy drzwi na sążen szeroko, „Jak się państwo dobrodziejstwo mają?“ głośno zakrzyczał, porwał gospodyni rękę i podniósł ją wysoko do ust swoich, gospodarza pocałował na powietrzu, pannom się uklonił elegancko, pana guwenera klapnął po ramieniu, na mnie się spojrzał i uśmiechnął. Wdał się potem do gry; tam skakał, chichotał się, roztrącał, wreszcie pannie Anieli rozdarł sukienkę, a wcale nie zważając na tę niegrzeczność, powiedział jakąś bufonadę, w której nie było sensu, i zbliżył się ku nam. Jak wróbel, gdy wpadnie w sieć, tak trzepotał językiem: dopiero o maskaradzie, już o pojedynku, o Lipińskim, o mrozie, o Grekach i już nie pomnę o czém. Spojrzeliśmy po sobie z państwem J*, a jam sobie pomyślał: O! młody trzpiocie, któż cię tak nędznie wychował?

Hipolit Witowski.

3. Napoleon i żydki ze Swarzędza.

W Swarzędzu, miasteczku o jedną milę od Poznania odległym, jest około 4000 mieszkańców, z których większa część talmud wyznaje. Było to w jesieni 1806 roku, kiedy burmistrz tamtejszy widział się zmuszonym zawezwać starszą żydowską, celem wyjaśnienia mu, co jest powodem tak nadzwyczajnego pomiędzy niemi ruchu, który od dni kilku uważał; jaką dano odpowiedź, nikt o tém prócz pana burmistrza nie wiedział. Podczas jarmarku dopiero wyjawiała się u chrześcijan pogłoska, że żydzi w pobliskich wioskach 120 koni najęli i że poza kirkutem (cmentarzem)

takowe ujeżdżają; że wszystkie konie są w piękne przybrane rzędy. W głowę zachodzili ciekawsi, co by to znaczyło, bo i inne jeszcze były poszlaki, że żydzi coś wielkiego knują.

Wiadomość, iż Napoleon, cesarz Francuzów, w Swarzędzu i w okolicach stojące pułki osobiście w miejscu obejrzy, o tajemnicy żydowskiej zapomnieć kazała. Kto tylko do użytku miał przydatnych nóg parę, już od rana wybiegł do Zieleńca. Jest to młyn wodny w stronie ku Poznaniowi, nad brzegiem wielkiego jeziora, u spodu piaszczystej góry, miejsce dla Swarzędza czarujące, a istotnie przyjemne pięknym na jezioro i na miasto widokiem. Poza karczemną stajnią zgromadził się niezliczony tłum żydów; ich szwargotanie, wrzask i hałas byłyby w stanie lichą artyleryję zagłuszyć. Już wtenczas każdy się mógł domyślić, że owa tajemnica żydowska była w celu uczynienia miłej niespodzianki dla Napoleona.

O pierwszej z południa, krzyknął na dachu siedzący szajgiec: „Er kynt, er kynt!“ (jedzie, jedzie). Jakoż za chwil kilka ukazał się na pysznym arabczyku mały kapral Francyi, Napoleon. Wypytywał się właśnie jednego z przybocznych generałów o strategiczne położenie Swarzędza; oko jego oparło się na przeciwległej górze, gdy nagle zpoza stajni wybiegł znaczny poczet Turków, drogę cesarzowi zastępując. Wielkie turbany, brody ogromne, czerwone, żółte i zielone kurty, czamary, płaszcze, konie, strojne rozmaitej barwy pokryciem, sznurami i piórami, pałasze, gdzie indziej piki i sztandar, nadawały tej jeździe szczególniejszy wojenny i azyjatycki charakter. Napoleon wstrzymał konia i spojrzał na swoich; nikt tego wypadku objaśnić nie umiał. Wtém wysuwa się naprzód dowódzca jazdy tureckiej, a podjechawszy na kilka łokci przed cesarza, zdjeżdża z głowy turban, mówiąc:

„Fürchten Sie nichts Ihre Kaiserliche Majestät; wir sind keine Türken, wir sind Swarzenzer Juden“. (Nie lękaj się wasza Cesarska Mość; myśmy nie Turcy, my jesteście żydki Swarzędzkie).

Śmiech Napoleona granic prawie nie miał; odważne Turki krzyknęły:

„Wiwajt! wielki cesarz Napoleon, niech żyje! jeszcze raz niech żyje!“ i powtórzywszy trzykrotnie „Wiwajt!“ usunęli się na stronę.

Marszałkowie francuzcy zapewniali, iż nigdy się Napoleon tak serdecznie nie uśmieł.

August Wilkoński.

4. Kwestarz na popasie.

Mieliśmy, podług zwyczaju, mijać karczmę, do której dojeżdżaliśmy, ale, postrzegłszy przed nią stojącą piękną karocę, która widać do stodoły wleźć nie mogła, a stodołę pełną wozów i koni, a zatem pomiarkowawszy, że to jakiś dwór pański zajechał na popas, postanowiłem i tu pokorną moję odbyć zebranie, na co i Marcin się zgodził. Stanęliśmy więc z naszymi kałamaszkami obok pańskiej karoce. Ujrzały mnie piękne panięta, tojest: chłopiec wyrostek i dziewczynka podlotek; wybiegli z karczmy, a za nimi i ichmość rodzice wyszli.

— *Laudetur Jesus Christus*¹⁾, — rzekłem kłaniając się najuniżenięj.

— *In saecula saeculorum*²⁾, odpowiedział *Magnificus*³⁾, jak się potem dowiedziałem, starosta. — Zajęliśmy karczmę, rzekł on; — nie masz gdzie popasać, księżu kwestarzu.

— Nic to, dobrodzieju, ja też nie na popas tu zajechałem; odpoczną tylko moje szkapy i powlokę się dalej.

¹⁾ Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. ²⁾ Na wieki wieków.

³⁾ Wielmożny.

— Owszem, pomieściny się jakkolwiek. Wozy twoje mogą postać przed karczmą, a konie—między mojemi i mój obrok zjedzą, samego zaś Waści na nasz podróży obiadek proszę. Zostań więc dla kompanii, księże kwestarzu.

— Chętnie spełnię rozkaz J.W. Pana, byłem nie przyczynił subiekcyi.

— Żadnej, żadnej,—odpowiedziała pani.

Zostałem zatem, choć Marcin się krzywił, biorąc się do odprzegania koni; ale, gdy, na rozkaz starosty, stajenni jego pomagać zaczęli staremu i gdy posłyszał rozkaz pański, aby i konie, i jego, dobrze nakarmiono, a forysie aby pilnowali wozów naszych i baranów, udobruchał się przecie i wnet pobratał się ze wszystkiemi.

W karczmie już był stół nakryty, a nim dano, starosta, zaczawszy od pytania, jakie mię zwykle i wszędzie spotyka: z jakiego klasztoru Pan Bóg prowadzi, zadawał rozmaite inne, wyzywając mię zawsze na jowijalne¹⁾ odpowiedzi. Jak mogłem, dotrzymywałem placu i uśmiechał się pan, a nawet sama jójmość. Nakoniec przystawiono piąty taléřz i zasiedliśmy do stołu.

— Będiesz głodny, księże kwestarzu,—rzekł starosta; — obiad podróży, krótki i porcyj wielkich nie będzie; bodaj tylko rosół i pieczyste.

— *Deo gratias*²⁾, dobrodzieju, a na cóż więcej?

Jakoż uczciwy był rosół z indora. Pani starościna po dwa razy mi naléwała i posiliłem się regularnie.

Dano pieczyste. Były to cztery jarząbki, wyraźnie dla dwojga rodziców i dwojga dziatki po jednym.

— Oto sęk, księże kwestarzu; jarząbków cztery, a nas pięcioro.

— Posiliwszy się z łaski państwa tak wyśmienitym rospłem, nie potrzebuję nic więcej i obejdę się bez jarząbków.

¹⁾ Żartobliwe. ²⁾ Dzięki Bogu.

— Nie, nie, tak być nie może. Poczekaj, *Charissime!*¹⁾. Jak miarkuję, jesteś człowiek bywały i nie lada kwestarz; musiałeś więc i szkoły traktować?

— A jakże, JWP., aż do poezymy *inclusive*²⁾, a alwar gryzłem na pamięć, jak rzepe.

— Zapewne uczyłeś się i arytmetyki?

— Uczyłem się i arytmetyki, lecz zostawszy kwestarzem, najwięcej praktykuję addycję i mnożenie³⁾, dalsze zaś działania dla mnie niewielce potrzebne, a o frakcyjach⁴⁾ i słuchać nie chcę; nigdy ich cierpieć nie mogłem, tym bardziej teraz, gdy o całe barany proszę.—Otóż, pomyślałem sobie znowu, i wędę z konceptem zarzuciłem do wspaniałości pańskiej. Obaczymy, co wyciągnę.

— A więc daj eksperyment⁵⁾, — rzekł starosta, ze swojej nauki; podziel te cztery jarząbki na nas pięć osób, ale bez frakcyj, gdy ich cierpieć nie możesz, to jest bez rozryzania, tak jednak, aby wszystkim po równej porcyi się dostało. Kiedy tego dokażesz, powiem, żeś gracz i żeś kwestarz *re et nomine*⁶⁾.

— Nic łatwiejszego, dobrodzieju, byleście się na moję dywidendę⁷⁾ zgodzić raczyli.

— Przysięgam solennie, — rzekł znowu starosta, — i za siebie i za żonę i za dzieci. Ale bez noża, księżu kwestarzu.

— Ani się dotknę nożem. — Podesunąwszy więc bliżej do siebie półmisek, wziął w rękę i tak dzielił:

— Jegomość dobrodziej, jójmość dobrodziejka i jarząbek to troje; panicz, panienka i jarząbek to troje; kwestarz i dwa jarząbki to znowu troje.

— Bravo! — krzyknął starosta, śmiejąc się serdecznie; toż samo i pani starościna. Zgadza się na podział; wyśmienicie.

¹⁾ Najmilszy. ²⁾ Aż do klasy włącznie, w której uczono o poezyi.

³⁾ Dodawanie i mnożenie. ⁴⁾ O ułamkach. ⁵⁾ Próbę. ⁶⁾ Z czynów i nazwiska. ⁷⁾ Podział.

— Ale ja się nie zgadzam, — rzekłem. Jarząbki zostaną przy państwu i przy paniętach, a w indemnizacyi ¹⁾, jeżeli J.W.Pan dozwoli, wezmę tę bułkę piroga dla mnie, a dla klasztoru, co wola i łaska.

— Z największą ochotą jedno i drugie ofiarujemy ci, *Charissime*, z warunkiem wszelakoż, że po jałmużnę dla klasztoru przyjedziesz do nas. Dom mój ztąd mil pięć. Droge rozpowsześcić każe twemu furmanowi, a fatyga nagrodzi się dobrą kwestą. Czy zgoda?

— Zgoda, J.W.Panie. Dla mnie wszystko jedno. Gdzie jadę, to jadę, byłem do dobrodziejów trafiał.

Wkrótce pożegnało mię to zacne państwo i my też powlekliśmy się za niemi.

Ignacy Chodźko.

5. O g n i a !

Za czasów Augusta III Sasa, w jednej z fortec. należących do Rzeczypospolitej, był komendantem jakiś pan wysokiego rodu, dumny i nie aprehendujący ²⁾ na nic, nawet na równość szlachecką. Tak więc urządził u siebie, iż zawsze w sieniach musiał dzień i noc wartować na ordynansie ³⁾ jeden z towarzyszy garnizonowych, ludzi dobrego urodzenia, któremi czasem posługiwał się, jakby ostatniemi pachołkami. Raz przecież niejaki Rzętkowski, szlachcic z Łęczyckiego, dał mu następną nauczkę.

Ów Rzętkowski, który służył przy armatach, siedział pewnego dnia, jako ordynans, na ławie w sieni; aż dobrodziej, pokazując na przygaszoną fajkę, woła: „Ognia!”. Rzętkowski, chłopak sprytny, a przytém nie mający wielkiej chęci hajdukować ⁴⁾, choćby orderowemu panu, biegnie na wały i mówi oficerowi, straż trzymającemu, że

¹⁾ Jako wynagrodzenie. ²⁾ Nie zważający. ³⁾ Na służbie. ⁴⁾ Posługiwać.

komendantowi przysła fantazyja, aby natychmiast dać ognia ze wszystkich armat. Tymczasem zniecierpliwiony fajczarz, iż tak leniwo spełniają jego rozkazy, wychodzi znowu do sieni; wtém pum, pum, pum, słyszy ogromną kanonadę¹⁾, jakby salwę dla króla jegomości. *Obstupuit, sed non tenebat intenta ora*²⁾, pytając, co się to znaczy?

Gdy się rzecz wyklarowała³⁾ i gdy pan komendant, pieniać się od gniewu, wołał, że on ognia do fajki żądał, Rzętkowski mu odpowiedział: „Ja służę Rzeczypospolitej, a Rzeczypospolita fajki nie pali; do jakiego ognia służę, takiego podałem“.

6. Gimnastycy.

Chciałem coś mówić, ale mocny kaszel zaczął mię dusić. Natychmiast Fartuszkiewicz porwał mię za rękę i zawołał:

— Ty masz suchoty! Gimnastykuj się, bo umrzesz. Próbuuj, bierz kaftan i hantle.

— Daj mi święty pokój; jam za słabiej kompleksyi na takie mordowanie się.

— Wierzaj mi, za rok będziesz olbrzymem, z głębiem przekonaniem powiedział pan Maryjan, poskoczył do swego pokoju i zaraz powrócił, niosąc łosiowy kaftan i dwie żelazne hantle.—Rozbiéraj się.

— Zlituj się, uwolnij mię od tego; jam słaby.

Prosiłem się i wymawiałem, lecz Fartuszkiewicz gwałtem ściągnął ze mnie surdut i wpakował kaftan.

Nagle ściany się zatrzęsły; myślałem, że sufit się zapada, a pan Maryjan konwulsyjnie ścisnął mi rękę, wyprężył się i szepnął tajemniczym głosem: „Cicho!“ Po chwili

¹⁾ Bicie z dział. ²⁾ Zdziwił się, lecz nie słuchał w milczeniu. ³⁾ Wyjaśniła.

dopiero rozkoszny uśmiech zaigrał mu na wyzółkłej twarzy, wypuścił wstrzymany oddech i zawołał:

— I tam ludzie i tam gimnastyka!

— Więc wszędzie gimnastyka i to po nocy!

— Po nocy, dlatego, że, gdy człowiek śpi, kość się galaretuje, żyła kurczy, ciało więdnije, a o północy zupełna bezwładność w nas i nad nami; zrywać się wtenczas, prostować i przeżyć wszystkie mięśnie; tak robili Rzymianie.

To powiedziawszy, pan Maryjan wpatrzył się w sufit, nadstawił ucha i z biciem serca śledził każdy skok, każde stąpienie. Nagle wykrzyknął:

— Żle! nogi nie w prostej linii z nosem! Taki kierunek wpływa na obluzowanie dziewiątej kostki w przybocznym stawie od lewej łopatki. Żle! brak wprawy! powtórnie zakrzyczał, poskoczył do okna, wychylił się na podwórze i wznosił głos ku trzeciemu piętru:

— Panowie! o trzy cale wyżej nogę! dziewiąta kostka obluzować się może!

Na to wezwanie trzecie piętro ucichło i przez lufcik spadł głos:

— Kto nas ostrzega? Zacny panie, czy i ty gimnastyk?

— Zbyteczne pytanie; ja gimnastyce zawdzięczaam swoją otyłość.

— O! panie, a ja przez nią jedynie schudłem, jak należy; zacny sąsiedzie z drugiego piętra, radbym cię poznać.

— I ja pragnę tego z duszy. Zejdź pan do mnie, bo ja nie jestem sam.

— Służę zaraz, odpowiedział głos i we dwie minuty otworzyły się drzwi od pokoju, a przez nie wtoczył się siwy staruszek, gruby, owalny. Ukłonił się, uniósł nieco szlafmocy i rzekł:

— Jestem Krystyjan Blutwurst; bardzo lubiłem wieprzowe mięso i utylłem też, jak beczka, aż mi brat mój

Wilhelm z Berlina poradził gimnastykę i przez nią schudłem, że aż lekko człowiekowi. I owalny Krystyjan uniósł się na palcach.

— Niebo nam błogosławi, zawołał rozczulony Fartuszkiewicz, rzucił się na szyję tłusciutkiego Niemca i uściskali się serdecznie. W jednym domu mieszkamy, mówił dalej, jedną ideję żywimy w sercu, a nie znaliśmy się z sobą. Od dzisiaj więc razem ćwiczyć się będziemy.

— Ale czy pan już bardzo zaawansowałeś? zapytał Niemiec z pewną zarozumiałością.

— Ba! ćwiczenie dziesiąte wybornie posiadam.

— Jakto dziesiąte? piętą do góry?

— Właśnie, z muskułem w ukryciu; kierunek ekliptyki.

— Ja w tém sławny; to moje for.

— Dalej, próbujmy się, zawołał pan Maryjan i obaj szermierze, nie spuszczać siebie z oka, wygięli się w poczarne istoty. Pierwszy Niemiec stęknął i silnie sapnąwszy, zawołał:

— Pan młodszy; łatwiej mu złamać się w pałak, ale kto się powiesi na tej szafce i utrzyma równowagę?

— Dobrze! ochoczo odpowiedział zagrzany Maryjan i robili nowe ćwiczenie.

-- Pan masz większy brzuch, to środek ciężkości łatwiej mu utrzymać, pierwszy odezwał się Fartuszkiewicz, a Blutwurst zaśmiał się z radości, bo był zwycięzcą.

— A pan to nie? ostro mię staruszek zapytał.

— Ja nie umiem, ja za młody do takich ćwiczeń, tłumaczyłem się, składając ręce.

— Za młody? *was?* A moje dzieciaki? Pozwólcie panowie, ja je tu sprowadzę.

I Niemiec, nie oczekując naszego pozwolenia, wyszedł do sieni i krzyknął: *Kinder, Kinder!* W oka mgnieniu pędziło po wschodach masę dzieciaków większych i mniej-

szych, odzianych w kuse koszulki. Pan Krystyjan wprowadził je do pokoju, ustawił szeregiem i zakomenderował:

— Ćwiczenie czwarte! *springs!* I dzieciaki, jak jeden, w górę fiknęły.

— Na dół! *klaps!* I dzieciaki padły, jak nieżywe.

— A! co? toś pan do takich rzeczy nie zdolny?

— Próbuj, mój chłopcze, przemówił do mnie pan Maryjan, biorąc kij w rękę.

— Nie mam ochoty.

— Skacz pan! zawołał Blutwurst.

— Musisz! zlituj się, skacz choć tylko raz jeden! zaklinał mię Fartuszkiewicz i ja, rad nie rad, musiałem kij przesadzić. Ale wysilenie było wielkie, bo aż w krzyżu coś trzasnęło!

— Zlitujcie się! boli.

— To nic; kości wchodzą w horyzont; skacz raz jeszcze!

— Ślicznie, będzie z ciebie człowiek; zdecydował pan Maryjan, gdy ja, zmęczony, upadł na krzesło.

— A znasz pan ćwiczenie dodatkowe? zapytał Krystyjan.

— Może widły? ot tak.

— Nie widły, ale na schodach.

— Na schodach? nie, nie znam.

— Chodź pan! *Kinder!* za mną! powiedział dyrektor i pierwszy wyszedł do sieni, a gdy świecę postawiliśmy na ziemi, krzyknął:

— Chłopaki w szereg: *eins, zwei, drei!*

— A co? zapytał, gdy dzieciaki, dawszy koziołka w powietrzu, skoczyły na dziesiąty gradus.

— Pyszne! wołał Fartuszkiewicz, podrygując do podobnegoż skoku.

— To mój wynalazek, pochwalił się Niemiec z niepomiarowaną dumą i zapytał: A drugą część, szlichtada, wynalazku profesora i magistra Müllera?

— Szlichtada?

— A tak; szlichtada z góry na dół, po poręczy od wschodów.

— To genialny pomysł! Panie, ja jadę.

— Pojedziem razem. *Kinder!* na koń, zakomenderował staruszek i wszystkie dzieciaki wskoczyły na poręcz, a na czele ich pan Maryjan i Krystyjan, z dumą na twarzy, z rozkoszą w oczach, poważnie zjeżdżali na dół.

— Teraz na pana kolój, znowu się do mnie zwrócili, a ja, czując, że się nie oprę ich natręctwu, solo przejechałem poręcz, zrobiłem kilka manewrów z hantlami i zmęczony, potem zlany, wzniosłem głos błagalny:

— Panowie, zlitujcie się! na dziś już dosyć!

Rozeszliśmy się. Ze złorzeczeniem na ustach kładłem się do łóżka, lecz, gdy zasnął snem głębokim; gdy się nazajutrz obudził z myślą trzeźwą, jak nigdy; gdy poczuł w całym ciele zbawienne skutki wczorajszej łamania, błogosławiłem Fartuszkiewicza i Blutwurstę i, nie zwlekając dłużej, kupiłem linkę, hantle i inne przyrządy.

Władysław Maleszewski.

7. Bitwa morska.

Gdyśmy się oddalili o 8 stopni od równika, nagle wzmógł się wiatr południowy i powiał na nas uraganem. Zaświszczały gwałtowne wichry, zolbrzymiały fale; musieliśmy zwinąć wszystkie żagle i zatarasować wszystkie luki i okna. Była to jedna z najsilniejszych burz, a do tego uragan powstał tak nagle, że nie miał czasu pochować wszystkich moich roślin, od tak dawna z dalekich stron wiezionych, i wielka część ich zginęła. W ciągu téj trzy dni trwającej burzy pękł maszt średni w połowie wysokości i ciężarem swoim zwałił średni przy samej osadzie. Wielkim cudem udało nam się uratować złamane maszty;

ciągnęliśmy je za sobą linami. Czwartej nocy burza poczęła się uciszać i następującego poranku ujrzelśmy się blisko dziewiątego stopnia szerokości północnej, a podług obrachowań naszych, dość blisko brzegów afrykańskich. Morze jeszcze bardzo wysoko się bałważyło, widnokręgu też jeszcze nie można było obejrzeć. Czekaliśmy dzień cały uspokojenia fali; naręszcie wiatr prawie całkiem ustał, a jeżeli zawiał, to już stale od strony południowej. Nie tracąc czasu wzięto się do wciągnięcia połamanych masztów na pokład, a gdy się morze wieczorem dnia tego uspokoiło, midszypman Tikury ujrzał, może o milę od nas ku brzegom Afryki, jakiś wielki okręt, ze średniego i tylnego masztów zupełnie ogołocony, i dodał, że na pokładzie tego okrętu krzątało się bardzo wielu murzynów. Żaden z nas nie miał tak bystrego oka, żeby zpomiedzy bałwanów, wznoszących się blisko na tysiąc stóp, mógł dojrzyć okręt, tylko czasami na grzbiecie ich unoszony, aleśmy w zupełności zaufali bystrym oczom Tikurego i przez całą noc, trzymając się prądu fali, narządzaliśmy z niezmierną czynnością nasze maszty. Dzieła tego nie bardzo trudno było dokonać przez noc jedną za pomocą licznej naszej załogi. W ciągu nocy morze uspokoiło się zupełnie, a nazajutrz po wschodzie słońca Tikury ujrzał przez lunetę, o jakie dwie mile w tyle za okrętem naszym, statek tenże sam, co dnia poprzedniego, ze zwiniętymi żaglami, naprawiający dwa maszty. Ze trzydziestu murzynów i może dwudziestu europejczyków krzątało się na jego pomoście. My sami już widzieliśmy statek, ale murzynów na nim nie zdołaliśmy rozeznąć. Na zapewnienie jednak midszypmana kapitan rozkazał zbliżać się krzyżową sztuką do statku, a nawet tył mu zająć, w przypuszczeniu, że to zapewne jest jaki okręt, przewożący niewolników z Afryki do Ameryki, który śród burzy utracił maszty i znajdował się w niebezpieczeństwie.

— Może będzie bójka, jeżeli midszypman Tikury dobrze widział, — zawołano natychmiast na okręcie i cała załoga, oddawna do boju wzdychająca, rozgrzana nadzieją walki, wyszła na pokład.

Dalszy ciąg.

Wiadomo, że mocarstwa morskie Europy i Ameryki zbrojną ręką postanowiły ścigać i karać śmiercią handlarzy niewolników, a my, jako statek półwojenny, mieliśmy na to upoważnienie od ministra marynarki.

Gzygzakiem podsuwaliśmy się z wiatrem południowym ku południowi i nareszcie w połowie dnia, manewrując z jak największą umiejętnością, stanęliśmy o strzał armatni po za okrętem, który właśnie w téj chwili skończył naprawę swoich masztów, zaciągnął żagle i wiatrem południowym uciekał na wschód ku znanym sobie brzegom Afryki.

— To zły znak; biegnijmy za nim i zapytajmy się ślepym ładunkiem i wywieszeniem flagi, z jakiego on kraju, — powie kapitan.

Rozkaz wykonano natychmiast. Okręt uciekający wywiesił flagę Stanów Zjednoczonych Ameryki.

— Wrono w pawich piórach! znamy się na takich figlach; czemużbyś uciekał ku groźnym brzegom Afryki, gdybyś miał dobrze wizowane paszporta, — rzeknie kapitan i krzyknie:

— Hola! z przedniej koronady wypalić ślepo, a flagę wizytową Francji na maszt średni wywiesić!

Statek poszlakowany, postrzegłszy tę flagę, umyka siłą wszystkich żagli ku brzegom, nie zatrzymując się, ani odpowiadając. My pod przekątnią staramy się zabiedz mu drogę. Gonitwa trwała z pół godziny. Midszypman

Tikury z gniazda bocianiego krzyczy przez tubę, że na widnokręgu wschodnim ukazują się jakieś wysokie brzegi.

— To brzegi Afryki! dalej wiara! uszy do góry! baczność! będzie bójka; rozpiąć wszystkie żagle! wszystkie działa nabić, w trąby i bębny uderzyć! haki do chwytania mieć w pogotowiu! wnieść na pokład ręczne granaty! z dwóch koronad przednich mierzyć w żagle, jak najcelniej, jak najbliższej masztów! ognia!

Ryknęły działa; obie kule trafiły w żagle, z których liczne szmaty wyleciały w powietrze.

— Dobrze! jeszcze raz! czym prędzej! — krzyknął kapitan.

Jeszcze raz ryknęły ogromne armaty; kawał masztu upadł z uciekającego okrętu.

— Jeszcze ciągle z koronad przednich! dzielnie, tak, jak dotąd! wybornie, bombardyjery!

W kilku minutach dano jeszcze dziesięć razy ognia do uciekającego, cały prawie bort nadstawiającego okrętu. Musiał zwolnić biegu, bośmy niemało uszkodzili mu żagle. Ale oto zatrzymuje się; wzdłuż prawego burtu jego błyska jednym szeregiem dwanaście okiennic białych; flaga amerykańska znika z masztu, a ukazuje się flaga czerwona z trzema czarnymi głowami w środku.

— Aha! teraz cię poznajemy! terazes wyraźny murzyniarz i zbójca morski w potrzebie. Ale dwanaście z boku, do licha! to dwa razy więcej, niż my mamy, rzecze kapitan i doda ze smutkiem: — trzeba będzie zaprzestać gonitwy; zanadto byśmy stracili ludzi i może nie odnieśli zwycięstwa.

Wtém przypada Alfons i, jak gdyby odgadł myśl kapitana, rzecze:

— Nie ma żadnych koronad wielkiego kalibru, ani tak licznej siły zbrojnej, jak my, ani też może mieć tak wyćwiczonych kanonijerów. Kapitanie! na miłość Boga!

nie odstępujemy od zaczętego dzieła; patrzy na nas Francja i ludzkość. Dalej! każ dać ognia, ale wprzód ściagnij widetę z gniazda bocianiego; szkoda byłoby postradać takiego ostrowidza, jak Tikury, a łatwo zginąć może, gdy całym borem do nas palną.

— Więc w imię boskie, dalej na łotra, urągającego się z naszej flagi, — rzeknie kapitan i gdy wszystkie luki na pokładzie zamknięto, kazał zejść midszypmanowi Tikury na galeryję wewnętrzną drugiego pomostu i dać ognia z prawego burtu, mierząc zawsze w żagle i maszty nieprzyjaciela.

Dalszy ciąg.

Zarykły działa, zaświszczały kule; płaty, jak stadò gołębi, spadły z żagli murzyniarza. Teraz on, nadstawiający dotychczas tyłu, dał pół obrotu na prawo i od razu z dwunastu dział do nas wypalił. W chwili, gdy ujrzelismy dym, wydziérający się jednym długim pasem z burtu, uczuliliśmy także siłę żelaza w żaglach i na pomoście, ale, nim jeszcze statek nieprzyjacielski zdążył zwrócić się drugim borem, kule przednich naszych koronad, prawego burtu i tylnej ogromnej koronady tak go dzielnie dosięgły, iż maszt jeden zwałił mu się na pokład, a zanim go mogli uprzętnąć i wrzucić w wodę, my, ciągle się przybliżając, daliśmy z pięć razy ognia ze wszystkich dział i to nie śpiesząc się, lecz dobrze célując w serce, boki i tyły piratu.

Teraz wszczął się bój morderczy na odległość nie więcej, jak pięciuset kroków; żagli zachowaliśmy tylko tyle, ile koniecznie wypadało dla obracania okrętem; z trzech naszych koronad już mogliśmy prażyć kartaczami. Wtém i my tracimy maszt przedni. Spozstrzega to pirat i chce umknąć z placu. Z przerażeniem spozstrzegamy

w wodzie falami morskimi miotanych, tonących, kajdanami do siebie przykutych murzynów. Ani można ratować tych biédaków, powiązanych z sobą, jak sznurek paciorków. Wszyscy prawie potonęli, wydając okropne jęki; tylko coś kilka kobiet, osobno do siebie przykutych, zdolano ocalić.

— Maszt wrzucić w wodę! gonić za zbójcą i łapać go na haki! krzyczy Alfons, obejmując samowolnie dowództwo, bo kapitan, ranny drzazgą w głowę, pada i omdléwa.

Cała załoga usłuchała najchętniej rozkazu sprężystego Alfonsa; w oka mgnieniu wykonywa to wszystko, rzuca się do żagli, korzystając z nowego powiewu wiatru. Stary Siurkuf najchętniej ulega rozkazom najmłodszego z swych kolegów, zagrzewa do boju, pilnuje, aby wykonywano wszystko, co młody Alfons rozkaże. Już jeden obłok dymu ogarnął obadwa okręty; już odzywają się strzały z ręcznej broni wymierzone, granaty ręczne dosięgają. Porucznik Siurkuf dostaje kulą karabinową w udo, ale nie odstępował komendy, kierując jak najskuteczniej obrótami statku i ogniem z ręcznej broni.

Wtém rozległo się stuknięcie; cały statek zadrżał we wszystkich szczelinach.

— Na pokład wroga! na pokład szturmem! *à l'abordage!*

Cała nasza załoga, prócz zajętych przy bateriach i ciężko rannych, wszyscy, co tylko bronią władać mogą, wskakują za Alfonsem na statek nieprzyjacielski, na którym z piętnastu Europejczyków i z dwudziestu murzynów, w hufiec zbici, bronią się zacięcie.

Okropny zgielek na tym statku, na którym świszczały kule we wszystkich kierunkach, pękały ręczne granaty, a siékiéry, pałasze i sztylety godziły na wszystkie strony.

Wrzała straszna walka na krwią zalanym murzyniarzu. Broniono się zacięcie; herszt na czele zbójców sieje śmierć około siebie, walczy jak lew, ale Alfons rzuca się na czele garstki wybranych na broniących się rozpaczliwie zbójców, z boku do niej pali porucznik Siurkuf z działa, nabitego półkwartą grubego siekańca. Pada herszt i na czworakach czołga się ku prochowni, aby okręt w powietrze wysadzić, ale topór Alfonsa gruchocze mu rękę. Poddaje się nakoniec reszta zbójców na łaskę i niełaskę, a flaga Francyi powiewa na krwią zalanym statku.

Walka ustała właśnie w chwili, gdy słońce zaczynało zapadać w Atlantyk. Zupełna cisza zaległa horyzont. Nagły ten przechód z ruchu do spokojności miał w sobie coś niezmiernie uroczystego. Tylko jęki i narzekania rannych i umierających przerywały tę poważną ciszę.

Teodor Tryplin. 1855.

8. B i é d a.

(Podanie gminne).

We wsi niedaleko Narwi, ponad brzegami strumienia, co krętém łózyskiem wpadał do téj rzeki, mieszkało dwóch braci rodzonych: Jonek i Antek. Starszy Jonek objął po rodzicach gospodarstwo i pierwszy się ożenił. Antek z początku mu pomagał, potem chodził na zarobek, czas jakiś służył we dworze, a zabiegły i chciwy, zebrał niemało grosiwa, wreszcie ożenił się z córką bogatęj wdowy.

Przez ten czas Jonkowi Pan Bóg jakoś nie darzył, chociaż był człowiekiem pobożnym, pracowitym i miłosierdnym. Naprzód zachorowała mu żona, a ledwie się podniosła z ciężkiej choroby, czworo dziatwy zapadło mu na zimnicę. Jonek, co ostatni grosz na ratunek swéj żony wyłożył, teraz musiał pożyczyć na wysoki procent od brata. Nie dosyć jednéj niedoli: padły mu dwie krowy,

wół okulał, koń zdechł na nosaciznę. Na dobitkę nieszczęścia grad wybił mu oziminę.

Tyle klęsk złamało biednego Jonka; pożyczał, a pożyczał od brata. Antek dawał, bo zapragnął chaty i gospodarstwa bratowego. Jakoż niedługo, po porachunku, Jonek musiał się wynieść z ojcowizny i osiadł w pustej chacie na samym końcu wioski. Płakał, jak bóbr, rzewnemi łzami i żona i dzieci siedmioro, gdy ostatni raz ucałował próg chaty, w której się urodził.

Na plecach przenieśli swoją chudobę, bo nieludzki Antek odmówił fury. Karczmarz kupił pozostałego wołu za wpół darmo. Z Jonka, zamożnego gospodarza, stał się wyrobnik. Przy pustej chacie miał tylko mały warzywny ogródek i kilka zagonów pod kartofle i kapustę, które skrzętnie uprawiała żona z dziećmi. Tak w biedzie przetrwali długie lata, a gdy Antek był nie tylko we wsi, ale w całej okolicy najbogatszym gospodarzem, Jonek był najuboższym zagrodnikiem.

Bogaty Antek wyprawiał sute wesele najstarszej córce, gdy głód zajrzał do chaty Jonka. Kiedy Jonek poszedł do kościoła, zobaczył brata, bratową i ich dzieci postrojonych, siedzących w pierwszych ławkach. Organista hucznie przygrywał, a Jonek w kąciку płakał, drżąc z zimna i głodu.

Zdala za weselnym orszakiem szedł Jonek, ociérając łzy gorzkie, i mimowoli do dawnego guiazda przyszedł, co przypomniało mu jego lata dziecięce. Kapela w izbie grzmiała; Jonek stanął w sieni na uboczu, a gdy ujrzał brata, jak dumnie przechodził, „panie bracie“, rzekł uradowany, drżącym głosem, „Boże błogosław; jam głodny, żona i dziatwa głodne, wspomóżcie mię w tym dniu, tak dla was uroczystym“.

Właśnie w téj chwili swacha niosła misę pieczonego mięsiwa. Antek spojrzał groźnie na brata, a mrucząc,

„próżniaków nie wspomagam“, odrzekł, wziął gnat prawie bez mięsa i podał Jonkowi.

Ten, na poły struchlały z oburzenia i rozpacz, wziął gnat w rękę, sam nie wiedząc, co robi, i wybiegł na wieś. Rozpacz złe tylko rady daje; teraz poszepnęła mu do ucha: „co masz taką biędę znosić! ot idź do strumienia przy dąbrowie, tam głębia, to i skończysz wszystkie cierpienia“.

Jonek, jakby usłyszał głos anioła stróża, już nie szedł, ale biegł do dąbrowy. Kiedy stanął nad głębiną strumienia, poczuł głód większy, usiadł na łączce i zaczął darowany gnat ogryzać z odrobin mięsiwa.

Gdy tak chciwie zajada, uczuł jakby na ramionach lekkie dotknięcie, a potem cichą prośbę:

„Daj i mnie trochę mięsa, daj i mnie!“

Jonek obejrzał się poza siebie i ujrzał wysokie kości-
ste widmo, które tak cienka skóra powlekała, że je na
wskrós przejrzałeś. Oblicze miało chude, wybladłe, oczy
zapadłe i podsiniałe. Przy trupiej białości dziwnie odbi-
jały różane usta i białe zęby. Nagość swoją okrywało
płachtą z pajęczyny, brudną, jak ściérka zszarzana, ale
przezroczystą. Na głowie miało wianek z uschlęj i kru-
chój paproci. Jonek był chłop dobrego wzrostu, widmo
przenosiło go o całą głowę.

Chociaż to była straszna postać, Jonek jakoś się nie
przestraszył, ale, patrząc na nią, rzekł z uśmiechem:

— Cóż ty chcesz, żebym ci dał, kiedy widzisz, że to
kość prawie naga?

— Musisz mi dać resztki—, wyszeptano widmo z ci-
cha, — muszę choć polizać, bo ja jestem twoją biędą, co
ci od lat tylu towarzyszę po bratersku.

Na te słowa zerwał się Jonek na równe nogi.

— A! ty pogańskie plemię!— krzyknął w uniesieniu,
—to z twojej przyczyny mrę głód z rodziną, to ty nanio-
słaś mi niedolę! Dobrze, żem cię spotkał; teraz cię zabi-
ję, choćbym zgnił w kajdanach!

Ale bięda, nie ruszając się z miejsca, spokojnie odrzekła:

— A cóż mi zrobisz, biędny człowieku, kiedy mnie nikt ani zabić, ani zranić nie może. Ciało moje z mgły nie zachowa śladu uderzenia, jak nie masz śladu po wężu, co się przesunie po łące. Słuchaj mnie, oddaj mi swoją kość, a na kilka godzin opuszczę ciebie, żonę i dzieci, i zostawię was w pokoju.

Na to wspomnienie ochłonął od razu Jonek i ze łzami w oczach podał biędzie gnát, trzymany w ręku.

Bięda chciwie go schwytała, ogryzła żyły, które były na nim jeszcze, a dojrawszy trochę szpiku w głębi otworu kości, włożyła w środek rękę jedną i drugą, potem głowę, i wreszcie cała się tam wsunęła tak, iż tylko długie a chude nożyska zwisały.

Jonkowi przychodzi szczęśliwa myśl do głowy. Co prędzej kawałek gałęzi kozikiem zastrugał, porwał kość, wepchnął w rurę nogi biędy i zabił doskonale przygotowanym kołkiem, poczem w tę samą głębokość rzucił kość i zatopił.

Dalszy ciąg.

Zaledwie strumień zaszumiał, Jonek uczuł w duszy szczególny spokój: serce napełniła mu dziwna radość i po wielu latach pierwszy raz odetchnął z całą swobodą.

Rad i rzeźwy, wraca do swęj chaty; koło karczmy zastępuje mu kilku sąsiadów; każdy go ściska i całuje, a zaprasza na kieliszek. Trudno było odmówić. Za stołem zaczęli pocchiwi sąsiedzi przypominać sobie dawne czasy, zamożność Jonka, jego pracowitość i miłosierdzie i czyste, zawsze sumienne z każdym postępowanie. Przyszło do rozczuleń wzajemnych, aż w końcu jeden z sąsiadów podał myśl, czyby Jonek nie wziął z niemi udziału

w wyrąbaniu siągów w pobliskim lesie i zawiezieniu ich do miasta. Napróżno się im Jonek tłumaczył swoją biedą i brakiem inwentarza; najstarszy wiekiem zaraz powstał, a dobywszy z trzosa sześćset złotych, zaliczył mu, żeby się w swój chudobie ogarnął i dobrego konia kupił.

Plakał z radości Jonek, w końcu przyjął ofiarę i spółkę. Wraca do chaty; na progu wita go uradowana żona i wesola dziatwa. Ktoś uwiadomił dwór o strasznej nędzy całej téj rodziny; przysłano im całą furę mąki, zboża, słoniny, kaszy i grochu, a nadto sto złotych.

Jonek słuchał o wszystkiém, jakby o cudzie boskim, ukląkł z żoną i dziećmi przed obrazkiem Matki Boskiej, a po gorącej modlitwie opowiedział wiernie swoje przygody.

Odtąd wszystko szło mu, jak z płatka. Wybudował sobie nową chatę, zakupił całe przyległe gospodarstwo. Parę dobrych koni rżało u żłobu, cztery krowy dojne i dwie pary wołów stało w oborze. Teraz sam zajęty robotą w lesie, przyjął dwóch parobków, a żonie dziewczę do pomocy. I nie brakło mu nic, jéno, jak mówią, ptasiego mléka.

Zazdrosny Antek zdumiał się nad nagłym szczęściem brata; powoli więc zbliżył się do niego i, przyjacielskiém wabiąc słówkiem, zaprosił do siebie na kieliszek krupniku¹⁾.

Jonek, co miał zawsze dobre serce, przyjął zaprosiny. Po jednym i drugim kieliszku zmieknął zaraz, a gdy brat rzucił podejrzenie o nieuczciwym sposobie poprawienia swój doli, wówczas opowiedział mu wiernie całe swoje zdarzenie z biedą.

Na to czekał chytry Judasz. Uściskawszy brata niby to czule i serdecznie, pobiegł czym prędzej do strumienia. Długą tyką dobył kości, a gdy wyrwał drewniany kołek,

¹⁾ Wódka z miodem i korzeniami.

zabity ręką Jonka, bięda, wyskoczywszy ze swego więzienia, porwała go w swe objęcia i zawołała uszczęśliwiona:

— O! mój wspaniały wybawco, teraz ciebie trzymać się będę wiernie i do śmierci cię nie opuszczę.

Struchlał zły Antek na te słowa, bo biędę chciał wypuścić na brata, a ona jego się uczepiła i zaraz doznała smutnych skutków.

Gdy dochodził do domu, ujrzał gumna swoje w płomieniach; krowy na pastniku pies wściekły pokąsał; konie jedne z jakiejś zarazy padły w stajni, drugie następnej nocy podusiły wilki.

W kilka dni Antek był równym nędzarzem, jak brat jego niedawno. Ale poczciwy Jonek nie odmówił mu swęj pomocy: wspierał go, ile sił, choć wszystko szło w marność. Niedługo Antek ze zgryzoty umarł, a bięda dopiero wtedy opuściła osieroconą wdowę i dzieci, przenosząc się do innego wieśniaka.

Kaź. Wład. Wójcicki. 1865.

9. Pokora synowska.

Gdy Franciszek Karpiński, nauki filozoficzne ukończywszy, do domu przybył i gdy zaraz miał sposobność zwrócić na siebie uwagę mową, na pogrzebie Roszczyna, porucznika pancernego, wyrzeczoną, ucieszony ojciec zaprosił na biesiadę sąsiadów, z powodu szczęśliwego ukończenia nauk przez syna. Z rana, nim się goście zjechali, chodził po pokoju szerokim krokiem, zadając pytania pokornie stojącemu synowi. Między innemi rzekł: „Czy, jako nowy filozof, nie zapomniałeś czci dla wiary i ojca?“ Syn odpowiedział, iż ucałuje rękę, gdyby go kiedyś za podobny występек ukarać miała. Ucieszył się ojciec tą odpowiedzią, jednakże, jakby nie mogąc w oczach syna prawdy wyczytać, wpatrując się w niego, dał mu policzek;

łzami zalany stał syn milczący. Po téj próbie wezbrało się uczucie ojcowskie, przycisnął syna do piersi i, łzami go oblewając, rzekł: „Doświadczyć cię chciałem; będziesz dobrym obywatelem, gdyś nie zapomniał synowskiej pokory“.

Kazimiérz Brodziński.

10. Armata pod Nieświeżem.

Pewnego dnia u króla w Łazienkach opowiadał Radziwiłł, że pod Nieświeżem leży na polu tak wielka armata, pozostała po Szwedach, iż raz, wracając z wizyty w ogromny dół i widząc zamek jeszcze odległym, kazał wjechać w ową armatę, dla ochrony przed burzą. Słuchający panowie dziwili się z niedowierzaniem ogromowi szwedzkiej śmigownicy; wtenczas Radziwiłł, odwołując się na świadectwo jednego ze swoich dworzan: „Borowski! powiedzże, panie kochanku, czy to nie prawda?“ — „Tak, wielka prawda“, odrzekł dowcipny dworak, „gdyż ja właśnie w tę samą porę schroniłem się był bryczką parokonną w armatę, ale postrzegłszy, że J. O. Księżę wali poczwórną karetą, wyjechałem czym prędzej zapałem, ażeby nie zaważać księciu.

11. Kominiarczyk królewski.

Król Stanisław August Poniatowski zwykle po obiedzie godzinę sypiał, a miał po temu za szklanym parawanem sofkę wygodną, gdzie, niewidziany od nikogo, spoczywał. Kiedy się zabiérał do téj drzémki, zdjémował pierścienie z palców, zegarki, których dwa nosił wedle ówczesnego zwyczaju, tabakierkę i inne drobiazgi, i składał to wszystko na małym stolczku przy marmurowym kominie.

W dniu jesiennym, pochmurnym, po obiedzie już się król położył i zaczął drzémac, kiedy usłyszał jakiś łoskot ponad sufitem pokoju, który się coraz więcej zbliżał i stawał się wyraźniejszym i głośniejszym. Król podniósł głowę, słysząc łoskot ten w samym pokoju, zerwał się i usiadł na sofce, patrząc zza szklanego parawanu, coby to być mogło.

Nagle w marmurowym kominie coś zaśsześciło i z czeluści jego wyskoczył mały, zawałany kominiarczyk, dziecina, mający może siedem lat, lub osiem najwięcej. Chłopczyk przetarł oczy z sadzy, ujrawszy tak pięknie pokój przystrojony, naprzód zdjął czapkę, potem się przeżegnał, myśląc, że to kaplica jaka. Króla sen odbiegł i z uśmiechem poglądał, co będzie dalej robił kominiarczyk. Ten, oswoiwszy się nieco z miejscem, obejrzał się śmieliej, a nie widząc nikogo, bo króla dobrze parawan zasłaniał, dojrzał nagle pierścienie, zegarki i łańcuch złoty na stole; powkładał więc sobie na palce, zawiesił łańcuch na szyi, a włożywszy zegarki za koszulę, zwiesił bogate i duże dżewiszki i tak wystrojony stanął sobie przed wielkiem zwierciadłem. Gdy się przejrzał, tak był rad, że się sam sobie uklonił, po czém zaczął zlekka świstać i tańczyć. Król tłumił śmiech w sobie, a patrzył z zajęciem na koniec tego widowiska. Niedługo chłopak zmęczony, po chwili spoczynku, zdjął pierścienie, łańcuch i zegarki, wszystko na dawném miejscu ułożył, a gdy się opatrzył, że nic przy nim nie zostało, przeżegnał się i znikł w kominie.

Króla wielce ubawiła ta scena; kazał, żeby zaraz dowiedziano się o chłopcu i żeby go przyprowadzono. Wyszukano kominiarczyka, umyto i ubrano czysto. Zpod czarnej sadzy wyjrzała twarzyczka czerstwa, wesoła, z rozumnym spojrzeniem. Król się go spytał, czy to on, co przybierał się w pierścienie i złote łańcuchy, a gdy chłop-

czyna z trwogą przyznał się dobrowolnie do téj winy, Stanisław August pogłaskał go po zbladłej ze strachu twarzy, dał mu piękny prezent i kazał go uczyć w szkołach, bo, ośmielony łaską monarszą, oświadczył chęć do nauk, z porzuceniem stanu kominiarskiego.

Nazwano go odtąd kominiarczykiem królewskim; w szkołach również nosił ten tytuł, z którego się nawet, już w młodości wyrosły, chlubił. W kilkanaście lat wszedł do wojska; służył w artylerii i w 1792 roku, w oczach księcia Józefa Poniatowskiego, celując działo, od kuli armatniej poległ.

Król, dowiedziawszy się o śmierci kominiarczyka królewskiego, wielce go żałował, bo z tego małego chłopczyzny wzrósł żołnierz, równie zdatny, jak waleczny.

POEZYJE.

I. POEZYJE LIRYCZNE.

1. Modlitwa dzieci.

Boże! w Twoje imię święte
Zaczynamy prace dzienne,
Bo, w ten sposób rozpoczęte,
Plony dadzą nam zbawienne.

Czy zabawa, czy nauka,
Niech zaczyna się od Ciebie,
A kto Twego wsparcia szuka,
W każddej dozna go potrzebie.

Gdy się modlą dobre dziatki,
Ty ich prośbom czynisz zadość

I dla ojca i dla matki
Zesłać raczysz zdrowie, radość.

Wszakże Chrystus, co świat zbawił
Przez najświętszą krwi ofiarę,
Gdy prawdziwą głosił wiarę,
Dobrym dziatkom błogosławił.

Pobłogosław i nam, Panie,
Pozwól w enotach się ustalić,
Byśmy mogli w każdym stanie
Bliźnich wspierać, Ciebie chwalić.

2. Modlitwa za rodziców.

Kiedy w porannej rozmyślań godzinie
Do Ciebie, Boże, modły swoje wnoszę,
Nad inne tkliwiej jedna w niebo płynie,
I dłużej, rzewniej Cię proszę,
Ze łąką miłości wnosząc to błaganie:
Rodzicom moim pobłogosław, Panie!

A prośbę taką Ty przyjmiesz tam w niebie,
Ojcu i matce łask użyczysz swoich,

Bo modły dziecka miłe są u ciebie
 I błagań wysłuchasz moich.
 Przed tron Twój, Boże, wznoszę więc błaganie:
 Rodzicom moim pobłogosław, Panie!

Oni to, Boże, wiedli mię do Ciebie;
 A gdy Cię całém sercem ukochałam,
 Boże mój, Ojczy, który jesteś w niebie,
 W nich ja Twój obraz widziałam,
 I z większą jeszcze czcią wzniosłam błaganie:
 Rodzicom moim pobłogosław, Panie!

Czucie miłości, co mię łączy z niemi,
 Tyś sam wlał w serce, niepojęty Boże,
 Tyś sam zjednoczył węzłami świętymi,
 Których nikt zerwać nie może.
 Więc z wiarą w Ciebie wznoszę to błaganie:
 Rodzicom moim pobłogosław, Panie!

Niech własne dziecko nieba im przychyli
 I dni ich życia niech szczęściem otoczy,
 A serca nasze w każdej życia chwili,
 Święta niech miłość jednoczy.
 O! Boże wielki, przyjm moje błaganie,
 Rodzicom moim pobłogosław, Panie!

F. P.

3. Do mojego domku.

Witaj, domku mój rodzinny,
 Dworku biały z facyjatką;
 W tychto ścianach wiek dziecinny
 Przepędziłem z ojcem, z matką.

Biały domku ukochany,
 Każdy kącik sercu drogi;
 Miłe sercu cztery ściany;
 Dziś całuję twoje progi.

Tu mi życie matka dała
 Moja dobra matka droga;

Tu mię matka wychowała
 I uczyła kochać Boga.

Tu mię ojciec mój pocziwy,
 Dobry ojciec, choć surowy,
 Czcic nauczał wiek sędziwy,
 Słodkiej sercu uczył mowy.

Witaj, domku mój drewniany,
 Pełen wspomnień i pamiątek;
 Witaj, domku ukochany,
 Drogi skarbie świętych szczątek!

Pod tém drzewem rozłożystém	Przeminęła mi jutrzienka;
Ptasząt śpiw u ja słuchałem;	Dni dziecięcych zwiędły kwiatki,
Dziecko jeszcze, sercem czystém	Lecz mi w duszy brzmi piosenka,
Z każdym kwiatkiem rozmawiałem.	Com ja słyszał od méj matki.

W kropli rosy kryształowój,	O! czas dąży chyżym krokiem;
Co zdobila kwiatki, ziolka,	Gdzie był uśmiech, dziś mogiły;
Bóg malował świat różowy,	Żegnam cię znów łzawém okiem,
A jam widział tam aniołka.	Mój rodzinny domku miły.

O! to były chwilę błogie,	Żegnam drogie twoje ściany;
Niewinnością dziecka tchnące;	Głos przyszłości brzmi zdaleka;
Przeminęły dni te drogie,	Idę, idę w świat nieznany.
Pozostały łyzy gorące.	Gdzie powinność na mnie czeka.

1852.

4. Muszę śpiewać.

Wiem, że głos mój przeminie,	O! mój Boże, mój Panie,
Jak głos fletu w dolinie,	Przyjmże moje śpiewanie,
Jak młodzieńcze marzenie,	Jak przyjmujesz z krzewiny
Jak serdeczne westchnienie,	Świegot biednej ptaszyny.

Jednak śpiewać ja muszę,	O! mój Boże, mój Panie,
Póki piersi nie skruszę,	Przyjm to moje śpiewanie
Póki deska grobowa	Jak przyjmujesz szmer fali,
Przed ludźmi mię nie schowa.	Co tam niknie gdzieś w dali.

O! mój Boże, mój Panie,	A niech bracia rówieśni,
Przyjm to moje śpiewanie,	Ucieszą się z méj pieśni.
Jak przyjmujesz w kościele	
Polne kwiatki i ziele.	

Karol Baliński. 1854.

5. W i o c h n a.

Już słoneczko powstało	Jakto z brzozy płaczącój,
I przegląda się w rzece;	Co wyrosła nad rzeką,
Oj! na rosę na białą,	Krople rosy świecącój
Poleceż ja, poleceż!	Zwieszają się i cieką!

Jakie jasne obłoki
Na niebieskim przestworze,
Jakie czyste potoki,
O! mój Boże! mój Boże!.....
Jaskółeczka przed bramą
Wciąż uwija się w kółko!
Ja nie jestem jaskółką,
A potrafię tak samo.
Teraz matki się boję,
Lecz niech ogień rozniecę,
Niechno krówki wydoję,
Poleceż ja, poleceż!.....

Jak to dobrze Bóg zrobił,
Że ten śliczny świat stworzył;
Tak go cudnie ozdobił,
Tyle kwiecica rozmnożył,
I że dał mi braciszka,
Z którym co dzień się pieszczę;
Pójdę cicho, jak myszka,
Zajrzeć, czy też śpi jeszcze.
Śpi w kolébce; więc dalej
Prędko ognia trza skrzesać;
Jak się ogień rozpali,
Pójdę włosy uczesać.
A robotaż to nudna
Te warkocze do ziemi,
Płatanina, och! zmudna,
Tak tam bawić się z niemi.....

Kiedy mówią o oczach,
W których ja nie nie widzę,
I o moich warkoczach,
To się tylko nawstydzę;
Skarżę się też, mój Boże,
Że mam oczy uroczone;
Może prawda, a może.....
Ale cóż ja z tém pocznę?

Matenka mi powiada,
Że ja wcale nie rosnę,
Niechno tylko popada
Ciepły dészczyk na wiosnę;
Niech ja na dészcz wyskoczę,
Niech się dobrze przemoczę,
To, nim skończy się burza,
Już urosnę tak duża.....

Pająk przedzie, oj! przedzie
Swoje szare włókienko;
I ja umię tak cienko,
Tak i moje też będzie,
Bo ja przecież coś umię:
Kądział przędę i i pielę
I na książce rozumię
I zaśpięwam w kościele.

Jakem raz na święcone
Ulepiła baranka,
Co miał wełnę kręconę
I klęczące kolanka,
To się bardzo dziwiono,
Bo tak siedział, jak żywy,
Jak baranek prawdziwy,
Z chorągiewką czerwoną.

Jak zrobiłam w Trzy Króle
Świątą Pannę i Syna,
I czarnego murzyna
Ze skarbami w szkatule,
I z lilią staruszką,
I z lirenką pastuszką,
To się ludzie zbiegali,
Z całej wioski lecieli
I za głowy się brali,
Matce wierzyć nie chcieli.

A gaiki, a wianki
W listki srebrne i złote,

Jakie chcecie równianki
Jak najpiękniej uplotę,
Kwiatki lubię ogniście,
Boże drzewko, lilije,
I to, co tak na liście
I na prątki się wije.

Oj! nie dobra to córka,
Co się próżno zabawia!
Dalej-że do podwórka,
Trzeba ciągnąć zórawia.
Oj! da, da, da..... A! cicho;
Matka będzie się gniewać,
Podkusiło mnie lichu,
Chciałam sobie zaśpiwać.....

Idzie w górę wiaderko,
Z boku woda się leje,
Zajrzę w wody lusterko,
W niem ja druga się śmieję.
Jak też to tam głęboko,
Nim się wiadro zabrodzi,
To aż wzdryga się oko,
Aż mnie zimno przechodzi.
Nie nie spotka mię złego,
Choć nad studnią tak stoję;
Nie boję się niczego.
Oho! prawda, nie boję?
Naprzód straszą mnie bąki,
Co latają w ogrodzie,
Żółte osy z nad łąki
I jałówka, co bodzie.
Potém boję się tęczy
Na wilgotnym obłoku,
Choć się do mnie tak wdzieczy,
Pijąc wodę z potoku.
Bo ta tęcza świecąca,
Gdybym poszła, broń Boże,
Z ziemi unieść mnie może
Do białego miesiąca.

Wreszcie trwożą mnie grzmoty
I piorunów trzaskania,
Kiedy niebios blask złoty
Tak się strasznie odsłania.
Lecz w kościele nie czuję
By najmniejszej bojaźni;
Mnie tam radość przejmuję;
W sercu jeszcze mi raźniej.
Tak mi rześwo, wesolo,
Jak u matki w chałupie.
Ludzie szepeczą w okolo:
„Ot! cieszy się, bo głupie“;
A! co mi tam, niech sobie.....
Mnie ogarnia myśl błoga,
Co ja robię? co-robię?
Raduję się do Boga.
Kiedyc może skowronek,
Wylatując nad kłosy,
Jak świt tylko, jak dzionek,
Trzepotać się w niebiosy,
To i mnie nikt nie wzbroni
Przed ołtarza jasnością
Złożyć oto tak dłoni,
I spoglądać z radością.
U spowiedzi gdym była,
Ksiądz, co ludzi spowiada,
Mówił, gdybym zgrzeszyła,
Że pokutę mi zada.
Więc umyślnie dlatego
Dziś grzeszyłam od rana:
Na stół miodu złotego
Usączyłam ze dzbana.
Niechże zada raz przecie,
Bo bym sobie myślała:
Otóż żyłam na świecie,
A pokutym nie znała.

Jako ptaszek na roli,
Prześpiewałam dni płoche,

I nie znałam niedoli....
Oj! znam-ci ją, znam trochę.
Już trzy razem płakała,
I serdecznie, mój Boże!
Raz, gdy babka skołała
W téj tam ciemnej komorze,
A drugi raz, gdy w nocy,
Ludzie po wsi biegali,
Krzycząc na gwałt pomocy,
Że kościółek się pali,
A trzeci raz, gdy w progi
Przyszędł dziadek pochyły,
Taki oto ubogi,
Ale dobry i miły,
I piosenka zabrzmiała;

Wtędym bardzo płakała,
Całowałam go w rękę,
„Nie smućcie się, dziadulu“,
A lzy żalu i bólu
Upadły mu w lirenkę.

Z za mgły słońce powstało,
Wronka kracze na roli,
Nie wiem, co mi się stało,
Coś mnie smuci, coś boli.
To chce mi się zapłakać,
To mnie pusta myśl łechce,
Weselić się i skakać
I chciałabym i nie chcę.....

Teofil Lenartowicz.

II. POEZYJE EPICZNE.

A). OBRAZY I OPISANIA.

1. Mały światek.

Dworek.

Jak ja to sobie
Domek ozdobię,
Ten modrzewiowy
Dworzec ojcowy!

Najpiérw przed drzwiami
Lipę zasadzę;
W koło płotami
Sad oprowadzę.
Będzie przy wodzie
Pięknie ciosana
Kamienną postać
Świątęgo Jana.

A przed oknami
Słupek z kółkami;
To kiedy do mnie
Sąsiad przyjedzie,
Do tego słupa
Konia przywiedzie.
A zechce bawić,
To, jak zwyczajnie,
Konia postawić
Każe się w stajnię,
Gdzie konieczną
Poza drabiną
Przy czystym żłobie,
Przegryzie sobie.

To będzie siatka.
Słowem, co chcecie,
U mnie znajdziecie:
Ryby i grzyby,
Mąka i łąka.

Stara kronika,
Rymy Janowe ¹⁾,
Oto, czém moję
Zasilam głowę.
„Tam człowiek prawie
Widzi na jawie“ ²⁾
Cne ojców sprawy,
Różne zabawy;
Tam sejmy sławne,
Za świętą sprawą
Bożych aniołów,
Toczą się żwawo
W murach kościołów.

Myśl moja cicha,
Jak moja chata,
Nad dym ojczystej
Wioski nie wzłata.
Oko nie sięga
Dalej i szérzój,
Jak do tych lasów,
Jak do tych krzyży,
Jak do téj wody,
Co płynie srebrna.
Czyż większa mądrość
Człeku potrzebna?

Kościół.

Kościół za wioską
Z czerwonej cegły ;

Dwie wieże w błękit
Jasny wybiegły.
A na kościele
Bocian gniazdo ściele.

A w tej świątnicy,
Cudnej roboty
Boga-rodzicy
Ów obraz złoty,
Co tak łaskawie
Patrzy na czleka,
Że jeno prawie
Słoweczka czeka,
Żeby nędznemu
Pomódz w niedoli:
W chorobie temu,
Temu na roli.

Tam szczęście moje,
Tam grób i chata,
Tam w troski, znoje,
Dusza ulata.

Karczma.

Nad drogą z dala
Karczma dla gości;
Już się obala
Z wielkiej starości.
Przed nią w Niedzielę
Jedzie wesele:
Druchny na wozie
Pięknie śpiwają,
Grajki na kozie,
Na skrzypcach grają;
A państwo młodzi,
Jako się godzi,
Cieszą się, śmieją

Z wielkiej radości.
Fłaszka koleją
Kraży wśród gości.
Wszystko się wali
W progi karczemne;
I tylko wozy,
Szkapki niekzemne
Przed karczmą stoją,
Gdzie dużo siana,
Owies i słoma
Gęsto rozsiana.
A z niej pociechy
Dość mają kury;
Wróble z pod strzechy
Spadają z góry;
Ani spostrzeże,
Zkąd się to bierze.

W karczmie wesola
Tańczy drużyna:
Wysmukły chłopiec,
Przy nim dziewczyna.
On, patrząc na nią,
Wesoło płasza,
Czapką baranią
Dumnie potrząsa.
A przyspiwuje,
W podkówki krzesze,
Wszyscy szczęśliwi
Na tej uciecze.

Starzy ojcowie,
Siedząc pod ścianą,
Piją do siebie
Kwartą blaszaną.
„Wypicie kumie“.
„Bóg zapłać kumie“.
I coś tam marzą
W tęsknej zadumie.

Krzyż nade drogą
I zaraz lasek.
Pod lasem woda
Po łące płynie,
Z szumem na koła
Spada przy młynie.

Pole.

Ledwie skowronek
Przywita dzionek,
Oglądam rano,
Co gdzie zorano.
I po staremu
K' rolnictwu cnemu
Rękę przyłożę
I ziemię orzę.

Słońce dogrzéwa,
Ludzie het orzą,
Skowronek śpiéwa
Na chwałę Bożą.
Choć zniknie oku
W srebrnym obłoku,
Jakby z innego
Czystszego świata,
Piosenka jego
Perłami złata.
Tak ślicznie dzwoni
W błękitnéj toni
Ptaszyna droga,
Jakby tam w górze,
W czystym lazurze,
Zobaczył Boga.

W koło piosenka
Brzmi wciąż radosna,
Tu brzoza pęka,
Tam pachnie sosna,

Tu woda wzbiera,
A z pod téj wody
Złoty kwiat młody
Z fali wyziera ³⁾.
Tam klucz zórawi
Ciągnie zdaleka,
Tu płócych kaczek
Stado ucieka.
Lecą bociany,
Drozdzy, słowiki;
Pełno przedziwnéj,
Żywéj muzyki.

W górze rozlane
Błękitu morze,
Powietrze szklane
Wonne; ach! Boże,
W jakimże słowie
Człowiek wypowie,
Rozkosze wieśne,
Polne i leśne.

Żniwa.

Dojrzało zboże,
Więc dziatwa żywo
Dalej na żniwo,
Bo grad spaść może.
Śpieszyć się trzeba
Po dary nieba.

Złote zagony
Zda się kołyszą,
Brzęczą jęczmiony,
Pszenice wiszą.

Sieką kosarze;
Śmiechy, ochota,

Choć w słońca skwarze,
Ciężka robota.

Żniwo skończone,
Snopy zwiezione,
Żeńcy się śpieszą,
Skaczą, a cieszą.

Więc przodownica,
Wieśna dziewczica,
W złotym prześlicznym,
Wiencu pszenicznym,
Z sierpem na przedzie,
Żniwiarzy wiedzie.

Przy brzękach kosy,
Skrzypieniu strun,
Gromadne głosy:
„Plon niesiem, plon“,
Miłe dla człeka,
Słyszę zdaleka.

Och! komu oczy
We łzach nie staną,
Słyszac tę szczerą
Piosnkę śpiewaną,
Kto się nie cieszy
Z niemi, jak dziecię,
Nie ma co robić
Na bożym świecie.

Do późnej nocy
Pod lipą starą,
Tańczę z moją
Pocziwą wiarą.
Brzęk wiejskich skrzypiec,
Stary miód, lipiec,
I siwych ludzi
Do tańca budzi.

³⁾ Żółty kwiatek, zwany kniat.

Koniec dożynek;
Czas na spoczynek;
Zorza na wschodzie
Świeci się w wodzie.

N o c.

Noc księżycowa
Perłami rosi,
Mgła lazuruwa
Z wód się podnosi.
Srebrzy się pole,
Śpią chaty w dole,
Gwiazdy migocą,
W wodzie się złocą.

Tam brzoza biała
Włosy rozwiała,
Tu olchy błotne
Rosną wilgotne.
Noc wonna, cicha,
W liściach wiatr wzdycha;
Tam bębnią bąki
Z zielonej łąki,
Z jezior głębokich
Rybka zaświeci,
Z niebios wysokich
Gwiazdka przeleci.
W długiej dolinie
W dalekim jarze
Pastuch za bydłem
Gra na fujarze.

Oj! nocy cicha
W ojczystej stronie,
Łąk świeżych wonią
Powięj na skronie;
Niech, jak lilijana,
Zwinę się w siebie

I śnię do rana
O jasnym niebie,
Aż się wyskrzydli
Dusza tęskniąca
W zorzę rumianą,
W złoty blask słońca.

S e n.

Tak marzy wioska
W śnieżnej dolinie,
A Matka Boska,
Co górą płynie
Nad schyłonemi
Dwory i chaty,
Wiodąc aniołów
Orszak skrzydlaty,
Z niebios wysokich
Zniża się w locie
I błogosławi
Cichą prostocie.
A wtedy ludzie
Snem słodkim zdjęci,
Schylają głowy
I śpią, jak święci.

I czego ziemskie
Nie dojrzy oko,
Tam nad gwiazdami
W niebie wysoko
Widzą tę Panią
W jasności złotój;
A dusze zmarłe,
Dzieci, sieroty,
Starce, dziewczyny,
W lilijowej bieli,
Przy swą królową
W śnieżnym obłoku,

Jak srebrne róże,
Jawia się oku.
Matka królowa
Z świętą dzieciną,
U nóg jej zmarli
Po niebie płyną;
A wyciągnięte
Ku ziemi dłonie
Ziarenka złote,
Sieją na błonie,
I w serca sieją
Temi ziarnami,
Co się to zowią
Bujnemi łzami;

I okrywają
Tą lamą złotą,
Co się to zowie
Na świecie cnotą;
I oczyszczają
Tym jasnym zdrojem,
Co się to zowie
Świątym spokojem.

Duch prosty słyszy
Ten głos w przestrzeni:
„Ubodzy ciszy.
Błogosławieni“.

Teofil Lenartowicz.

2. Obrazy z poematu p. t. „Pan Tadeusz“.

Śniadanie u pana sędziego.

Różne tam były dla dam i mężczyzn potrawy;
Tu roznoszono tace z całą służbą kawy,
Tace ogromne, w kwiaty ślicznie malowane;
Na nich kurzące wonnie imbryki blaszane
I z porcelany Saskiej złote filiżanki;
Przy każdej garnuszek mały do śmietanki.
Takić kawy, jak w Polsce, niema w żadnym kraju:
W Polsce, w domu porządnym, z dawnego zwyczaju
Jest do robienia kawy osobna niewiasta;
Nazywa się kawiarka. Ta sprowadza z miasta,
Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku
I zna tajne sposoby gotowania trunku,
Który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu,
Zapach mokki i gęstość miodowego płynu.
Wiadomo, czém dla kawy jest dobra śmietana;
Na wsi nie trudno o nią, bo kawiarka z rana,
Przystawiwszy imbryki, odwiedza mleczarnie
I sama lekko świeży nabiału kwiat garnie,
Do każdej filiżanki osobny garnuszek,

Aby każdą z nich ubrać w osobny kożuszek.
 Panie starsze, już wcześniej wstawszy, piły kawę,
 Teraz drugą dla siebie zrobiły potrawę
 Z gorącego, śmietaną bielonego piwa,
 W którym twaróg gruzłami posiekany pływa.
 Zaś dla mężczyzn wędliny leżą do wyboru:
 Półgęski tłuste, kumpia, skrzydliki ozoru,
 Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym
 Uwędzone w kominie dymem jałowcowym.
 W końcu wniesiono zrazy na ostatnie danie.
 Takie bywało w domu sędziego śniadanie.

Przygotowania do obiadu.

Choć spóźniona pora,
 Wojski zebrał co prędzej z sąsiedztwa kucharzy;
 Pięciu ich było; służą; on sam gospodarzy.
 Jako kuchmistrz, fartuchem białym się opasał,
 Wdział szlafmycę, a ręce do łokci zakasał.
 W ręku ma plackę muszą; owad ladajaki
 Odpędza, wpadający chciwie na przysmaki.

Drugą ręką przetarte okulary włożył,
 Dożył z zanadru księgę, odwinął, otworzył.
 Księga ta miała tytuł: „Kucharz doskonały“.
 W niej spisane dokładnie wszystkie specyjały
 Stołów polskich. Podług niej hrabia na Tęczyńie
 Dawał owe biesiady we Włoskiej krainie,
 Którym się ojciec święty, Urban siódmy, dziwił;
 Podług niej później Karól-Kochanku-Radziwił,
 Gdy przyjmował w Nieświeżu króla Stanisława,
 Sprawił pamiętną owę ucztę, której sława
 Długo żyła wśród ludu we gminnej powieści.

Co Wojski, wyczytawszy, pojmie i obwieści,
 To natychmiast kucharze robią umiejętni.
 Wre robota, pięćdziesiąt noży w stoły tętni;
 Zwijają się kuchci, czarne, jak szatany:
 Ci niosą drwa, ci z mléką i z winem sagany,
 Leją w kotły, skowrody, w rądle; dym wybucha;

Dwóch kuchcików przy piecu siedzi, w mieszkni dmucha.
 Wojski, ażeby ogień tym łatwiej rozpalać,
 Rozkazał stopionego masła na drwa nalać.
 (Zbytek ten dozwolony jest w dostatnim domu).
 Kuchciuki sypią w ogień suche pęki łomu.
 Inni na różny sadzą ogromne pieczenie
 Wołowe, sarnie, cąbry dzicze i jelenie;
 Ci skubią stopy ptastwa; leczą puchów chmury;
 Obnażają się głuszcze, cietrzewie i kuły.

B i g o s.

W kociołkach bigos grzano; w słowach wydać trudno
 Bigosu smak przedziwny, kolor i woń cudną;
 Słów tylko brzęk usłyszysz i rymów porządek,
 Ale treści ich miejski nie pojmie żołądek.
 Aby cenić litewskie pieśni i potrawy,
 Trzeba mieć zdrowie, na wsi żyć, wracać z obławy.
 Przecież i bez tych przypraw potrawą nielada
 Jest bigos, bo się z jarzyn dobrych sztucznie składa.
 Bierze się doń siekana, kwaszona kapusta,
 Która, wedle przysłowia, sam idzie w usta;
 Zamknięta w kotle, łonem wilgotném okrywa
 Wyszukanego cząstki najlepsze mięsiwa
 I praży się, aż ogień wszystkie z niej wycisnie
 Soki żywne; aż z brzegów naczynia war pryśnie
 I powietrze dokoła zionie aromatem.
 Bigos już gotów. Strzelec, z trzykrotnym wiwatem,
 Zbrojni łyżkami, biegną i bodą naczynie,
 Miedź grzmi, dym bucha, bigos, jak kamfora ginie,
 Zniknął, uleciał; tylko w czeluściach saganów
 Wre para, jak w kraterze zagasłych wulkanów.

Polowanie na zające.

I.

„Wyczcha“. Tuż z pod koni
 Cmychnął szarak; już Kusy, już go Sokół goni.
 Psy wzięto na obławę, wiedząc, że z powrotem
 Na polu łatwo można napotkać się z kotem.

Bez smyczy szły przy koniach; gdy kota spostrzegły,
 Wprzód, nim strzeły poszczuli, już za nim pobiegły.
 Rejent téż i Assesor chcieli końmi natrzeć,
 Lecz Wojski wstrzymał, krzyząc: „Wara! stać i patrzeć;
 Nikomu krokiem ruszyć z miejsca nie dozwolę,
 Ztąd widzim wszysecy dobrze; zajęć idzie w pole“.
 W istocie, kot czuł z tyłu myśliwych i psiarnie,
 Rwał w pole, słuchy wytknął, jak dwa różki sarnie;
 Sam szarzał się nad rolą długi, wyciągnięty;
 Skoki pod nim sterczały, jakby cztery pręty;
 Rzekłbyś, że ich nie rusza, tylko ziemię trąca
 Po wierzechu, jak jaskółka, wodę całująca.
 Pył za nim, psy za pyłem; zdaleka się zdało,
 Że zajęć, pył i charty jedno tworzą ciało,
 Jakby jakaś przez pole suwała się żmija;
 Kot, jak głowa; pył z tyłu, jakby modra szyja,
 A psami, jak podwójnym ogonem wywija.

Rejent, Assesor patrzą, otworzyli usta,
 Dech wstrzymali; wtém Rejent pobladnął, jak chusta,
 Zbladł i Assesor; widzą..... fatalnie się dzieje:
 Owa żmija im dalej, tym bardziej dłużeje,
 Już rwie się wpół, już znika owa szyja pyłu,
 Głowa już blisko lasu, ogony—gdzie z tyłu!
 Głowa piknie, raz jeszcze jakby kto kutasem
 Mignął, w las wpadła; ogon urwał się pod lasem.
 Biedne psy, ogłupiałe, biegały pod gajem,
 Zdawały się naradzać, oskarżać nawzajem;
 Wreszcie wracają, zwolna skaczą przez zagony,
 Spuściły uszy, tulą do brzucha ogony.
 I przybiegłszy, ze wstydu nie śmieją wzniesć oczu,
 I zamiast iść do panów, stały na uboczu.

II.

Kot, wykradłszy się z łozy, prześmignął po łące
 I wskoczył w sad pomiędzy jarzyny wschodzące.
 Tam siedzi; wystraszyć go łatwo z rozsądnika
 I uszczuć, postawiwszy charty na przesmyku.
 Bieży Assesor, ciągnąc za obróż Sokoła,
 Pośpiesza za nim Rejent i Kusego woła.

Wojski obu z chartami przy płocie ustawił,
 A sam się z placką muszą do sadu wyprawił;
 Depeząc, świszcząc i klaszcząc, bardzo zwierza trwoży.
 Szczwacze, trzymając każdy charta na obroży,
 Ukazują palcami, zkąd zając wyruszy;
 Cmokają z cicha; charty nadstawiły uszy,
 Wytknęły pyski na wiatr i drżą niecierpliwie
 Jak dwie strzały, złożone na jednej cięciwie.
 Wtém Wojski krzyknął: „wyczha!“ zając smyk zza płotu
 Na łąkę; chart za nim i wnet bez obrotu
 Sokół i Kusy razem spadli na szaraka
 Ze dwóch stron w jednej chwili, jak dwa skrzydła ptaka,
 I zęby mu, jak szpony, zatopili w grzbiecie.
 Kot jęknął raz, jak nowo-narodzone dziecko,
 Żałośnie; biegną szczwacze; już leży bez ducha,
 A charty mu szerść białą targają z pod brzucha.

Zachód słońca.

Słońce już gasło, wieczór był ciepły i cichy,
 Okrąg niebios gdzieniegdzie chmurkami zasłany,
 U góry błękitnawy, na zachód różany;
 Chmurki wróżą pogodę, lekkie i świecące,
 Tam, jako trzody owiec na murawie śpiące,
 Owdzie nieco drobniejsze, jak stada cyranek.
 Na zachód obłok, nakształt rąbkowych firanek,
 Przejrzysty, sfaldowany, po wierzchu perłowy,
 Po brzegach pozłacany, w głębi purpurowy,
 Jeszcze blaskiem zachodu tlił się i rozżarzał,
 Aż powoli pożółkniał, zbladnął i poszarzał.
 Słońce spuściło głowę, obłok zasunęło,
 I, raz ciepłym powiewem westchnąwszy, usnęło.

Adam Mickiewicz.

3. Kościół wiejski.

Był to kościółek. Z modrzewiu miał ściany,
 Już pochylone, wsparte na podpory;
 Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;

Słońce, wzierając przez te szyby drżące,
 Różne już na nich wybiło kolory.
 Nad kościołem rosły trzy brzozy płaczące;
 Krzyż się przeglądał przez ich szczyt wyniosły;
 Na progu żebrak paciérze powtarza.
 W około ementarz kwiatami zarosły, -
 I wiejskie groby błyszczą wśród ementarza.
 Daleko słychać wiejski dzwon kościelny;
 Zadzwonił; zewsząd lud śpieszy przez pola.
 Było to święto; był to dzień niedzielny;
 Dziś pług spoczywa, zieleni się rola.
 Dziewice oltarz przystroiły w kwiaty;
 Zabrzmiała młodzież, do śpiewu gotowa;
 Wyszedł ksiądz ze mszą, pochylony laty;
 Tłumi się coraz pieśń ludu niknąca,
 Ucichła: księdza tylko słychać słowa,
 Cichy szmer brzozy, co o szyby trąca;
 Niekiedy dzwonek jękliwy uderzy;
 Niekiedy starzec księdzu odpowiada;
 Świergoczą wróble, i pod szczytem wieży
 Pierzchnie jaskółka i w gzymsy zapada.

Julijusz Słowacki.

4. G o ś c i n n o ś ć.

Wielkie domy za granicą,	A on tylko w domu tobie
A w nich ciasno, choć nie ludno;	Drzwi i serce swe otworzył.
U nas mury się nie świecą,	I ta strzecha, choć uboga,
A o kącik nie tak trudno.	Chociaż niska, przecież blizka
Ledwo człek by czasem wierzył:	Dla obcego i dla swego,
Dom niewielki, wtém gość wechodzi,	I od Boga aż do wroga
Ot! i domek się rozszerzył,	Jest tu miejsce dla każdego.
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.	A dopióroż to przyjęcie,
Przybył drugi i dziesiąty,	Jakie bywa w polskim domu!
Wyprzątnięto wszystkie kąty,	Jak tam każdy poczezon święcie;
Coraz szerzej w małym domu;	Jak nie braknie nie nikomu,
Zda się, że pan domu sobie	W dzień wesoło, w noc rześisto,
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,	Biało, gładko, potoczysto,

Czeladź syta i okryta.
 Wszystko na czas urządzone,
 Przymaszczone, osłodzone,
 Indyk kruchy, kapłon tłusty,
 A do tego dzban nie pusty.
 Jest czém serce rozweselić,

Jest się wszystkim czém obdzielić;
 Choć przyjęcie najlaskawsze,
 Jest mis parę, parę dzbanów,
 Zostawionych jeszcze zawsze
 Dla zagórskich panów ¹⁾.

Wincenty Pol.

5. Skowronek.

Skowroneczek furknął w glebie,
 Zatrzepotał w drobne skrzydła
 I jak gdyby zwisał u sidła,
 Śpiewa ziemi pieśń na niebie.
 — „O co prosisz, skowroneczku?
 Czy o pokój w swém gniazdeczku,
 Czy o ziarnko drobną miarką,
 Czy o wody dla ochłody?“
 — „Ja o szczęście proszę wioski,

Bom ja śpiewak Matki Boskiej;
 A gdy ludziom dobrze, czule,
 To i ja się gdzieś przytulę.
 A więc lecę pod niebiosy
 I niebieskiej błagam rosy,
 Błagam burzy urodzajnej,
 Aby rosła niwa; łąka;
 Płodnej ciszy, ciepła, słonka;
 I to paciierz mój zwyczajny“.

Wincenty Pol.

6. Przed Wielkanocą.

Już po dworach ruch nieznanym
 Wszystkie twarze uwesela,
 Czyszcza domy, bielą ściany
 Na przyjęcie Zbawiciela.
 Z nad kominów wałą dymy,
 Że aż poczuć je zdaleka;
 To obyczaj nasz rodzimy,
 To święcone się wypieka.
 Każda krząta się niewiasta,
 Boć to dla niej ważne święto;
 We sto kształtów idą ciasta,
 We sto kształtów mięs nacięto.
 Chociaż z ciężkim serca bólem,
 Młody pieszczoch, wychowanek,

Już pod nożem był baranek,
 Co Chrystusa jest symbolem.
 Tryjumf strzelca: dzik zębaty,
 Własną ręką zabity w lesie,
 Strojny w wieńce, strojny w kwiaty,
 Na ofiarę łeb swój niesie.
 Zwiastun wiosny, cietrzew' stary,
 Co na tokach nie umilka,
 Co kosztował prac bez miary
 I bezsennych nocy kilka,
 Głuszczy z boru, gołąb' z niwy,
 Szary zając, co pod miedzą,
 Z doświadczenia dobrze wie, że
 Że Wielkanoc dzień straszliwy.

¹⁾ To znaczy: dla gości zza gór (niespodziewanych).

Od miesiąca, od tygodnia Każda knieja przetrząśnięta; Szlachta z flintą chodzi co dnia, By zwierzynę mieć na święta. Oj! niemało prochu spsuto, Kul i śrutu wgrzęzło w sośnie, By wystąpić dzisiaj suto, Bo myśliwski dank ztąd rośnie. Więc i z pola, więc i z kniei, I domowych ptastw gromada, Wszystko tutaj po kolei Na paschalny stół się składa. A gdy jutro po obiedzie, Jako zwyczaj przekazany, Święcić jadło ksiądz przyjedzie I przeżegnać chatnie ściany, Lubił szlachcie staręj daty Wskazać ład swój i dostatek; Stół sążnisty wśród komnaty, Obrus biały, jak opłatek, Umajony w zieleniznie, Zastawiony jadłem szczerze, Że i wąż się nie prześliznie Między misy i talerze, Gdzie stawione z cudnym szykiem Rzędy jadła i napoi; Gdzie baranek z proporczykiem, Na najpiérwszém miejscu stoi. Woń tak łechce, wzrok się nęci,	Że ucztował człek-by sobie, Gdyby nie miał na pamięci, Że Pan Jezus jeszcze w grobie. Ksiądz przychodzi w komży, w stule, Kędy pascha już nakryta, Gospodarzy wita czule I nad stołem modły czyta: „Boże, któryś na pustyni Błogosławił pięciu chlebom, Niech twa łaska nam przyczyni Chleba, życia ku potrzebom. Jak twa ręka miłościwa Wyjarzmiła Izraela, Tak niech wnijdzie do wesela, Kto baranka dziś spożywa“. Potém jadła i napoje Poświęconą kropi wodą. „Wielki Boże! dary Twoje Niech do grzechu nas nie wiodą; Niechaj człowiek przypomina Wśród biesiady, że są głodni; Niech pienisty kielich wina Nie podusza go do zbrodni; Pożywając dary boże, Niech aniola-stróża słucha; Niechaj ciało nie przemoże Świętych natchnień Twego Ducha“. Ludwik Kondratowicz.
--	--

7. Wielki Piątek na wsi.

Noc na dworze, a w kościółku Uroczyste światła płoną: Grób Chrystusa oświetlono, Od podłogi do wierzchołku. Malarz wiejski, prosty, tani, Wymalował skały, groty,	Wymalował szczyt Golgoty I trzy krzyże, widne na niej; Wymalował trzech żołnierzy W rzymskim stroju, z twarzą hardą; Każdy, zbrojny halabardą, Ku widzowi groźnie mierzy.
---	---

Wymalował trzy Maryje,	A lud wiejski, w łzach, żalobie,
Co nad gróbem Pańskim płaczą:	Przy Chrystusa klęcząc grobie,
Choć zorana twarz rozpaczą,	Kantyczkowe śpięwa pieśnie.
Lecz nadzieja w oczach żyje;	
One wierzą, że Bóg wskrześnie.	Ludwik Kondratowicz.

8. Chatka w Nazaret.

Chatka w Nazaret stała na ustroni;
 Śpieszyli smutni i ubodzy do niej,
 A każdy mile przyjmowany bywał,
 Chociaż w bogactwa domek nie opływał.
 Boć serca święte w domku tym mieszkaly;
 Pełno tu było, pełno bożej chwały:
 Bo matka—bożym duchem napelniona:
 Serce—przy Panu, ręka—u wrzeciona;
 Dziecię, zabawą i pracą zajęte,
 Przestrogi starszych wypełniało święte,
 A stary Józef, przy swoim warsztacie,
 Piosnką wesołość utrzymywał w chacie.
 O! święta ziemio, gdzie są takie chatki,
 Gdzie takie dzieci i gdzie takie matki.
 Z takięjto chatki wyszedł Zbawca świata,
 W takąto chatkę potrzeba kołata;
 Same się drzwiczki chętnie otwierają;
 Skromny posilek mieszkańcy podają;
 Bo miłość, miłość, ku dobremu wiodła.
 A co najlepsze płynie z tego źródła,
 Patrzcie na twarze mieszkańców téj chatki,
 Jakby tam były największe dostatki.
 O! święte czasy, wróćcie dziś na ziemię,
 A Pan Bóg ludzkie uszczęśliwi plemię.

Stanisław Jachowicz.

9. Jezus między rówiennikami.

Cóż to za dziecię bawi się śród dzieci?
 Niebiańskim oczkiem i przykładem świeci,

Nie ma zwyczajnej w tym wieku pustoty,
A ucha chętnie nakłania do cnoty;
Kiedy kto powie prawdę jaką z nieba,
Toć tę dziecinę uważać potrzeba,
Jak siły ducha i ciała napręży,
W koło poważnych zamiesza się męży,
A prawdę świętą cichém uchem łowi,
A potem samo myśl wielką dopowie;
W téj myśli widać niezwykłego człeka,
Co już na boże posłannictwo czeka.
Nie ma tam gniéwu u dziecięcia tego,
Naprózno słówka nie powie jednego,
Nigdy się z prawdą na chwilę nie minie,
Bo wszystko święte w téj boskiej dziecinie.

Z niego przykłady bierzcie ludzkie syny.
Zbawienie świata wyjdzie z téj dzieciny;
Wcześniej już widać, czém będzie to dziecię;
Jak w księgę cnoty zamieni swe życie;
Jak słowo czynem, czyn słowami dźwignie.
Miłość w niém taka, co nigdy nie stygnie.

Stanisław Jachowicz.

10. Jak to na Góralach.

Nasi Karpaccy bracia górale
Siedzą w dolinkach, co się zwą hale.

Pod modre niebo góry się jeżą;
Śniegi tam zimą i latem leżą;
W nizinach szumią wody rozliczne;
Przy wodach bujne łąki prześliczne;
Po skałach ciemne świerki się chwieją;
Jak zajrzysz, góry w mgłach błękitnieją.
Tak ci tam rażno, tak nie nie trzeba,
Jakbyś na prawdę trafił do nieba.
Chłodne strumienie lecą w doliny,
Szumią po dołach, huczą, jak młyny;
Kędyś przed chatą w ciemnym wąwozie

Wesoly góral beczy na kozie,
 Cygan włóczęga brzęczy na drumli,
 A pies przy progach, dziwiąc się, skumli.
 Nad Morskiém-Okim, nad stawem cichem
 Jest wielka góra, co się zwie Mnichem.
 Kiedy w powietrzu ma się na burzę,
 To góra we śmie, jakby w kapturze.
 Ach! na Góralach takie śliczności,
 Że się przypatrzeć naszej piękności!
 Za bydłem góral w kafowej goni ¹⁾
 Śpiewając, biegnie z toporkiem w dłoni,
 Przez lato w górach barany pasie,
 A zwierza strzela w zimowym czasie.
 Góral niechętnie w doliny schodzi;
 Z tak pięknej ziemi wyjść się nie godzi.

Teofil Lenartowicz.

11. Jak to na Mazurach.

Po szerokiem polu modra Wisła płynie;
 Pochylone chaty drzemią na dolinie;
 Nad wodą zgarbiony stary dąb żyłasty,
 Kędy biela płótna wesole niewiasty;
 Po łące bociany stąpają powolne,
 W owsach jednostajnie brzęczą świeższe polne,
 A z cienistych borów leśnej okolicy
 Rozwiewa się wonność wiosnowej żywicy.
 Po niebie obłoki, jak bieluchne runo ²⁾,
 Słoneczkiem przeciekle, pod błękitem suną.
 Na wodzie na Wiśle śród ciszy poranka
 Płynie łódź flisowska, jak szara cyranka ³⁾.
 A za nią ładowne pszenicą galary ⁴⁾,
 Szum wiosel na falach i śmiechy i gwary.
 Oj! cudna to ziemia to nasze Mazowsze
 I czystsza tam woda i powietrze zdrowsze
 I sosny roślejsze i wiśnie krańsze
 I ludzie mocniejsi i niebo jaśniejsze.

¹⁾ Ubiór góralski. ²⁾ Wełna. ³⁾ Dzika kaczka. ⁴⁾ Statki.

Gdzie mi pokażecie naszą chatę lichą,
 Taki bór szumiący, taką wodę cichą,
 Gdzie tyle dziewanny, tyle w łąkach dzwonków,
 Tyle piosnek w polu, w powietrzu skowronków,
 Kędy ja usłyszę tyle ptastwa wrzasku,
 Kto da modrąj Wisły i białego piasku?

Teofil Lenartowicz.

12. W i o s k a.

Cicha wioseczka leży w dolinie,
 A rzeka zwolna u stóp jęj płynie,
 Jakoby wstęga, i nurtem czystym
 Toczy swe fale smugiem kwiecistym,
 A nad jęj brzegiem krówek gromada
 Przeżuwa ziółka i płąsa rada.

A tam za rzeką w wieczorną ciszę
 Płowe się żyto falą kołysze;
 A wśród pszenicy na szczyrém polu
 Modry bławatek obok kąkolu
 I drobny maczek lśni barwą jasną,
 Toć też przy kwiatkach i kłosy gasną,

Cisza na polu, boć jeszcze żyta
 Nie tknęła sierpem dłoń pracowita
 I tylko z cichą drobną przepiórka
 Okrąży miedzę, najęży piórka,
 „Pójdźcie żąć, pójdźcie!“ nieśmiało nuci.
 Potém z chróścielem niby się kłóci
 O miarkę zboża, co za złych czasów
 Dała mu pono z własnych zapasów.

Na łące za to ludzi gromada
 Widłami siano w stogi układa,
 Parobcy ostrzą o kamień kosy;
 Tną łąkę, lśniącą od świeżej rosy.
 Niewiasty grabią skoszoną trawę,
 Nuca piosenki, to jakieś łzawe,
 To znów radośne, a pieśń rozwiana
 Brzmi w oddaleniu: „Dana, oj! dana“.

Słońko zachodzi, ustaje praca:
 Kmiotek strudzony do chaty wraca;
 Ten krzywą kosę na ramię składa;
 Tam skrzących niewiast ciągnie gromada
 Ze śpiewką w ustach, z grabiami w dłoni;
 Tam stado żrebiąt pacholę goni,
 Pędząc na szkapce oklep drożyną.
 A stopy końskie w kurzawie giną.

W chatach się jasne ogniska żarzą;
 Przy nich gosposie wieczorne warzą;
 Inne zwołują na różne głosy
 Kury na grzędę. Tłum dzieciąt bosi
 Zagania gąski z błotnistej wody,
 Spędza do chléwków niesforne trzody;
 Tu znów w obórcie niewiasty w skopki
 Doją bieluchne mléko, a w żłobki
 Krowom na nocną podają strawę
 Pożęte ziele i wonną trawę.

A ponad ziemią, wieczornym mrokiem
 Dym się z kominów wije obłokiem
 I wioskę w senną spowija ciszę,
 Kiedy ją anioł do snu kołysze.

A ponad rzeką, w olch ciemnym wianku,
 Młyn sobie gwarzy coś bez ustanku,
 Bijąc kołami o rzeki fale
 Jakoby ciężkie spowiadał żale,
 A wzniosłe olehy tęsknemi szumy,
 Szepta tajemnie rodzinne dumy.

1854.

13. S i é r o t a.

Cieężko żyć biednej sierocie,	Józia bez rodziców jedna
Bo wiele cierpieć potrzeba	Została, mając rok piąty,
I służyć o krwawym pocie	I odtąd sierota biedna
Na gorzki kawałek chleba.	Wycierała cudze kąty.
Oj! ciężko biednej sierocie!	O! nie daj Boże, nikomu

Na łasce żyć w obcym domu!

Choć ją zdobiła uroda
I dusza, bogata w cnotę,
Ale któż rękę jój poda,
Kto zważać chce na sierotę?
Czy radość śmiech jój wywoła,
Czy łzę wycisnie tęsknota,
Źle wszystko, bo kiedyż zdoła
Ludziom dogodzić sierota?

Tak pięknie na bożym świecie;
Rodzice tak pieszczą dziatki,
A ją, bez ojca i matki,
Nędza jak gniece, tak gniece.
Dla innych wszystko się śmieje,
I szczęściem kwitną nadzieje,

Jój pusto i głucho w świecie
I zimne dokoła twarze,
A tylko w życia obszarze
Łzy i cierpienia—jój kwiecie,
Co zrywa o krwawym pocie.
O! ciężko, ciężko sierocie!

Gdy świat odpychał od siebie,
W strzelistej modlitwy locie
Szukała pociechy w niebie,
Bo Bóg jest ojcem sierocie;
Jedyne szczęście jój było
I jedna chwilka jój błoga,
Nad lubiej matki mogiłą
Modlić się we łzach do Boga.

Ignacy Hołowiński.

B). OPOWIADANIA.

1. Legenda wstępna.

W czasach grabieży i niepokoju,
Był człowiek, co przez lat wiele
Zebrany pieniądz o krwawym znoju,
Przechował w garnku w popiele.

Lecz się nie zwierzył w nagłym skonaniu
Ani przed żoną, lub dzieckiem;
I długo, długo tak w zaniedbaniu
Ten garnek stał pod przypiekiem.

Jednego razu wszedł do tej chaty
Biedny zgłodniały podróżny,
Ledwie okryty podłemi szmaty,
I kornie prosił jałmużny.

Choć gospodyni wśród rodziny
Przy jadle była za stołem,

Lecz bez litości, jakby na drwiny,
Dała mu garnek z popiołem.

Żebrak z modlitwą opuścił chatę,
Przyjąwszy datek z ochotą;
Bóg za pokorę dał mu zapłatę,
Bo znalazł w popiele złoto.

Ignacy Hołowiński.

2. Powrót taty.

„Pójdźcie, o! dziatki, pójdźcie wszystkie razem
Za miasto, pod słup, na wzgórek,
Tam przed cudownym klękniście obrazem,
Pobożnie zmówcie paciórek.

Tato nie wraca; ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze;
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
I pełno zbójców na drodze“.

Słyszac to, dziatki biegną wszystkie razem,
Za miasto, pod słup, na wzgórek,
Tam przed cudownym klękają obrazem
I zaczynają paciórek.

Całują ziemię, potem; „W imię Ojca,
Syna i Ducha Świętego,
Bądź pochwalona Przenajświętsza Trójca
Teraz i czasu wszelkiego“.

Potem Ojcie nasz i Zdrowaś i Wierzę,
I Dziesięcioro, koronki,
A kiedy całe zmówili pacierze,
Wyjmą książeczkę z kieszonki.

I litaniją do Najświętszej Matki
Starszy brat śpiewa, a z bratem,
„Najświętsza Matko“, przyśpiewują dziatki,
„Zmiłuj się, zmiłuj nad tatem“.

Wtém słyhać turkot; wozy jadą drogą
 I wóz znajomy na przedzie;
 Skoczyły dzieci i krzyczą, jak mogą:
 „Tato, ach! tato nasz jedzie!”

Obaczył kupiec, lzy radości leje,
 Z wozu na ziemię wylata:
 „Ha! jak się macie? co się u was dzieje?
 Czyście tęskniły do tata?

Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
 A ot rożynki w koszyku“.
 Ten sobie mówi, a ten sobie mówi;
 Pełno radości i krzyku.

„Ruszajcie!” kupiec na sługi zawoła,
 „Ja z dziećmi pójde ku miastu“.
 Idzie.... aż zbójcy obskoczą dokoła,
 A zbójców było dwunastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
 Wzrok dziki, suknia plugawa,
 Noże za pasem, miecz u boku błyska,
 W rękę ogromna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
 Tulą się pod płaszc na łonie;
 Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
 Drżące ku zbójcom wzniosł dłonie.

„Ach! bierzcie wozy, ach! bierzcie dostatek,
 Tylko puszczaście nas zdrowo;
 Nie róbcie małych sierotami dziatek
 I młodej małżonki wdową“.

Nie słucha zgraja, ten już wóz wyprzęga,
 Zabiera konie, a drugi
 Pięniędzy krzyczy i buławą sięga;
 Ów z mieczem wpada na sługi.

Wtém: „stójcie! stójcie!” krzyknie starszy zbójca
 I spędza bandę precz z drogi.

A wypuściwszy i dzieci i ojca,
„Idźcie“, rzekł, „dalej bez trwogi“.

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
„Nie dziękuj; wyznam ci szczerze,
Pierwszy bym pałkę strzaskał na twój głowie,
Gdyby nie dziątek pacierze.

Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało;
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało, opowiem:

Zdawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja i moje kamraty,
Tutaj za miastem, przy wzgórku u słupca
Zasiadaliśmy na czaty.

Dzisiaj nadehodem, patrzę między chrósty,
Modlą się, dziatki do Boga,
Słucham... z początku porwał mię śmiech pusty,
A potem litość i trwoga.

Słucham.... ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława wypadła z ręki;
Ach! ja mam żonę! i u mojej żony
Jest taki synek maleńki.

Kupcze, jedź w miasto, ja do lasu muszę;
Wy, dziatki, na ten pagórek
Biegajcie sobie i za moją duszę
Zmówcie też czasem paciórka“.

Adam Mickiewicz.

3. S z k o ł a .

Skarżył się chłopiec przed swym plebanem,
Który mu święte dawał przestrogi:
„Dobrze to, kto się urodził panem!
Nie zbłądzić temu z żywota drogi,
Bo pan, znający czarne na białém,
Wię z ksiąg rozlicznych o świecie całym,

I jak rzecz każda działać się powinna.
 Lecz z prostaczkami rzecz wcale inna;
 Gdzież my się w jakiej uczyli szkole?
 Ot! człowiek dźwiga dołę, niedołę,
 I od kolébki na ementarz idzie
 W ciężkiej ciemnoty troskach i biédzie“.

Ksiądz pleban, słysząc te słowa kmiecie,
 Ręką po bożym wskazał mu świecie
 I rzekł: „To — księgi najmędrszej karta,
 Chłopkom i panom równo otwarta;
 Jest tam dla wszystkich ludzi nauka,
 Tylko nie każdy dobrze jęj szuka.
 Tak, bracie, próżne skarg twoich żale;
 Bóg, co się w mędrców nie jawił chwałę,
 Lecz z prostaczkami na ziemi bawił,
 Bóg wam przyrody szkołę zostawił.
 Patrz! to błękitne niebios sklepienie,
 Dzienny blask słońca, nocnej mgły cienie,
 Czyż nie wołają głośno na ciebie,
 Że dzieł tych Stwórcy króluję w niebie.
 A jeśli serca twojego bicie
 Nie zdola dowieść ci należycie,
 Żeśmy Mu winni miłość i dzięki,
 Niech cię skowronka uczą piosenki.
 A pszczołka, która, w ciepłym dniu lata,
 Buja wesoło z kwiata do kwiata,
 Niech ci objawi swoją skrzętnością,
 Że praca świętą jest powinnością,
 Która nas słabych tarczą swą grodzi
 Od pokus, jakie próżniactwo rodzi.
 Lecz ciężkie życia tego koleje;
 Nie raz się biédny człowiek zachwieje,
 A łza się gorzka po licu stoczy;
 Wtedy, rolniku, splakane oczy
 Z świętą nadzieją podnieś w niebiosą;
 Pociecha z góry spłynie, jak rosa“.

Maryja Ilnicka.

4. Kradzione.

W samym końcu zaścianka ¹⁾, pilnując swęj niwy,
 Żył sobie szlacheć pocziwy,
 A miał syna wyrostka, z wąsem wyżęj nosa.
 Chłopiec dobre miał serce, ale w głowie za to
 Okropnie było pstrokato,
 Zwyczajnie jak u młokosa.
 A tużże, mój mospanie, obok ich stodoły
 Ciągnął się wygon sąsiada,
 Na którym się pasły stada:
 Konie, owieczki i woły.
 „Czy wiecie co, tatulu!“ tak mówił raz młody,
 „Fraszki to praca i cnota!
 U nas, panie, pocziwość, trudy, niewygody,
 A w domu wieczna hołota;
 Czy to Pan Bóg uważa, że ludziska giną?
 Pocziwym nie da talarką;
 Dla jednego pomyślność odmierza ośminą,
 Drugiemu liczy na ziarnka.
 Naprzykład, choćby u nas: ot! idą zapusty,
 A w domu ni to, ni owo;
 Jakby to było dobrze, by na Czwartek tłusty
 Mieć na stół pieczeń wołową!“
 „A zkądże weźmiesz wołu?“ — „Czy to wielka sztuka?
 Niby to dostać nie mozem;
 Chodzą woły sąsiada.... po gardzieli nożem,
 Niech potem sąsiad poszuka“.
 „Cóż to?“ zawołał ojciec, „to kradzić wyraźnie,
 To jakaś sztuka zbójecka;
 A siódme przykazanie, a sumienie, błaznie!
 A nasza wiara szlachecka?“
 „At, myśleć, co się godzi, a co się nie godzi,
 Za cóż my biędni i głodni?
 Nas wół jeden przez kilka wyżywi tygodni;
 Czy to po ludziach nie chodzi?“

¹⁾ Zaściankami zwą się na Litwie niewielkie osady szlacheckie, zdala od wsi leżące.

Na takie przełożenie ojciec mruknął z cicha:
„Cóż robić? szatan cię uczy;
Ukradnięm jutro wołu, lecz pomnij do licha:
Nigdy kradzione nie tuczy“.
Wieczorem stary ojciec poszedł do sąsiada,
Cichaczem kupił wołu, napił się borysza,
Nazajutrz bierze syna, niby się podkrada,
I z wołem.... het do zacisza.
Zaraz nożem po gardle nieszczęsnego byka,
Rozćwiertowali w stodole;
I jak słowo powiedzieć, już u czynszownika
Wołowa pieczeń na stole.
„Wiész co, teraz, mój synku, odmierzym się w pasie,
Zjadając mięsko tak cudnie,
Będziem wiedzieć, mospanie, po jakim czasie,
Kto z nas utyje, kto schudnie?“
Zmierzyli się i każdy na swojej popręde
Naznaczył króskę czerwoną.
„Co tu gadać, tatulu, schudzeni przez nędzę,
Teraz utuczym się pono“.
Przez całe trzy tygodnie gody u szlachcica,
Codzień przysmaczek od wołu;
Dzisiaj rura do barszczu, jutro polędwica,
Pojutrze pieczeń u stołu.
A tu rozruch w zaścianku, sąsiad niby jęczy,
Niby to szuka wołu, niby ludzi zowie;
Syn się dręczy obawą, jak duch potępieńczy,
Już mu i jadło nie w głowie.
Czy kto skrzyźnie we wrotach, on w nocy i we dnie
Marzy o przyjeździe sąsiada;
W obiedzie strach, zgryzota; co chwila poplednie,
A ojciec smaczno zajada.
Syn był młody i zdrowy, jak dębina krzepka,
Ojca wiek zniszczył i znoje;
Lecz, kiedy zjedli wołu, syn wysechł, jak szczepka,
A ojciec utył we dwoje.
„A co, błaznie“ rzekł stary, „pamiętaj przysłowie,
Że *male parta* ¹⁾ do czarta;

¹⁾ *Male parta* znaczy *źle nabyte*.

Ja zakupilem wolę, toć mi szło na zdrowie;
Ty, kradnąc, schudłeś na charta“.

Ludwik Kondratowicz.

5. Ziomomysł.

Smutny Ziomomysł na stolicy,
W posępnych dumach żywot toczy,
Bo syn, bo dziedzic tój ziemi
Ślepotą tknięte dostał oczy.
Jakżeż on sądzić ludy swoje
Pod świętych dębów cieniem siędzie?
Jakżeż z Niemcami toczyć boje
I ziemi ojców bronię będzie?
Lecz Mieszko siedem kończy latek;
Kapłan mu włosy strzyże złote;
Wtém, jak blask słońca, mgły ostatek,
Nagły cud spędza precz ślepotę.
A z tłumu bije głos proroczy:
„Wielki to będzie mąż zaiste;
Ciemne otworzą mu się oczy
Na prawdy światło wiekuiste“.

Maryja Ilnicka.

6. Brzydale.

Złożywszy książki, z których zabłysły
Nowe światelka w sercu i głowie,
Adaś i Julek, dwaj braciszkuwie,
Wyszli odetchnąć ku brzegom Wisły.
Adaś już wiosnę liczył czternastą;
Juleczek młodszy o cztery lata;
Więc, jak opiekun, idąc przez miasto,
Adaś za rękę prowadził brata.
A w mieście było tłumno i gwarно;
Nigdzie pustego nie dojrzyć kąta;
W różnych kierunkach ludzie się garną;
Różnych postaci mnóstwo się krząta.

Środkiem ulicy koła turkoczą;
Ładowną brykę karéta mija;
Dorózkę pojazd ściga ochoczo,
I chłopek z drwami bieżem wywija.
Po trotoarach narodu krocie;
Wolniej, lub śpieszniej, jak komu trzeba;
Ci do roboty, ci po robocie;
Jedni na spacer, drudzy dla chleba;
Wielmożni, możni, biedni, nędzarze,
Starce i młodzież w samym rozkwiecie,
Czasem mimochcąc podąża w parze
Parciana świta przy aksamicie....

Adaś i Julek, pośród natłoku,
Choć odpoczywać nie mieli chęci,
Kiedy niekiedy zewsząd ścisnięci,
Musieli stawać, lub zwalniać kroku.
Więc właśnie w takiej niemilej chwili,
„Wiész, bracie?” krzyknął Juleczek mały,
„Ulice piękniej by wyglądały,
Gdyby nie wszyscy po niej krążyli!
Ale patrz tylko, czy to nie szkoda?
Obok pojazdu biedka pomyka;
Karecie w drogę wlaźł woziwoda;
Przy omnibusie furmańska bryka....
I nam potrzeba zbaczać co chwilę;
Chłop się przeciska przy strojnój pani;
Piaskarz jedwabną przygniótł mantylę;
Przy panach tracze nędznie odziani.
Tam mularz wapnem przechodniów plami;
Tu znów kominiarz sadzami czerni;
Mały zapalnik wszedł do cukierni;
W progu jęj baba z obwarzankami....
Gdyby ode mnie to zależało,
Wnet bym rozpędził tę gawieź całą;
Środkiem by same szły ekwipaże,
Jak tamten, co to bronzami świeci,
A z każdój strony, po trotoarze,
Panie, panowie i grzeczne dzieci;

Bo tak, jak teraz, nie pięknie wcale;
Przy posmolonych porządni tracą,
Jak mamę Kocham! nie wiedzieć na co
Żyją na świecie tacy brzydale!“

„Ciszej!“ rzekł Adaś, „zmiłuj się, ciszej!
Co też ty prawisz, braciszku mały?
Niechże cię z dzieci żadne nie słyszy,
Bo by o tobie źle pomyślały;
A ty złym przecie nie jesteś wcale,
Tylko cię w tłoku gniewa ambaras.
Pójdź, tam dość miejsca, powiem ci zaraz,
Na co potrzebni tacy brzydale.
Spójrz na ten kościół z dołu do góry....
Prawda? jak piękny dom bożej chwały;
Jak uroczyscie przybrany cały
W kolumny, rzeźby, złoto, marmury.
A jak we środku ślicznie! wszak nieraz
Cheiwemi wkoło wodząc oczyma,
Dziwisz się, cieszysz; pomyślże teraz,
Jak się to wszystko całości trzyma?
Oto! nim wzrosła budowa święta,
Użyto cegły, wapna, kamienia,
Na ziemi wsparły się fundamenta,
Na fundamentach ściany, sklepienia;
Potém powierzchnię drzewa i cegły
Tynk, wyłacania, rzeźby obległy;
Nad niemi wieża chmury rozdziela,
A nad nią złoty krzyż Zbawiciela.
Widzisz więc jasno, bracie jedyny,
Że chcąc świątynię wznieść okazała,
Złoto by podziąć gdzie się nie miało,
Bez skromnej cegły, bez zlepkę gliny.
Tak samo z ludźmi: zamiast w karcie,
Bogacz by pieszo iść był zmuszony,
Gdyby nie brzydał, co z tamtej strony
Biegnie w fartuchu: to kował przecie.
I ty nie mieszkalbyś w kamienicy,
Gdzie okazałość z wygodą w parze,

Gdyby nie cieśle, szklarze, mularze,
Nie prostaczkowie, nie robotnicy“.

Julek, jak zwykle młodszym przysłało,
Słów tych wysłuchał z uwagą całą,
Pojął naukę, co się w nich kryje,
I żywo bratu skoczył na szyję.
„Adasiu!“ wołał, „byłem ładaco,
Niesprawiedliwy względem tych ludzi,
Oni potrzebni, kiedy się pracą
Dla dobra wszystkich każdy z nich trudzi;
Już od téj chwili kocham ich szczerze,
Już, gdy drwał, mularz, druciarz ubogi,
Lub inny spotka mię na spacerze,
To mu się grzecznie usunę z drogi,
Bo czuję, że choć brzydysi z postaci,
Oni tak dobrzy, jak i bogaci“.

I Juleczkowi łzy w oczach błysły;
Więc uściskawszy powtórnie brata,
Szli ku Zjazdowi, gdzie zponad Wisły
Różnych narzędzi łoskot dolata.
Tam długo jeszcze dwaj braciszczkowie
Patrzyli, jako lud w czoła pocie
Krzętał się, niby ochocze mrowie,
Przy kamiennego mostu robocie.
I ci brzydale, ci robotnicy,
Choć nie w atlasach, choć niezbyt biali,
W rozpromienionej Julka żrenicy,
Bardzo się piękni teraz wydali.

Tak, drogie dzieci! Jak wśród budowy
Brata się marmur i bal sosnowy;
Jak na gmach wzniosły, piękny i trwały,
Różne składają się materyjały,
Tak społeczeństwo z różnych postaci,
Z różnych zdolności, w całość się składa;
Każdy w kierunku, jaki Bóg nada,
Swój trud łączy z trudem spółbraci.

Toż, gdziebaż kogo skinienie boże
 Umieści, każdy, byle uczciwy,
 Mędrzec, czy oracz skib czarnej niwy,
 Równy szacunek pozyskać może.
 Szanujcie zatém tych prostych ludzi,
 Co po swojemu pracują z nami;
 Komu niktzemność duszy nie brudzi,
 Temu jój żadna praca nie splami.

Jan Chęciński.

7. Radziwiłł Siérotka.

Niegdyś żył w Litwie zuchwały I wielki pan; Od okolicy był całej Siérotką zwan.	Wtenczas myśliwstwo zmęczone Zachciało jeść; Różne mięsiwa pieczoné Pan każe nieść.
Nie wierzył w msze, sakramenta, Ni w żaden cud; Tylko pijaństwem czeił święta, Bo lubił miód.	Daremnie nie jeden woła: „Przecież to grzech!” Pan ich wygania zza stoła, Przez pusty śmiech;
Sam mięso jadł i częstował Niém w wielki post; A jeśli go kto strofował, Nie uszedł chłost.	Liczne szklanice wysusza, Mówiąc do sług: „Jeżeli słusznie nas zmusza Dziś pościć Bóg,
Raz w Wielki Piątek spostrzega, Że piękny czas; Uderza w trąbkę, wybiega Na łowy w las.	Niechaj nam niezaprzeczony Da władzy znak I niech z półmiska pieczony Ten wzleci ptak“.
A za nim hajduków tłuszcza I wiele sfór; Z hukiem się, z trzaskiem zapuszcza W rozległy bór.	Wtém krzyk mu mowę przerywa, Bo wstaje kur; Pieje i w górę się zrywa Skrzydłem bez piór.
I sarny, dziki, jelenie Wybija w pień; Aż wreszcie wieczorne cienie Wygnały dzień.	Przelekła się sług gromada, Widząc ten dziw; Sam pan na ziemię upada, Zaledwie żyw.

A kiedy do zdrowia wrócił, Zmienionym był;	W którym się Chrystus narodził, I święty grób.
Próżności światowe rzucił, Jak święty żył.	W puszczy, o wodzie i chlebie Żył sam, bez sług,
Po wielkich pielgrzymkach chodził; Odwiódził złób,	Jak nędzarz, aż go do siebie Powołał Bóg.

Henryk Potocki.

8. Pacholę.

Książę ¹⁾, wiadomo, że kochał się w łowach;
Raz kiedy ptastwo z sokoły polował,
Sokół, którego nad wszystkie miłował,
Jakimś trafem zginął mu w parowach.
Gnięwa się książę, a straszny gniew pana;
Świszcza, wołają smutni sokolnicy,
I z siół pobliskich gromada zebrana
Szuka, lecz próżno. W całej okolicy
Płaczą kmiotkowie; wiedzą, że nie minie
Ciężka ich pomsta, skoro sokół zginie;
Bo jeśli przyjdzie księciu ptaka stracić,
To żal mu drogo potrzeba opłacić.

Gdy tak szukają, chłopiec lat dziesięciu
Przybiegł i przyniósł sokoła księżciu,
Mówiąc, że w blizkim jarze, przy strumieniu,
Nagle sam sokół siadł mu na ramieniu.
Rozśmiał się książę, musnął go pod brodę
I rzekł: „Pacholę! jaką chcesz nagrodę?”
Zmieształ się chłopiec; przydworni, co stali
W około niego, w ucho mu szeptali:
„Bieź, uderz czołem, proś o pańską rękę;
Proś, niech ci pieniądz rzuci na sukienkę”;
Lecz chłopiec, bawiąc się sokoła pierzem,
Rzekł: „Daj mi konia, abym był rycerzem”.
„Cha, cha, cha”, krzykną przydworni, „znać zucha!”

¹⁾ Ziemowit Płocki.

A drudzy, mrucząc: „Oh! jabym kmieciucha
Osmagać kazał za ten język płochy.
Patrzcie go! chamu nie chce się do sochy!“
Ksiązę przez groźne w około spojrzenie
Zamknął im usta i przerwał milczenie.
„Zaprawdę, chłopiec nie od rzeczy prawil!
Gdzie masz rodziców?“—„Jam sierota, panie“.
„Bóg o sierotach kazał mieć staranie
I bez opieki ciebie nie zostawi.
Piotrze z Gulezewa, wziąć na dwór pacholę
I niech ma pieczę o moim sokole“.
Kazał, spełniono. . Cały dwór się dziwi,
Lecz któż się woli żelaznej sprzeciwi?

Chłopiec w usługach rósł, męźniał u dworu,
Ujeżdżał konie, oręza się imal,
W sztuce szermierskiej innym przodek trzymał
I do dworskiego nawykał poloru;
Ksiązę go wielce upodobał sobie,
I zrobił giermkem przy swojej osobie.

Gustaw Zieliński.

9. Grosz wdowi.

W on czas szli ludzie różni, ciskając w kaletę,
Dla biednych złote sztuki, lub drobną monetę,
A z niemi razem przysła do świętego miasta
Pokorna, ubożuchna, cnotliwa niewiasta
I wyciągając rękę, skromna i nieśmiała,
Dwa małe pieniążki na jałmużnę dała.
A Chrystus rzekł: „Zaprawdę, wielkie to są dary,
Większe, niżli bogaczy największe ofiary,
Bo ci oddali zbytek; a ażaliż ona,
Składając dwa pieniążki, wdowa, opuszczona,
Dwa ostatnie pieniążki, nie złożyła z niemi
Swego chleba i wszystkich bogactw na téj ziemi?“

Bracia w Chrystusie! niech nas ten przykład poruszy;
Niech słowo życia przejdzie do żyjącej duszy;

Niech litość z samolubstwa trądów nas uzdrowi
I niech każdy ochoczo poniesie grosz wdowi.

Antoni Czajkowski.

10. Święty Izydor.

W pośród wiejskie matki, córy,
Znużon drogą, wiekiem zgięty,
Zasiadł pielgrzym z Jasnej-Góry,
I rozłożył towar święty.

Miał różańce, miał szkaplerze,
Mnóstwo krzyży wydobywał,
A lud, wierny swojej wierze,
Za pocziwy grosz nabywał.

I miał jeden obraz śliczny;
Każdy o treść jego badał;
Pytał, słuchał gmin rozliczny,
A on tak mu rozповідаł:

„O! nie wiecie, wy, ludkowie,
Jak, za dawniej tam pamięci,
Byli z pośród was królowie,
Byli nawet nieraz święci.

Tam, gdzie tacy, jak my, ludzie,
Wśród dalekie ztąd Hiszpany,
W ciągłych modłach, postach, trudzie,
Żył Izydor, Oracz zwany.

Takim, jak wy, był on chłopkiem;
Tak, jak wy, się męczył, nużył,
Przecież, mnogich cnót dorobkiem,
Myta niebios się dosłużył.

Dziki nad nim pan przewodził,
Sprzęgał z bydłem, kuł do tacek,
Krzywdził, więził, chłostał, głodził;
Wszystko święty zniósł prostaczek.

Zniósł, bo męki Jezusowe
Stokroć bardziej go bolały:
Cierń, co w boską wrył się głowę,
Rany, co krew świętą lały.

Zniósł, bo sroższe widział dole,
Nieszczęśliwych szereg długi;
Zniósł, bo wiedział, że tu pole
Nie nagrody, lecz zasługi.

I raz pan ów bez sumienia
Orkę mu podwójną zadał;
A w przypadku niespełnienia,
Straszną karę zapowiadał.

Westchnął biedny, wstał przed świtem,
Zaprzął wolki uporeczywe,
Szedł z spojrzeniem w ziemię wrytém,
I tak zawiódł je na niwę.

A że w każdej trudnej porze
Wprzód do Boga się odnosił,
U stóp krzyża klął w pokorze,
I gorąco błagał, prosił.

Głowę w świętej schylił skrusze,
Sercem nieba przywoływał,
Korzył myśli, czyścił duszę
I w Chrystusa się wpatrywał.

I tak długo i głęboko
W męce się zatapiał krzyża,
Aż tu słońce już wysoko
I południe się przybliża.

Zlął się, jakby z snu przecucił,
I zapłakał w swój niedoli;
Gdy wtém w koło okiem rzucił:
Jakaś jasność, woń po roli.

Patrzy.... widzi zadumiały
Niepojęte cuda.... dziwy....
Anioł śliczny, jak śnieg biały,
Doorywa jego niwy.

Każdy zagon wyciągnięty
Tak prościuchno i tak ładnie;
Nie ma bicza rataj święty,
Wolki przecież idą składnie.

Idą z okiem tak wesołym,
Pług tak lekko płynie w ziemi;
Pada chłopek, bije czołem,

Łzami zléwa się wdzięcznemi.

Gdy wtém anioł promienisty

Nagle w górę wzlata, leci;

A jak tęcza, pas ognisty,

Długi ślad się za nim świeci.

Niknie, ginie postać święta;

Ginąc, takie słowa głosi:

„Kto o Bogu swym pamięta,

Temu pomoc Bóg przynosi“.

Wiele, wiele wieków zbiegło,

Nim w tém samém miejscu cudu

Wielkie miasto się rozległo,

A w niém mnóstwo zlało ludu.

Od poranku do wieczora

Nie zliczyłbyś gmachów licznych,

Ni w kościele Izydora

Wszystkich bogactw, wotów ślicznych.

Król po królu w wielkiém mieście,

Włada, rządzi, rozkazywa;

A gdy przyjdzie umrzeć wreszcie,

Chłopka tego w pomoc wzywa“.

Frańciszek Morawski.

11. Święty Jan Kanty.

Błysła na wschodzie jutrzienka złota,

Cień nocy ustąpił z ziemi,

Ścieżką śród łąki idzie sierota

I płacze łzami rzewnemi.

Bo dziś nie dla niej cudowny zaranek

Świat w piękną szatę ubiera!

Żałośnie trzyma w jednej ręce dzbanek,

A drugą łezki ocięra.

Już Krakowiaków gromadka wesola

Na targ do miasta się śpieszy,

Lecz na sierotę nikt z nich nie zawoła,

Sięroty nikt nie pocieszy.

Wtém mąż sędziwy, wolnym idąc krokiem,
Jan Kanty, chluba Krakowa,
Na smutne dziecię spojrział rzewném okiem
I w te odezwał się słowa:

„Dlaczego płaczesz, dziecino droga?
Wiédz, że Bóg widzi izer twoje;
Wyznaj mi szczerze; ja, w imię Boga,
Może twą żalóść ukoję“.

A Krakowianka w błękitném oku
Fartuszkim łezki ociéra,
I kornie stając przy jego boku,
Drżące swe usta otwiera:

„Jestem sierotą: u mieszcżki z Łobzowa
Służę; ach! ostra to pani;
Nigdy dobrego nie powię mi słowa,
Lecz zawsze gromi i gani.

Zaledwie piękny zabłyśnie poranek,
Na Kleparz ¹⁾ na targ wysyła,
Abym, sprzedawszy ten mléka dzbanek,
Kaszy i soli kupiła.

A że to jutro święto Bożej Matki,
Chcąc przybrać obraz jój w wianek,
Idąc po drodze, zbierałam kwiatki.
Wtém.... z ręki wymknął się dzbanek....

I śnieżne mléko popłynęło drogą,
Ot, ślady widać z daleka.
Któż się nade mną użali niebogą!
Ach! wiem, co w domu mię czeka!“

„I czemuż, dziecię, tak rzewnie szlochasz?
I kryjesz głowę w swęj dłoni?
Ty Matkę Boską tak szczerze kochasz.
Ona cię pewnie obroni;

¹⁾ Przedmieście w Krakowie.

Ona, nim wrócisz do swój zagrody,
 Już twoję boleść pocieszysz;
 Pośpiesz do Wisły, naczepnij wody“.
 Siérota ufa i śpieszy.

Przyniosła dzbanek, rączki złożyła
 I, klęcząc, paciérz odmawia,
 Główkę ku ziemi kornie schyliła,
 Przed Kantym dzban wody stawia.

Jan Kanty krzyżem dzban błogosławił,
 Modlił się długo i szczerze,
 A gdy modlitwę swoją odprawił,
 Do ust swych dzban wody bierze.

Lecz woda w mléko się zamieniła....
 „Dziecino, Maryi złoś dzięki,
 Ona cię w smutku twym pocieszyła;
 Dzban mléka masz tu z Jój ręki“.

I twarz siéroty pokrył rumieniec;
 Do nóg się Jana rzuciła,
 Bogarodzicy obraz we wieniec
 Codziennie odtąd stroiła.

Karol Antoniewicz.

12. Brzoza Grzyżyńska.

Wznosi się w gruzach na Grzyżyńskiej ziemi
 Kościół świętego Marcina,
 Głośno on niegdyś hymny brzmiał boskimi,
 Dziś głucha w polu ruina.

Mnóstwo tam grobów i mogił dokoła
 Liczne kryje pokolenia,
 A biała brzoza, jak skrzydłem anioła,
 Cichy sen zmarłych ocienia.

Jeśli to drzewo, piérwszy wieniec wiosny,
 Ciekawość twoję obudzi,
 Zkąd polubiła ten pobyt żałośny,
 Grzyżyńskich spytaj się ludzi.

Onego czasu, lecz któż wie, lat wiele,
 W prostym ci rzekną sposobie,
 Zmarło tu dziecię i przy tym kościele,
 W zimnym złożono je grobie.

Cicho, cichutko w swęj mogilec leżał
 Antoś, matczyna nadzieja,
 Kiedy wtém kopacz do księdza przybieżał,
 I tak strwożył dobrodzieja:

„Jakieś nam lichy na cmentarz się wdarło,
 Próżno człek strzeże i czuwa;
 Dziecię, co właśnie przed tygodniem zmarło,
 Weiaż rączkę z grobu wysuwa“.

Dziwi się pastérz, krzyż i stulę bierze,
 Biegnie na miejsce zjawiska,
 I trzykroć żegna i zmawia pacierze
 I rączkę sam w ziemię weiska.

Wznosi się sercem, duszą w niebo wznosi,
 Przy maléj klęczy mogile;
 Ale daremnie i błaga i prósi,
 Widmo powraca za chwilę.

Budzi się rączka tajemniczéj siły,
 Wzrusza swój wzgórek grobowy,
 I znów z zielonéj wyrasta mógiły,
 Bieluchna, jak śnieg majowy.

Dzwoni więc pleban, całą wioskę woła,
 Młodzież i starce i dziatki,
 A kiedy wszyscy już staną dokoła,
 Tak się odzywa do matki:

„Co w syna twego dzieje się grobie,
 Ja ludzką myślą nie schwycę;
 Saméj to tylko wiadomém jest tobie,
 Wyjaw więc tę tajemnicę“.

Wzbrania się matka i zaléwa łzami
 I ręce łamie z rozpaczy,

Gdy wtém, strasznemi zaklęta słowami,
Tak się wśród jęku tłumaczy :

„Kara to mojej matczynej ślepoty,
Bóg mi złém za złe odmierzył:
Synek ten, memi popsuty pieszczoty,
Raz mię w swym gniewie uderzył“.

„Bierz więc tę różgę i chłoszcz rękę syna“,
Tak pasterz na nią zakrzyknął,
„Ziemskiej on tu się kary dopomina,
Aby wieczystej uniknął.

Uderz!“ zawoła. I silném ramieniem
Matka do grobu ciągniona,
Odwraca oczy i z ciężkiém westchnieniem
Okropnej kary dokona....

I patrz! zaledwie różdżkę puszcza z dłoni
I pada, jakby nieżywa,
Sama się rączka w grób swój cofa, chroni,
I znów ją ziemia pokrywa.

I wszystkie serca zimny przestrach ściska,
Śmiertelnym dreszczem przenika;
A ksiądz na pamięć strasznego zjawiska
Różdżkę na grobie zatyka.

I drugim cudem, w pierwszej zaraz wiosnie,
Gęsty ją liść ozienienia,
Coraz się wyżej i wzмага i rośnie,
W rozległe drzewo zamienia.

Runął kościółek i niejedne czasy,
Niejedna przeszła nawała,
Walał się dęby, całe walał lasy,
A brzoza stoi, jak stała.

Frąciszek Morawski.

13. Baszyna.

Jest wioska Baszyna,
W niej na górze dwór,
Za dworem leszczyna,
Dalej głuchy bór.

A w borze zameczysko,
W koło wielki wał;
Tam dawniej siedlisko
Dzielny rycerz miał.

W téj niegdyś wsi byli
Głośni Prot i Jan,
Przyjaźnią zażyli,
A możny ich stan.

A wszystko łączyło
Tych przyjaciół dwóch:
Jedno serce było
I jeden był duch.

W zameczysku na górze
Jest kaplicy szczyt:
Kamienny krzyż w murze
Był jój cały sprzęt.

Kto przysięgł tam krzywo,
Wnet go karał Bóg;
Bo nie wyszedł żywo
Za kapliczny próg.

Tak o téj świątnicy
Zdawna chodził słuch.
Do strasznej kaplicy
Szło przyjaciół dwóch.

Przysięgli, zwyczajem
Starodawnych lat,
Kochać się nawzajem,
Jako brata brat.

Gdy przyszła na Jana
Kolej zegnać świat,
Miał syna Stefana
Ledwie pięciu lat;

Część mienia rozdziela
Na kościół i lud,
A na przyjaciela
Zda opieki trud.

„Przysięgły“, rzekł, „bracie,
Moim synem rządź,
I po ojca stracie
Ojcem jemu bądź.

Grosz mój pozostały
W twoim ręku masz;
Jak dojdzie lat mały,
Wtedy jemu dasz“.

Już Stefan sierota
Lat szesnaście miał,
Pragnął wziąć u Prota
Ojcowizny dział.

Cheiwości szatana
Prot w swój duszy czcil,
Zaparł się, że Jana
Skarb u niego był.

„Gdy ci nędza cięży,
To ojcowski szal:
Na biednych, na księży
Dał wszystko, co miał.

Niech ojca jałmużny
Wróci niebios pan:
On tobie jest dłużny,
Mnie nic nie dał Jan“.

Rzekł Stefan ze łzami:
„Gdyś sumienie struł,
Nie puść mię z torbami,
Daj choć skarbu pół“.

Część trzecią i piątą
Choć się zgadzał brać,
A nawet dziesiątą,
Lecz Prot nie chciał dać.

„Chcesz w podłym mieć zysku“,
Rzekł Stefan, „coś wziął?
Chodź, przysiąż w zameczysku,
Gdzieś ojeu się kłął“.

Poszli i gromada
Poszła z niemi wraz;
Prot przysięgę składa,
Gdzie był krzyża głąz.

Lecz gdy się przybliża
Uczcił męki znak,
Jakaś moc od krzyża
Odpycha go wspak.

Padł na wstecz i krzyczy:
„Ach! ratujcie mnie!
Ten czartom w zdobyczy,
Kto się w fałszu kłnie.

Jam z biednym sierotą
Tak nieludzki był:
Weźcie sobie złoto,
Com w komorze skrył“.

A wtém go oniemi,
Oczy poszły w ślup;
Chcą podnieść go z ziemi,
Ale już był trup.

Wszystkich przeszło mrowie,
Śpieszą pod swój dach;
Odtąd w téj budowie
Jakiś mieszka strach.

Bo słyhać tam w nocy,
Jak łańcuchów brzęk;
Coś wzywa pomocy,
Coś zawodzi jęk.

Ignacy Hołowiński.

14. Dziad i baba.

Był sobie dziad i baba.
Bardzo starzy oboje:
Ona kaszląca, słaba,
On skurczony we dwoje.

Mieli chatkę maleńką,
Taką starą, jak oni;
Jedno miała okienko
I jeden był wchód do niej.

Żyli bardzo szczęśliwie
I spokojnie, jak w niebie,
Czemu ja się nie dziwię,
Bo przywykli do siebie.

Tylko smutno im było,
Że umierać musieli,
Że się kiedyś mogiła
Długie życie rozdzieli.

I modlili się szczerze,
Aby bożym rozkazem,
Kiedy śmierć ich zabierze,
Zabrała dwoje razem.

— „Razem! to być nie może;
Ktoś choć chwilą wprzód skona“.
— „Byle nie ty, nieboże“,
— „Byle tylko nie ona“.

— „Wprzód umrę“, woła baba, Posłuszna waszój woli,
 „Jestem starsza od ciebie, Śmierć jestem, zgon przynoszę“.
 Co chwila bardziej słaba;
 Zapłaczesz na pogrzebie“.

— „Ja wprzód, moja miła,
 Ja kaszlę bez ustanku,
 I zimna mnie mogiła
 Przykryje lada ranku“.

„Mnie wprzód“ „Mnie, kochanie!“
 — „Mnie, mówię“ — „Dośże tego,
 Dla ciebie płacz zostanie“.

— „A tobież nie, dla czego?“

I tak dalej i dalej,
 Jak zaczęli się kłócić,
 Tak się z miejsca porwali,
 Chatkę chcieli porzucić.

Aż do drzwi puk powoli,
 „Kto tam?“ — „Otwórzcie, proszę, Kominem wleźć musiała.

— „Idź, babo, drzwi otworzyć“.
 — „Ot to, idź sam! jam słaba,
 Ja się pójde położyć“,
 Odpowiedziała baba.

— F! śmierć na ślocie stoi
 I czeka tam nieboga!“

— Idź, otwórz z łaski swojej“.
 — „Ty otwórz, moja droga“.

Baba za piecem z cicha
 Kryjówki sobie szuka,
 Dziad pod ławę się wpycha,
 A śmierć stoi i puka.

I byłyby lat dwieście
 Pode drzwiami tam stała,
 Lecząc, znudzona nareszcie,
 Kominem wleźć musiała.

Józef Ignacy Kraszewski.

15. Boże łaski.

Pewien biedny człeczysko z posiwiiałą głową,
 Spracowany, cierpiący, samotny na świecie,
 Mimo dolegliwości, nie narzekał przecie,
 Lecz módlł się, czeił Boga uczuciem i mową.
 To też ktoś z przechodzących tak do niego rzecze:
 „Słysz, jako się modlisz, nieszczęsny człowiecze,
 A jednak twoja dola tak cierpka, złowroga,
 Żeś winien same skargi zaność do Boga“.

Na to starzec: „Bóg tyle zsyła mi łaskawie,
 Że o nic go nie proszę, tylko błogosławie.
 Patrz! Jego dobrodziejstwa — bez miary, bez końca!
 Wszak cudowna natura cieszy i żebraków;
 Wszakże mógłbym być ślepym, a widzę blask słońca;
 Głuchym, a co poranek budzi mię śpiew ptaków;

Wszak mi jeszcze pamięci władze pozostały:
 Cieszy się wspomnieniami moja myśl niepłocha;
 Nareszcie i o podział samotności dbały
 Bóg mi dał przyjaciela; mam psa, co mię kocha“.

Och! wierzajcie, choć Stwórca zmartwieniem obarczy,
 Nawet w smutku łask Jego otrzymujem tyle,
 Że, chcąc za nie dziękować w całej serca sile,
 Do skarg na drobne troski czasu nie wystarczy.

Jan Chęciński. 1865.

16. Osieł i słowik.

Oślisko, usłyszawszy w gęstwinie słowika,
 Ociężale się przymyka
 I rzecze: „Słuchajno, kumie,
 Kto żyje, gada i gada
 Że nikt ci sprostać nie umie,
 Żeś w śpiewie majster nie lada!

Lecz ja, nie bacząc na ogólne wrzaski,
 Choć się to wszędzie rozniosło,
 Chcę sam osądzić z arcy-wielkiej łaski,
 Czy dobrze znasz swe rzemiosło?“

Na to, jakby z poczuciem artysty dotkniętém,
 Słowik się popisywać zaczął z swym talentem:
 Zaszczebiotał, zaświstał, ciągnie i przelewa
 Z tonu w ton, cichy, mocny, rzewny i wspaniały,
 To drobnemi nutkami napelnia gaj cały,
 Aż mu echem wtórują i kwiaty i drzewa.
 Wreszcie potężnemi tony
 Zabrzmiął i ucichł zmęczony.

Osieł, ze łbem spuszczoneym aż do samej ziemi,
 Z uszami nawpół zwisłemi,
 Rzecze: „No, no! ulézie; wedle mego zdania,
 Można cię słuchać nawet bez ziewania;
 Tak, tak, ulézie; nienajgorsza nuta,
 Ale szkoda, że nie znasz naszego koguta!
 On to majster! nie łatwo jemu być kolegą,

Jeśli chcesz lepiej śpiewać, bierz lekcye od niego“.

Gdy sąd taki biednego słowika ukole,
Drgnął, zerwał się i frunął za trzydzieste pole,
I pomyślał zapewne: „No, tam już nie wrócę!“

Zbaw nas, Boże, od takich sędziów w każdej sztuce.

Jan Chęciński. 1865.

17. Osieł i Jacek.

Biedził się Jacek od dobrej godziny.
Nie mógł osłowi poradzić:
Nie wiedzieć, z jakiej przyczyny,
Nie dał się przez most prowadzić.
„Nie pójdę“, rzecze, „dość tych dziwactw znoszę,
Męcę się, niszcę i już ledwo łążę;
Ja mam iść naprzód? I dla czego, proszę?
Wielka przyczyna, że tak Jacek każe!“

Jacek tymczasem na nowo go zmusza,
Ciągnie za uszy, kijem, drągiem ćwiczy;
Osieł, nie tylko, że naprzód nie rusza,
Jeszcze się cofa i ryczy.
„Niechże cię wreszcie jasny piorun trzaśnie“,
Gniewny Jacek wrzaśnie;
„Nic ja tu z tobą nie zrobię“.
Gdy mu wtém nagle błysnie myśl szczęśliwa:
Leci w tył osła, za ogon porywa
I silnie ciągnie ku sobie.
„Ho! ho! rozumiem! Jacek plan swój zmienia“,
Domyślny osieł zawoła:
„Widząc, że naprzód znaglić mię nie zdoła,
Chce mnie zmusić do cofnienia.
Otóż nie zmusi! w tej chwili zobaczy,
Co to osieł znaczy“.
Rzekłszy to, jakby sparzony ukropem
Myśląc, że cudów dokona,
Zrywa się, rusza i przez most galopem
Leci z Jackiem u ogona.

Są i wśród ludzi istoty tak dziwne,
 Sprzeczne, przekorne, jakby krnąbrne dzieci,
 Lecz udaj zdanie twojemu przeciwne,
 A osieł przez most poleci.

Franciszek Morawski.

18. Kulawy i ślepy.

Nióśł ślepy kulawego; dobrze im się działo;
 Ale że to ślepemu nieznośném się zdało,
 Iż musiał zawsze słuchać, co kulawy prawi,
 Wziął kij w rękę: „ten“, rzecze, „z szwanku nas wybawi“.
 Idą; a wtém kulawy krzyknie: „umknij w lewo!“
 Ślepy wprost; i choć z kijem, uderzył łbem w drzewo.
 Idą dalej; kulawy przestrzega od wody;
 Ślepy w bród, sakwy zmaczał, nie wyszli bez szkody.
 Nakoniec przestrzeżony, gdy nie mijał dołu,
 I ślepy i kulawy zginęli pospołu.
 I ten winien, co kijem bezpieczeństwo mierzył,
 I ten, co bezpieczeństwo głupiemu powierzył.

Ignacy Krasicki.

19. Bryła lodu i kryształ.

Bryła lodu, zrodzona z kałuży bagnistój,
 Gniéwała się na kryształ, że był przezroczysty.
 Modli się więc do słońca. Słońce zajaśniało:
 Lśkni się bryła, ale jój coraz ubywało.
 I tak chcąc los polepszyć, niewczesnym kłopotem,
 Stajała, wsiąkła w bagno i stała się błotem.

Ignacy Krasicki.

20. Człowiek i zdrowie.

W jedną drogę szli razem i człowiek i zdrowie.
 Na początku biegł człowiek. Towarzysz mu powie:
 „Nie śpiesz się, bo ustaniesz“. Biegł jeszcze tym bardziej.

Widząc zdrowie, że jego towarzystwem gardzi,
 Szło za nim, ale zwolna. Przyszli na pół drogi,
 Aż człowiek, że z początku nadwreżył nogi,
 Zelżył kroku na środku. Za jego rozkazem
 Przybliżyło się zdrowie i odtąd szli razem.
 Coraz człowiek ustawał, a że się zadysza,
 „Prowadź mię, iść nie mogę“, rzekł do towarzysza.
 „Było mnie z razu słuchać“, natenczas mu rzekło;
 Chciał człowiek odpowiedzieć, lecz zdrowie uciekło.

Ignacy Krasicki.

21. Gęś i osieł.

Choćbyś miał siłę, równą lwu samemu,
 Lub największemu z niedźwiedzi,
 Gdy na rozumie Bóg cię upośledzi,
 Ulegniesz nawet słabszemu.

Na kępie, kędy chłód i dni gorące,
 Gdzie bujna topól srebrnym liściem trzęsie,
 Porozrzućane po niezmiernej łące

Pasły się gęsie.

Zdaje się dla nas rzecz niepojęta,

By trawa była do jedzenia zdalna,
 Jednakże wszystkie zwierzęta

Twierdzą, że jest delikatna.

Jedna więc z gęsi zieloną murawę

Jadła, jak gdyby najlepszą potrawę;
 Osieł, wiedziony tymże apetytem,

Gardząc respektem, damom należyty,
 Zaczął gryźć trawę między małym wrzosem,

Tuż gęsi naszój pod nosem.

Rozgnięwała się gęś strasznym sposobem,

Wszczęły się żywe klótnie i zatargi;
 Gdy to napróżno, czerwonym swym dziobem

Szczypnęła osła w koniec grubój wargi.

Leć zwierzę, cierpiąc ból srogi,

Tyle rozumu nie miało,

Że się przedniemi trzeba bronić nogi,

Zawsze tylnemi wierzgało,
 To jest, nie w stronę, kędy ból przenikał,
 Ale w tę stronę, gdzie go nikt nie tykał.
 I ztąd wypadło, że, pomimo mocy,
 W końcu walki i gonitwy,
 Za nadejściem ciemnej nocy,
 Przy gęsi został plac bitwy.

J. Ursyn Niemcewicz.

22. Wytrysk i strumień.

Z śnieżną pianą, z wrzącym szumem,
 Gdzie pyszne były ogrody,
 Między gęstych widzów tłumem
 Wytrysk wyrzucał swe wody.
 Gdy szklanne pasmo podnosił do góry,
 Słoneczne farby, złoto i lazury,
 Odbijając się o jasne kryształy,
 Zwodniczym blaskiem igrały,
 Każdy patrzył z uniesieniem,
 I, choć czas daremnie trawił,
 Przecież się dziwił i bawił
 Wyskokiem iskier srebrzystych.

Obok ogródka, między gajów cieniem,
 W pośrodku smugów kwiecistych,
 Cichym nurtem strumień płynął
 W spokojnym swoim korycie;
 Ni to on szumem, ni szybkością słynął,
 Lecz za to skrapiał obficie
 Pobliskie pola i łąki i krzaki,
 Pewny w swym biegu i zawsze jednaki.

Choć nikogo nie zadziwiał,
 Ani czynów swoich głośił,
 Wszystko atoli wilgocia ożywiał,
 Wszędzie pożytek i żyźność roznosił.

Jakie imiona nosiły te wody?
 Jeśli objawić wymaga porządek,

Powiem, bez żadnej dla nikogo szkody:
Wytrysk był *dowcip*, a strumień *rozsądek*.

J. Ursyn Niemcewicz.

23. Zdarzenie z nosem.

Stał za stolikiem synek cześnika,
Gdzie kilku panów grało z sobą w ówika,
A między niemi — krótki, pękaty
Jakiś szlachetka dziwnej facyjaty,
Z krzywą bródką, rudym włosom
I nadzwyczaj wielkim nosem.

Chłopiec ów, zrazu cichy i skromny,
Patrzy i graczy obchodzi do koła.
Kiedy wtém nagle zawoła:

„Co za nos ogromny!“

Spojrzał się srogo cześnik na syna;
Przelał się, zadrżał chłopczyzna
I woła, wznosząc głos drżący i cienki:

„Jakiż to nosek maleńki!“

Już też naówczas, jakby zjadła osa,
Zrywa się cześnik i za bat porywa,
A chłopiec z wielkim krzykiem się odzywa:

„Ten pan nie ma nosa!“

Bije więc cześnik, w całym bije gniewie,
Zda się, że chłopca chce dobić,
A biędne dziecię w swój rozpacz nie wie

Co z tym nosem zrobić;

W różny więc sposób i woła i krzyczy,
A gniewny ojciec coraz gorzej ćwiczy.

Tak i my, co to lubimy rozprawiać,
Kiedy się z głupstwem wyrwiemy,
Chcemy się niby ratować, poprawiać,
A gorzej brniemy.

Frańciszek Morawski.

24. Wilk pokutujący.

Wzięły wilka skrupuły. Wiódł łotrowskie życie,
 Więc, ażeby pokutę zaczął należycie,
 Zrzekł się mięsa. Jarzyną żyjąc przez dni kilka,
 Znalazł na polowaniu znajomego wilka;
 Trzeba pomódz bliźniemu; za pracę uslužną
 Zjadł kawał mięsa; gardzić nie można jałmużną.
 Nazajutrz spotkał jagnię samopas idący,
 Chciał upomnieć, nastraszyć; zabił je niechcący.
 Nazajutrz widząc cielę, że z krową nie chodzi,
 Zabił je; takich grzechów cierpieć się nie godzi.
 Ujrzawszy, jak się wół pasł z krowami pospołu:
 Niech się dłużej nie męczy, zjadł starego wołu.
 I tak, cierpiąc przykładne z dóbr świata wyzucie,
 Chudy, gdy był grzesznikiem, utył na pokucie.

Ignacy Krasicki.

P R Z Y S Ł O W I A.

1. Jadłby kot ryby, ale mu się nie chce nóg zamoczyć.

Siedzi nad wodą mały kocina;
 Patrzy na rybki; idzie mu ślina;
 Radby ich dostać; radby w bród skoczyć,
 Lecz mu się nie chce nóżek zamoczyć.

Siedzi nad książką mały chłopczyzna;
 Potrzebę nauk czuć już zaczyna;
 Radby być mądrym; radby coś wiedzieć,
 Lecz mu się nie chce główki pobiedzić.

Darmo, kocino; darmo, chłopczyño;
 Gołąbki same na stół nie płyną;

Kto leniuch, niech się o nic nie kusi;
 Chcący coś zdobyć, pracować musi.

Józef Paszkowski.

2. Wejdiesz między wrony, krakaj, jak i ony.

Jeśli wejdiesz w grono gości,
 Których szczerą wesołości
 Nie zasępia nic,
 Rozmarszcz czoło, rozjaśń oczy,
 Choć ci boleść serce tłoczy,
 Rozwiń chmurę z lic.
 Bo kto wejdzie między wrony,
 Musi krakać, jak i ony.

Jeśli pójdziesz w obce kraje,
 Gdzie są inne obyczaje,
 Niż w krainie twój,
 Choć ci tęskno za swojemi,
 Przecież prawa obcej ziemi
 W zachowaniu miej.
 Bo kto wejdzie między wrony,
 Musi krakać, jak i ony.

Lecz, jeżeli z drugiej strony,
 Wejść ci przyjdzie między wrony
 Krzywych wiar i zdań,
 Wtedy nie kracz, ale śmiało,
 Jak ci Bóstwo przykazało,
 Przy swą wierzę stań;
 Śmiało prawdę swoją wysłów,
 Wbrew porodom wszelkich przysłów.

Józef Paszkowski.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001019935032